- **Seks po amerykańsku – tylko dla dorosłych**
- **Czego można oczekiwać od nauczycieli?**
- **Dlaczego nie było bankietu? – pytają felietoniści**

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 12 (1303) 19 MARCA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

RTS Widzew

Droga do tytułu Mistrza Polski

WITOLD LEWANDOWSKI

Jeszcze 10 lat temu Widzew rozpoczynał II-ligowe boje jako beniaminek. Nikt wtedy zapewne nie przypuszczał, że w niedługim czasie nie znany szerzej zespół stanie się czołową drużyną Polski. Aczkolwiek byli ludzie, którzy mocno wierzyli w to, że RTS Widzew będzie klubem nie tylko najlepszym w Łodzi, ale także i w kraju. Byli to działacze Widzewa, pracujący już wtedy nowocześnie, wytrwale i skutecznie, trenerzy, no i przede wszystkim sami zawodnicy. Trzon zespołu stanowili wówczas między innymi: *Haren, Hajduk, Kaczmarek, Pietrzyk, Chodakowski, Kostrzewiński, Gapiński, W. Surlit.* Wszyscy grali wcześniej w ŁKS. Tam byli niepotrzebni, choć dzisiaj Jan Tomaszewski nazywa pozbycie się tych zawodników „sąsiedzką pomocą". Trenerem widzewiaków był również eks-ełkaesiak, *Leszek Jezierski.* Nic więc dziwnego, że bardzo zależało im na awansie do I ligi. Dopiero wtedy mogli zmierzyć się z ŁKS (bo nikt przecież nie życzył lokalnemu rywalowi spadku z ekstraklasy) i udowodnić swoją wyższość.

Beniaminek dzielnie poczynał sobie w II-ligowym towarzystwie i wbrew pesymistom, przepowiadającym rychły powrót do III ligi, zajął miejsce w czołówce. Grał niesłychanie ambitnie i jeżeli dziś na Widzew często mówi się „drużyna z charakterem", to ten charakter zaczął się kształtować już w 1972 roku. Oprócz wymienionych nabytków z ŁKS do podstawowego składu zaliczali się jeszcze: bramkarze *Gajewski i Mikulicz*, obrońcy — *Kubicki, Lewandowski, Możejko*, pomocnicy i napastnicy — *Świderek, Stępniak, Dąbrowski i Ulatowski.*

Młodzi, zdolni, waleczni i ambitni — tylko tacy mieli szansę zdobycia miejsca w zespole. Ci, co trafiali do Widzewa, z reguły potrafili wykorzystać swoje szanse. Pomagał im zresztą w tym wydatnie trener Jezierski, fachowiec dużej klasy. Nieudane zakupy zdarzały się rzadko.

Widzew zajął miejsce w ścisłej czołówce, a nawet był bliski wywalczenia upragnionego awansu do ekstraklasy. Ostatecznie jednak przegrał na finiszu rywalizację z gdyńską Arką. Trener Jezierski nie był tym specjalnie zmartwiony. Miał waleczną i dużo już umiejącą drużynę, o ustabilizowanym składzie. Mógł więc spokojnie czekać na rozpoczęcie sezonu 1974/75. Był optymistą. Prezes *Sobolewski* także. Liczyli po cichu na awans. Ale nie mówili tego głośno, żeby nie zapeszyć. Ich spokoju nie zmącił nawet wyjazd naj-

7

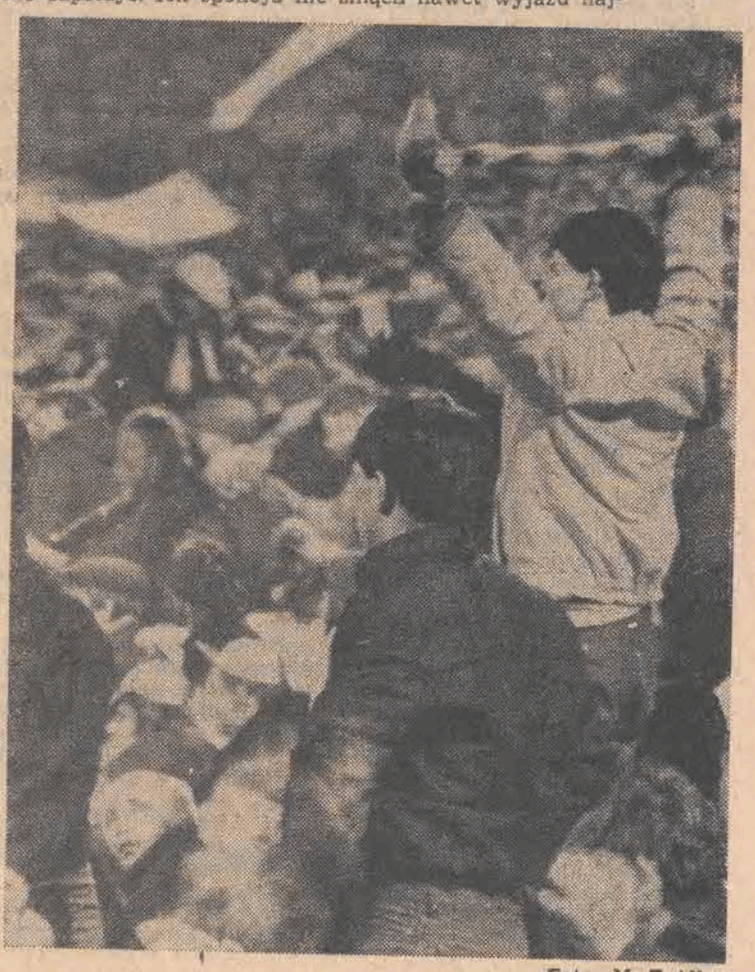

Foto: M. Zajdler

Jak narodziły się filmy z serii „Zaczarowany ołówek"

Czarodziejska moc ołówka

ADAM OCHOCKI

— *Mam pomysł na film kukiełkowy* — powiedział Karol, gdy wychodziliśmy z drukarni po obejrzeniu pierwszych egzemplarzy sypiącej się z rotacji „Karuzeli". — *Może napiszemy razem scenariusz?*

Na moim poletku uprawiałem już różne gatunki: reportaż, felieton, wiersz, fraszkę, piosenkę, słuchowisko radiowe, widowisko telewizyjne, pokusiłem się nawet o sztukę teatralną dla dzieci, ale z filmem, tak jak Karol Baraniecki, nic wspólnego dotąd nie miałem.

Jak się pisze scenariusze? Pomysł to jeszcze nie wszystko. Od czego trzeba zacząć? Rzecz jasna — od pieca. Tylko, gdzie tu ów przysłowiowy piec? Błądząc po omacku szybko doszliśmy do właściwego wniosku: zacząć należy od przemyślenia akcji, naszkicowania sylwetek bohaterów, zawiązania wątku dramaturgicznego. Co też uczyniliśmy w przerwach między ogłupiającym wylepianiem makiet naszego czasopisma satyrycznego, a nudnymi jak flaki z olejem naradami redakcyjnymi, kończącymi się nieodmiennie opowieściami szefa o mieście „Widniu" i jego pobycie tamże.

Napisanie scenariusza, kiedy już „zobaczyliśmy" nasz film, zabrało raptem godzinkę czasu. Wymyślona historyjka, przeznaczona dla dorosłych widzów, wypadła dość zabawnie, zwłaszcza pointa z dziedziny dietetyki.

Potężny król kazał zamurować w wieży głodowej swą hożą, smukłą jedynaczkę, ponieważ odtrąciła zabiegającego o jej rękę podstrzałego księcia z sąsiedniego państwa. Królewna z pewnością dokonałaby żywota w turmie, gdyby nie zakochany w niej paź. Codziennie przybywał pod wieżę z koszem pełnym knedli, nadziewał je na strzałę, napinał cięciwę łuku i przez wąskie okienko w murze posyłał swej umiłowanej. Po jakimś czasie — jak to w bajkach bywa — zmiękło serce okrutnego władyki. Kazał uwolnić córkę, tutaj jednak wyłoniły się nieprzewidziane komplikacje: podkarmiona knedlami królewna ani rusz nie mogła się przecisnąć przez drzwi wieży, którą trzeba było rozwalić. I oto oczom zakochanego pazia ukazał się gruby babsztyl, w niczym nie przypominający obiektu jego westchnień.

Z duszą na ramieniu ponieśliśmy scenariusz do Studia Małych Form Filmowych „Se-Ma-For" w al. Kościuszki.

— *Popatrz* — Karol wskazał szyld. — „*Se-Ma-For*"... *Se-ma-for-se. Dobry omen.*

Dyrektor Ryszard Brudzyński nie wystawił naszej cierpliwości na próbę. *Już po paru dniach oznajmił:* scenariusz zatwierdzony do realizacji, możecie panowie podpisać umowę.

Czy mogłem wówczas przypuszczać — a był to rok 1962, już piąty krzyżyk na okrągło siedział mi na karku — że oto nastąpił zwrotny punkt w mojej twórczości? Że wszystko inne zejdzie na dalszy plan, ja zaś mocną stopą stanę na planie filmowym?

W krótkim czasie spłodziłem czterdzieści cztery scenariusze (ta liczba jakoś szczęśliwie przewija się przez moje życie), a zrealizowane według nich filmy zdobyły mi większą popularność niż moja dotychczasowa, wieloletnia działalność dziennikarska. I to nie tylko w Polsce. Jak kiedyś skrupulatnie obliczyłem, widzowie ponad sześćdziesięciu krajów Europy, obu Ameryk, Azji i Australii mieli okazję poznać z ekranów kinowych i telewizyjnych nazwisko skromnego autora z Łodzi, w towarzystwie, oczywiście, pozostałych twórców.

Ale to późniejsze dzieje. Na razie onieśmieleni, zażenowani, stanęliśmy przed kamiennie spokojnym obliczem mistrza nad mistrze — Zenona Wasilewskiego. To on bowiem podjął się reżyserii naszej „Ballady o królewnie Lilianie". Już sam ten fakt dodawał nam splendoru i był nie lada wyróżnieniem. Dotąd bowiem i później Zenon Wasilewski, najwybitniejszy twórca filmu animowanego, który położył podwaliny pod polskie lalkarstwo, do wszystkich realizowanych przez siebie filmów sam pisał scenariusze. Mało tego — sam był ich scenografem i animatorem.

Piękną drogę artystyczną przebył pan Zenon. Rozwidlała się ona w różnych kierunkach. Długo nie mógł podjąć decyzji jakiej dziedzinie twórczości się poświęcić. W latach trzydziestych pisał wiersze, drukował je w „Skamandrze". Malował. A któregoś dnia w 1935 r. — jak wspomina Eryk Lipiński — zjawił się

10

Mglisty dzień w Trójmieście

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1. Poniedziałek, 28 lutego 1983 roku. Nocny pociąg z Łodzi Kaliskiej przychodzi do Gdańska o godzinie 5.00. W dworcowej hali pusto, zimno i brudno. Kiosk „Ruchu" już otwarty. Szybko ustawia się kolejka po „Głos Wybrzeża" i „Dziennik Bałtycki". Po chwili hala pustoszeje.

W bocznym korytarzu ciekawe napisy: „*Bar — Sam*" *w remoncie*", „*Czynne WC na dworcu PKS*". Do dworca PKS kawałek drogi tunelem, później dwa piętra schodami. Ruchomymi, jeśli są czynne.

W otwartym barku kawowym kawy nie ma. Jest ciemne piwo. Trójka Węgrów kupuje piwo i prosi, aby nie otwierać. Zabierają ze sobą. Ktoś pyta, czy mają alkohol.

— *Alkohol ne ma!* — powiada wysoki Węgier i wszyscy szybko wychodzą.

Czynny jest też „Bar — Poczekalnia". Schronili się tu ci z łódzkiego pociągu, którzy przyjechali służbowo i do otwarcia urzędów i instytucji nie mają się gdzie podziać. W kącie przy kaloryferze śpi stojąc jakiś miejscowy pijaczek. Pełno ich zresztą poutykanych wśród czekających podróżnych.

O 7 otwierają hotelową kawiarnię w „Monopolu" naprzeciw dworca. Do tej pory wymieniła się już klientela poczekalni. Ulotnili się pijaczki. Część pasażerów albo odjechała porannymi pociągami, albo ruszyła na miasto. W poczekalni przeważa teraz młodzież szkolna. Kogo na to stać udaje się do kawiarni „Monopolu". Drogo i pusto. Jajecznica, bułki z masłem i kawa — 250 zł. Kilku panów pije piwo żywieckie.

2. Pogoda okropna. Mglisto. Mży drobny deszcz, który chwilami przemienia się w mokry śnieg. Czas niebezpieczny dla ludzi chorych na serce.

Około 9 wyruszył do pracy w gdańskiej Rozgłośni Polskiego Radia Tadeusz Kuta. Jechał tramwajem. Poczuł się źle. Przesiadł się do taksówki i kazał się zawieźć do domu. Wkrótce zmarł. Był wieloletnim dziennikarzem „Głosu Wybrzeża", a przed pracą w Polskim Radiu naczelnym redaktorem tej gazety.

Poniedziałkowy „Głos Wybrzeża" przynosi nekrolog i wspomnienie o Edgarze Milewskim — zmarłym 25 lutego 1983 r. dyrektorze gdańskiego oddziału Wydawnictwa im. Ossolińskich Urodzony gdańszczanin. Tu kończył słynne przed wojną Gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej. W czasie wojny przebywał w Warszawie, gdzie kontynuował naukę na tajnych kompletach i brał udział w powstaniu. Po wojnie wrócił do Gdańska, który opuścił tylko na krótko, aby ukończyć studia na Uniwersytecie Warszawskim. Pracował w Polskim Radio w Gdańsku, w telewizji, prowadził „Litery".

„*Gdańsk był Jego pasją i największym umiłowaniem* — pisze „Głos Wybrzeża". — *Nie potrafił o tym mieście mówić obojętnie, był czujny i wrażliwy, gdy rodziły się pomysły i decyzje, które mogły ważyć na jego kształcie i wyglądzie. Nie był fanatykiem, lecz miasto,*

4

Przegląd prasy

KIEDY LUDZIE PISZĄ LISTY DO REDAKCJI

Najczęściej wtedy, gdy ich poruszy jakiś artykuł, gdy z czymś się nie zgadzają, rzadziej, gdy chcą zamanifestować swoją solidarność z autorem. „TU I TERAZ" (nr 10 z 9 marca 1983 r.) opublikowało więcej niż kolumnę listów do Jerzego Urbana. Nie ma w nich nic nadzwyczajnego, sensacyjnego, a mimo to sygnalizują, ilustrują, potwierdzają pewne zjawisko społeczne i polityczne.

Podobne w treści i formie listy otrzymał Zygmunt Kałużyński po swoim artykule *„Tysiąc procent pornografii"*. „POLITYKA" (nr 11 z 12 marca 1983 r.) zamieszcza skromny wybór tych listów.

Oto co pisze Anna Tatarkiewicz:

„Redaktor zachęcał mnie do zabrania głosu na temat pornografii. Zabieram:

Kiedy Polak nie potrafi
To się chwyta pornografii.
Cześć pracy."

Ale to jest szczyt kultury. H.J. Kozłowscy z Katowic nie zgadzają się i są święcie oburzeni:

„Kałużyński pewnie ma dzieci i wnuki. Co one pomyślą o dziadku, który gorszy młodzież? A fe! panie K."

Wnuki pewnie będą się śmiały, że dziadek był taki... purytański. Zygmunt Raczyński z Łodzi *(ale charakter pisma zdecydowanie damski* — dopisał pod tym podpisem Z. Kałużyński) pisze wprost.

„Pańskie podejrzenie, że jest pan zboczeńcem jest słuszne. Jest pan niewyżyty, seksualnie i stąd zafascynowanie pornografią."

Są oczywiście i zwolennicy Zygmunta Kałużyńskiego, którzy jego poglądy podzielają i popierają, albo różnią się z nim nieznacznie. Zresztą trzeba przyznać, że według opublikowanego wyboru listów w sprawie pornografii Zygmunta Kałużyńskiego potraktowano łagodnie. Chyba, że bardziej ostrych i chamskich listów nie opublikowano. W stosunku do Jerzego Urbana jego czytelnicy byli mniej wybredni. Oto przykład:

„Przed redaktorem „Rycerza Niepokalanej" na kolana chamie! (...) Jesteś świnia, cham, bydlę. A póki co, odczep się od Swiętych, od Kościoła i „Tyg. Powszechnego". Ty ucieleśnienie zła!"

Swoisty język obrońcy świętości. List oczywiście nie podpisany. Zresztą teraz na ogół już tylko ludzie prymitywni nie podpisują listów bądź podpisują oklepanym „Dobry Polak" albo czymś w tym rodzaju. Dziś bardziej pomysłowi autorzy listów podpisują je cudzymi nazwiskami. Oto przykład. Ale najpierw cytat z listu:

„Otóż jestem tego pewny, że pan percepuje filmy wyłącznie dupą, ponieważ pańska głowa z tzw. twarzą i oślimi uszami niczym od dupy się nie różni..."

Któż to napisał? *„St. Wyspiański z Krakowa"*.

Albo inny cytat:

„Nie chcę obrażać ministra Urbana, ale wstyd mi, że taka miernota i grafoman pisze dla szerokiej publiczności i zajmuje stołek ministerialny w rządzie, stając się tego rządu zakałą."

Kto jest tej myśli autorem? *„Janusz Radziwiłł z Dębicy."* Jak tak dalej pójdzie, to któregoś dnia do „Tu i Teraz" napisze Bolesław Chrobry z Gniezna.

Ale to tylko margines. Istotą zjawiska, które ilustrują i potwierdzają listy do Jerzego Urbana jest zupełnie coś innego. Wielu ludzi ma pełne usta tolerancji, pluralizmu, porozumienia, dyskusji, konsultacji, różnicy poglądów itp. Kiedy jednak przychodzi do konkretnej sytuacji, kiedy ktoś wyraża inny pogląd, kiedy nie zgadzający się powinni z tym kimś podjąć polemikę, to okazuje się, że zamiast argumentów padają inwektywy, a niewygodnemu autorowi najlepiej usta zamknąć. I wtedy jak szydło z worka wychodzi, że tolerancja jest i owszem, ale dla poglądów zbliżonych, podobnie pluralizm, dyskusja itp. Ludzie o przeciwnych poglądach powinni milczeć.

Listy do Jerzego Urbana napisali również ci, którzy żałują, że jego miejsce na łamach „Tu i Teraz" zajął Jan Rem. Ktoś napisał nawet:

„Robi mnie Pan w konia, ponieważ zaprenumerowałem na cały rok „Tu i Teraz" z Panem jako gwiazdą nr 1, a zostaje mi Kożniewski ze swoim harcerskim (jak słusznie zauważył Passent) spojrzeniem na świat."

Czyta człowiek te listy i zastanawia się, kiedy nauczymy się kultury politycznej. Nieprędko jednak. Dużo czasu musi upłynąć, nim nie tylko zrozumiemy, ale i będziemy stosowali to w praktyce, że nie wszyscy muszą myśleć dokładnie tak samo, a jak z kimś nie zgadzamy się, to nie trzeba kazać mu milczeć, a tylko umieć z nim polemizować i to przy pomocy argumentów.

W tymże samym numerze „TU I TERAZ" opublikowano reportaż Janusza Atlasa „Żarty", który to reportaż ukazuje nam inne, choć rodem z tego samego źródła zjawisko.

JAK KOMUŚ MOŻNA ZASZKODZIĆ

Janusz Atlas nazwał to przekornie „Żarty", bo i człowiek oskarżony próbował wszystko w żart obrócić. Ale nie są to żarty.

W mieście R. jest I Liceum. Bardzo dobra szkoła z tradycjami, osiągnięciami. W tej szkole jest nauczyciel N. Od pewnego czasu ktoś pisze na niego anonimy. Podpisuje je: *„Jan Kowalski"*, *„Były uczeń"*, *„Uczeń I Liceum"*. Anonim zarzuca nauczycielowi N., że ten na lekcjach opowiada uczniom sprośne dowcipy. Mało zarzuca. Cytuje nawet: *„— Czym się różni trzydziestoletnia prostytutka od starej „syrenki" (marka samochodu osobowego)? Otóż niczym. Na obu można jeździć, ale obie śmrodzą..."* I temu podobne. W każdym razie duża demoralizacja.

Anonimy trafiają do kuratorium. Do R. jedzie wizytator. Niczego właściwie nie stwierdza. Ale nauczyciel N. wykłada w I Liceum historię i propedeutykę nauki o społeczeństwie. Nie stawia uczniom w dzienniku regularnie stopni. Inni stawiają, a on nie. Taką ma metodę. Jest to metoda naganna według władz oświatowych. Otrzymuje więc... upomnienie z wpisaniem do akt.

„Przypadek niemal klasyczny — pisze J. Atlas. — *Zarzuty zawarte w anonimach nie potwierdziły się, bezpośrednia kontrola ujawniła jednak jakąś nieprawidłowość i człowiek, któremu założono teczkę, otrzymał zasłużoną karę."*

Tak na wszelki wypadek. Gdyby przypadkiem coś wyskoczyło, to zawsze można powiedzieć, że byliśmy czujni, zwracaliśmy uwagę, stosowaliśmy nawet kary profilaktyczne.

— *„Gdyby był czysty jak łza, to nie byłoby anonimów"* — cytuje J. Atlas kuratora, z którym rozmawiał na temat sprawy nauczyciela N.

Nauczycielowi N. zarzucono też, że jest funkcjonariuszem partyjnym i wszyscy się go w mieście boją. Okazało się, że owszem, nauczyciel N. już drugą kadencję pełni funkcję I sekretarza POP w I Liceum w R. Ma osiągnięcia w pracy zawodowej i politycznej. Młodzież ma do niego zaufanie. A kto pisze anonimy?

„Tak, magister N. nie ma już wątpliwości. Donosy od czterech lat mozolnie układa nie jakiś Jan Kowalski, ani „Były uczeń", tylko jak najbardziej aktualny nauczyciel I Liceum Ogólnokształcącego w mieście R., kolega z pracy inaczej mówiąc."

Dlaczego to robi?

„...chorobliwa ambicja. Tamtemu jakoś się w zawodzie nie układa, i w działalności społecznej też."

Proste.

I sposób jest prosty. Zarzuty trzeba tak sformułować, aby nie można było ich sprawdzić. A u nas nadal obowiązuje zasada, że to podejrzany musi udowodnić swoją niewinność, a nie jemu trzeba dowieść winy. Janusz Atlas kończy swój reportaż na poły żartobliwie, a na poły ironicznie:

„I Liceum Ogólnokształcące w R. jest najpierwszą szkołą w całym mieście.

Tylko z magistrem N. kłopot. Jeśli opowiada swoim uczniom sprośne dowcipy, to tak sprytnie, że nie daje się złapać."

Tylko, że na tej kpinie paru ponuraków może się nie poznać i reportaż Janusza Atlasa może się znaleźć w teczce magistra N. z adnotacją, że nawet dziennikarz nie był do końca przekonany o niewinności człowieka, którego chciał przecież bronić. Nie przypadkiem powstało kiedyś powiedzenie: Chroń nas Boże przed przyjaciółmi, przed wrogami obronimy się sami. I racja!

Trzymając się nadal tematyki obyczajowej przedstawię teraz rozważania na temat tego,

DLACZEGO TYLE DZIEWCZĄT BEZ SPRZECIWU POSZŁO ZA KALIBABKĄ

Próbowali odpowiedzieć na to pytanie wybitni specjaliści na łamach „PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO" (nr 11 z 19 marca 1983 r.) Oto, co psychiatra-seksuolog dr Zbigniew Lew Starowicz sądzi o Kalibabce:

— *„Dla mnie jest on typowym Don Juanem. Łączył wielkość podbojów z przebojowością. (...) Wydaje mi się, że wyróżnia go taktyka przestępczego działania. Wybierał małe miejscowości, często zmieniał miejsce pobytu. (...) Jednocześnie był przekonany, że gra rolę bajkowego księcia. Świetnie wykorzystywał prawo określane w psychologii mianem „pierwszego wrażenia"."*

Kalibabka czeka na proces. Nikt jeszcze nie wie, jakie przestępstwa będzie opiewał akt oskarżenia i jakiej kary będzie żądał prokurator. Nikt nie wie, jaki będzie wyrok. Można się jednak już zastanowić, czy po wyjściu z więzienia Kalibabka wznowi swoją działalność i czy będzie znajdował amatorki — ofiary? Ale to daleka przyszłość.

Kierownik Zakładu Psychologii Społecznej UMCS w Lublinie doc. dr Kazimierz Pośpiszyl ma o Kalibabce nieco inne zdanie:

— *„...Kalibabka jest psychopatą. A psychopaci wchodzą w świat kobiety w sposób racjonalny i popełniają mniej błędów. Tymczasem każdy z nas, normalnych mężczyzn, zakochując się w kobiecie popełnia mnóstwo błędów, ponieważ reaguje emocjonalnie i nieracjonalnie. (...) Toteż kobieta mniej jest skłonna zakochać się w normalnym mężczyźnie. Bardzo szybko natomiast zakochuje się w psychopacie."*

Moje gratulacje! Szczególnie dla pań. Na szczęście normalnym mężczyznom zdarza się czasem, że zakocha się w nich jakaś kobieta. Więc niekoniecznie, aby spotkać miłość trzeba zaraz być psychopatą.

Ale, co z paniami? Czyżby tylko leciały na Kalibabkę, że był psychopatą? Ginekolog — seksuolog dr Michalina Wisłocka jest trochę innego zdania:

— *„Dziewczyna nastoletnia, którą rodzice „obwieszają" wisiorkami, złotymi pierścionkami, jest bananowym dzieckiem, pozbawionym ciepłego kontaktu z rodziną, właściwego klimatu domowego. Taką „witrynkę" z biżuterią pierwszy lepszy włamywacz może bardzo łatwo obrabować. Na szczęście tego typu dziewcząt nie ma zbyt dużo. (...) Są tak głupie — przepraszam za wyrażenie — straszliwie prymitywne i niewychowane, że nie mają problemów typowych dla innych dziewcząt."*

No tak, niezbyt to pochlebna opinia o ofiarach Kalibabki, tych *„wydymanych i obskubanych kocmołuchach"*. Z jednej strony psychopata, z drugiej prymitywne, niewychowane, głupie. Ale coś tu się nie zgadza. W nr 9 „Przeglądu Tygodniowego" (z 27 lutego 1983 r.) Grażyna Krzyżanowska opisuje „Panienki dobrze wychowane", które padły ofiarą Kalibabki. Jedną z nich była łodzianka, Małgorzata zwana „Niusią", *„w której Kalibabka ponoć zakochał się"*, a która *„przez osiem miesięcy podróżowała z nim po kraju"* Małgorzata miała nawet służącą Luizę. Podeszła do niej w Kielcach pod kinem i *„powiedziała, że jej brat chciałby się z nią umówić"*. I tak zabrał ją na trzy tygodnie w podróż po Polsce. Po trzech tygodniach rodzice odebrali ją z Izby Dziecka w Lublinie.

Z relacji Grażyny Krzyżanowskiej nie wynika, aby Małgorzata z Łodzi, czy Luiza z Kielc były prymitywne i głupie. Ale może rację ma Kazimierz Pośpiszyl, który we wspomnianej dyskusji powiedział:

— *„Każda kobieta w najgłębszej swej jaźni marzy o supermanie. W miarę rozwoju ów superman jest coraz inny, bardziej określony.*

Ponadto wypada podkreślić, że dziewczęta Kalibabki wyróżnia masochizm. A ponoć esencją kobiecości jest właśnie usposobienie masochistyczne, jak męskości — usposobienie sadystyczne."

Nie ulega już dla mnie żadnej wątpliwości, że Kalibabka był supermanem dla nieletnich.

Czas zmienić temat. Ponieważ przez tydzień nie było mnie na łamach „Odgłosów" zmuszony jestem zrobić mały remanent i wrócić do niektórych spraw z minionego czasu. Jedną z nich jest „Nieustająca huśtawka" w „DZIENNIKU ŁÓDZKIM" (z 10 marca 1983 r.), w którym

JERZY WAWRZAK O „ODGŁOSACH"

się wypowiada. Przez 10 lat był redaktorem naczelnym naszego pisma. Przeżył okres „propagandy sukcesu", jak i posierpniowy. Ma więc pełne prawo nazwać czas ten *„nieustającą huśtawką"*.

„Czytelnicy, głosujący swym bilonem w kioskach — pisze J. Wawrzak — mieli pretensje, że lakierujemy rzeczywistość, władza, że przeczerniamy..., jak stawaliśmy się bardziej pryncypialni, z łamów wiało nudą i nakład leciał na łeb, jak zaczęliśmy się podpierać seksem, protestowali nauczyciele, jak braliśmy się za bonzów, chadzało się na dywanik. Naprawdę można było zwariować..."

Na szczęście nikt nie zwariował.

„Bardzo chciałem — kontynuuje J. Wawrzak — *żeby to pismo znaczyło w Łodzi i kraju tyle, ile oczekują ambitni czytelnicy i odważni twórcy, żeby było powszechnie czytane i uznane ze autorytet w problematyce społeczno-kulturalnej. Niestety, mnie także się nie udało. Myślę, że obok naszych słabości, stało się tak za sprawą klimatu współczesnej Łodzi i historycznych obciążeń tego dziwnego miasta."*

Tyle Jerzy Wawrzak. Sądzę, że jest obecnie okazja, aby rozwiać kilka mitów o piśmie. Okazją tą jest 25-lecie „Odgłosów".

Ale inni też mieli jubileusze. Oto

„SZTANDAR MŁODYCH" WYDAŁ JUŻ 10 000 NUMERÓW

Dziennikarze tego popularnego i dobrze robionego pisma gościli w programie II TV i na antenie Polskiego Radia w audycji „Poranne Sygnały", a dziennikarze PR wydali 10 001 numer „SM". Kolegom ze „Sztandaru Młodych" serdeczne gratulacje, choć tak spóźnione.

Również gratulacje dla tygodnika „PIŁKA NOŻNA", który to tygodnik — wówczas jeszcze miesięcznik — ukazał się po raz pierwszy 6 marca 1973 roku.

Na zakończenie kilka cytatów.

DLACZEGO LEPIEJ BYĆ MĘŻCZYZNĄ, A DLACZEGO KOBIETĄ

Mężczyzną, bo:

— *„można zostać głową państwa i łatwiej zrobić karierę,*

— *można iść do wojska, zostać komandosem, grać w piłkę nożną i w orkiestrze na trąbie,*

— *można wziąć wypłatę, iść do knajpy i wszystko przepić,*

— *można bić żonę,*

— *można robić to, co się lubi..."*

A kobietą, bo:

— *„można raz do roku mieć swoje święto,*

— *można nie chrapać,*

— *można się poświęcać..."*

Tak dzieci wyraziły się o dorosłych na łamach „Przeglądu Tygodniowego".

LUCJAN BOGUSZ ■

Wszystkim, którzy z okazji 25 lat „Odgłosów" nadesłali gratulacje i życzenia zespół „Odgłosów" składa serdeczne podziękowania.

GENERAŁ WOJCIECH JARUZELSKI Z WIZYTĄ W ŁODZI

8 marca br. gościł w Łodzi wraz z delegacją partyjno-rządową, generał WOJCIECH JARUZELSKI. Premier przyjechał do Łodzi pociągiem. Bezpośrednio po przyjeździe złożył niespodziewaną wizytę w ZPP „Feniks". Odwiedził wydziały produkcyjne, rozmawiał z pracownikami o ich problemach związanych nie tylko z wykonywanym zawodem. Kobietom z okazji ich święta składał życzenia. Następnie odwiedził Zakład „C" ŁZPB im Obrońców Pokoju. I tam, podobnie jak w „Feniksie", życzenia dla kobiet oraz rozmowy. Rozmowy o wszystkim, o niskich płacach, kłopotach zaopatrzeniowych, produkcji. Generała interesuje wszystko. Po obiedzie spożytym w zakładowej stołówce, spotkanie z kobietami, reprezentantkami wszystkich kobiet naszego województwa. W spotkaniu tym obok premiera Wojciecha Jaruzelskiego uczestniczyli także: wicepremier — ZENON KOMENDER, wiceminister obrony narodowej, szef Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego — gen. dyw. JÓZEF BARYŁA, sekretarz CK SO — ZDZISŁAW LASOCKI, minister przemysłu chemicznego i lekkiego — EDWARD GRZYWA oraz zdrowia — TADEUSZ SZELACHOWSKI, a także przewodnicząca ZG Ligi Kobiet Polskich — JADWIGA BIEDRZYCKA oraz władze łódzkie z członkiem Biura Politycznego KC PZPR — TADEUSZEM CZECHOWICZEM i prezydentem JÓZEFEM NIEWIADOMSKIM. W trakcie spotkania głos zabierało bardzo wiele kobiet mówiąc o wszystkich problemach i troskach nurtujących całe nasze społeczeństwo. Głos zabrał także gen. Wojciech Jaruzelski. Mówił o wrażeniach jakie wyniósł z odwiedzin w dwu ogromnych łódzkich zakładach pracy. Przypomniał także inicjatywę Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego — budowy pomnika Matki—Polki. W wyniku licznych konsultacji narodził się projekt budowy szpitala — centrum zdrowia matki. Jak poinformował generał Jaruzelski, centrum to zbudowane zostanie w Łodzi i będzie służyło kobietom z całego województwa, a także kraju.

Generał Wojciech Jaruzelski złożył także niespodziewaną wizytę w siedzibie RTS „Widzew". Premier pogratulował drużynie zwycięstwa w ćwierćfinałowym meczu Pucharu Europy z Liverpoolem i życzył dalszych sukcesów.

Ostatnim elementem wizyty generała Wojciecha Jaruzelskiego w Łodzi był udział w obradach Egzekutywy Komitetu Łódzkiego PZPR.

OCENA KAMPANII SPRAWOZDAWCZEJ W PZPR

8 marca br. pod przewodnictwem I sekretarza KC PZPR, generała armii WOJCIECHA JARUZELSKIEGO odbyło się spotkanie Sekretariatu Komitetu Centralnego PZPR z I sekretarzami komitetów wojewódzkich.

Głównym tematem narady była ocena przebiegu kampanii sprawozdawczej w partii oraz wynikające z niej zadania dla dalszej działalności. Wysłuchano także informacji oraz ustosunkowano się do projektów rządowych programów działań antyinflacyjnych i oszczędnościowych.

DOM OPIEKI SPOŁECZNEJ POWSTANIE W ZDUŃSKIEJ WOLI

W Zduńskiej Woli przed kilkunastoma miesiącami zrodziła się inicjatywa budowy w tym mieście domu opieki nad przewlekle chorymi. Powstał Społeczny Komitet jego budowy. Dom będzie nosił imię św. Maksymiliana Kolbego. Znana jest już jego lokalizacja.

W sobotę 5 marca br., w Zduńskiej Woli odbyło się spotkanie władz miasta z członkami Społecznego Komitetu Budowy Domu Opieki Społecznej. Wzięli w nim także udział: przewodniczący TRK PRON — JAN DOBRACZYŃSKI, wicepremier — ZENON KOMENDER oraz minister zdrowia i opieki społecznej — TADEUSZ SZELACHOWSKI.

Kronika kulturalna

W Teatrze Nowym grana jest z ogromnym powodzeniem sztuka Igora Sikiryckiego **„Zatopione królestwo"**. Premiera tego przedstawienia (o czym już pisaliśmy) połączona była z wręczeniem autorowi Orderu Uśmiechu. Sztukę reżyserował **Marian Stanisławski**, scenografię zaprojektowała **Anna Bobrowska-Ekiert**. Muzykę przygotował **Bogdan Pawłowski**.

8 MARCA br. w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki odbyło się spotkanie z red **Leonem Bukowieckim**. Redaktor Bukowiecki mówił m.in. o przebiegu ostatniego festiwalu filmowego w Berlinie Zachodnim. Wyświetlono także film w reżyserii **C. Chabrola „Rzeźnik"**.

TEATR im. St. Jaracza przygotowuje się (a właściwie już skończył przygotowania i tylko ze względu na chorobę aktora, jeszcze nie widzieliśmy tego spektaklu), do premiery **„Opery za trzy grosze" Bertolda Brechta i Kurta Weilla.**

Spektakl reżyseruje **Bogdan Hussakowski**, scenografię przygotował **Jacek Ukleja**, kierownictwo muzyczne sprawuje **Piotr Hertel.**

W rolach głównych zobaczymy: **Bogusława Sochnackiego, Bożenę Rogalską, Małgorzatę Rogacką-Wiśniewską, Kamila Sommlera, Sławomira Misiurewicza i Stanisława Jaskółkę.**

W TEATRZE im. St. Jaracza na Scenie 7.15 odbyła się premiera sztuki **V. Sardou „Madame Sans-Gene"**. Sztukę reżyserował **Jerzy Gruza**, scenografią zajęła się **Ewa Mikulska.**

W przedstawieniu grają: **Barbara Marszałek, Włodzimierz Skoczylas (gościnnie), Bogusława Pawelec, Zofia Tomaszewska, Ewa Mirowska, Ireneusz Kaskiewicz, Bogdan Wróblewski i Marek Kolaczkowski.**

ZAKŁADOWY Dom Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju przy udziale Wydziału Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź—Widzew ogłasza otwarty TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA O LAUR ST. CZERNIKA — WIOSNA 83.

Do turnieju można zgłaszać utwory, które do tej pory nie były nigdzie publikowane i nagradzane w konkursach literackich — po jednym wierszu jednego autora. Wiersz oznaczony godłem należy nadesłać w dwóch egzemplarzach maszynopisu do dnia 31 marca 1983 r. pod adresem: ZDK ŁZPB Obrońców Pokoju ul. Przędzalniana 68 z dopiskiem „Turniej Jednego Wiersza". Do wierszy, w osobnej kopercie należy dołączyć imię i nazwisko oraz dokładny adres zamieszkania.

Nagradzane będą wyłącznie prace autorów obecnych na imprezie finałowej (od chwili jej rozpoczęcia), która odbędzie się w dniu 10 kwietnia 1983 r. o godz. 16, w kawiarni ZDK (adres jak wyżej). Organizatorzy nie zwracają nadesłanych wierszy nie wysyłają też osobnych zaproszeń na imprezę finałową.

W numerach następnych:

- **Dwie trzecie polskich dziewczyn kocha się w Bońku lub Smolarku**
- **Klienci „Centralu" będą mogli obejrzeć się na zdjęciach Mirosława Zajdlera**
- **Co Klaus Barbie robił w Brazylii**
- **Reformy po polsku**
- **Solon nie wymyślił najstarszego zawodu świata**

Jak rozumieć niektóre sformułowania Deklaracji PRON?

W koalicji i pod przewodnictwem

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Obradująca w lutym w Warszawie Tymczasowa Rada Krajowa PRON przyjęła podstawowe dokumenty, a w tym także projekt Deklaracji. Równocześnie PRON wezwał do podjęcia dyskusji społecznej nad ideowymi oraz politycznymi założeniami ruchu.

Z „Kierunków działalności", które zapewne złożą się na przyjęty na Krajowym Kongresie program ruchu wybrałem te, które nazwane są w dokumencie: *„demokratyzacją metod sprawowania władzy".*

Wołanie o demokrację, zarówno w znaczeniu ekonomicznym, jak przede wszystkim politycznym, nie ustało od Sierpnia 1980 r. po dzień dzisiejszy. Sprawy te, chociażby z istoty socjalizmu, będą również problemem aktualnym i ważnym w przyszłości. Bowiem demokracji nie da się zadekretować, same gwarancje formalne i instytucjonalne tu nie wystarczą. Demokracja, wbrew temu, co sądzą niektórzy, nie jest jedynym sposobem na pokonanie ani na przetrzymanie kryzysu. Nie jest to także „złoty" środek na to, aby w przyszłości władza była już „dobra". Demokracja to sposób na współistnienie wielkich grup społecznych, a w tym dwu ważnych kategorii politycznych: społeczeństwa, konsekwentnie dopominającego się o podmiotowość oraz władzy.

Demokracja to socjalistyczna norma społeczno-polityczna regulująca zasady politycznego współżycia klas, warstw i grup społecznych między sobą oraz między społeczeństwem a władzą. To także norma zakreślająca *granice nieantagonistycznej walki klas o swoje interesy i gwarancje. To wreszcie* norma dopuszczalnych form, metod i środków tej walki czy, jak wolą inni, politycznego dialogu. Kardynalną zasadą demokracji socjalistycznej jest priorytet, nadrzędność interesów ekonomicznych i politycznych klasy robotniczej. Jest to jeden z tzw. pryncypiów.

Wracając zaś do opublikowanego tekstu projektu Deklaracji PRON, pragnę skupić swoją uwagę nad postulowanymi tam sposobami działań, które zatytułowano

„DEMOKRATYZACJA METOD SPRAWOWANIA WŁADZY"

W posierpniowej przeszłości zgłaszano już kilka sposobów i metod demokratyzacji naszego systemu politycznego, w tym także postulat zawarty w tekście projektu dokumentu PRON, a mówiący o potrzebie *„wprowadzenia nowej ordynacji wyborczej do Sejmu i rad narodowych"*. Myślę, że czas ku temu, aby podjąć rzetelną konsultację i dyskusję społeczną na ten temat. Uważam, iż liczenie na to, co udało się Władysławowi Gomułce w popaździernikowej odnowie, a mianowicie pozyskanie większości społeczeństwa do hasła: *„głosujemy na jedną listę i bez skreśleń"*, może się okazać politycznym nieporozumieniem. Na „jedność ideowo-polityczną narodu", tę z okresu lat siedemdziesiątych, ani też na rezygnację z rozbudzonych ambicji politycznych partii sojuszniczych oraz katolików świeckich, nie powinno się w aktualnej sytuacji kraju liczyć.

Jest w cytowanym dokumencie także inny, moim zdaniem niezwykle ważny postulat. Otóż pisze się tam, że *„w szczególności widzimy konieczność: (...) umacniania i wzbogacania koalicyjnego systemu sprawowania władzy"*.

Związek tego postulatu z poprzednim, tj. zgłoszoną przez PRON potrzebą demokratyzacji wyborów oraz systemu sprawowania władzy jest oczywisty. Powodzenie realizacji obu propozycji jest warunkowane wzajemnie. Niemniej jednak domaganie się *„koalicyjnego systemu sprawowania władzy"* jest z politycznego punktu widzenia na tyle ważne i ciekawe, że warte osobnego omówienia, szczególnego potraktowania w ogólnospołecznej konsultacji.

SPRAWOWANIE WŁADZY

jest w największym stopniu związane z ustrojem i systemem politycznym. Stąd wydaje się, że koniecznym jest na wstępie przeanalizowanie zasadności oraz realności postulatu *„koalicyjności władzy"* z punktu widzenia norm i zasad obowiązujących w socjalistycznym systemie politycznym.

Najogólniej rzecz ujmując pod pojęcie systemu politycznego podpadać będzie stwierdzenie, iż jest to układ stosunków, relacji i powiązań, jakie zachodzą pomiędzy elementami składowymi organizacji politycznej danego społeczeństwa. Na danym etapie jego rozwoju tworzyć one powinny ustrojowo-polityczną całość, wewnętrznie spójną i społecznie akceptowaną.

Szczególne miejsce w systemie politycznym zajmuje system partyjny, czyli układ legalnie działających partii politycznych (stronnictw), współzawodniczących bądź współdziałających w walce o władzę, czy też współpracujących przy jej sprawowaniu. Rywalizując o władzę lub współdziałając z sobą w jej sprawowaniu, partie stosują się do określonych „reguł gry". Owe „reguły" zapisane są w konstytucji oraz ordynacji wyborczej. Wyznaczają je' charakter demokracji i jej zakres oraz cechy systemowe. Stąd inne są wymogi ordynacji wyborczej na wczesnym etapie dyktatury proletariatu, odmienne zaś w późniejszej jej fazie.

Jeśli postulat o *„konieczności umacniania i wzbogacania koalicyjnego systemu sprawowania władzy"* odnieść do pojemniejszego, szerszego pojęcia „systemu politycznego", to w zasadzie w jego interpretacji nie powinny się nasuwać poważniejsze wątpliwości. System ten w PRL ze swojej istoty jest już koalicyjny. Tak więc postulat PRON, nie naruszałby tu, nie zmieniał żadnej z istniejących zasad, a jedynie zawierałby propozycję stworzenia swoistych (instytucjonalno-politycznych i społecznych) gwarancji tego, że będzie on dalej w przyszłości tak właśnie funkcjonował. Że nie będzie, jak w przeszłości, podlegał permanentnym wypaczeniom, że nie będzie ulegał deprecjacji na skutek biurokratycznonakazowych zakusów władzy tak szczebla centralnego, jak i lokalnego. Będzie to również postulat ruchu o powszechne uświadomienie sobie konieczności stałego wzbogacania owego systemu w nowe i coraz doskonalsze formy i metody jego funkcjonowania zgodnie z wymogami i potrzebami danego etapu rozwoju socjalizmu, poziomem aspiracji i świadomości społecznej i wymaganiami ustrojowymi.

Tak więc w tej postaci i w tym rozumieniu propozycja zawarta w projekcie Deklaracji PRON nie może budzić ani wątpliwości, ani — myślę sprzeciwów.

Nieco inaczej rzecz cała ma się, jeśli ten słuszny, ale ogólny postulat spróbujemy zaadresować konkretnie, np. w odniesieniu do systemu partyjnego.

SYSTEM PARTYJNY

jak to już wyżej określiliśmy, to ogół legalnie działających w danym kraju partii politycznych Jest to więc pojęcie o wiele węższe od pojemnego „systemu politycznego". Do systemu politycznego bowiem oprócz partii należą również organizacje społeczno-polityczne innego typu, a w tym m. in. związki zawodowe, organizacje młodzieżowe, stowarzyszenia katolików świeckich. To tylko niektóre z tych, o których można powiedzieć, iż posiadają w mniejszym lub większym stopniu charakter i aspiracje ruchów i organizacji politycznych. W odniesieniu do nich „koalicyjność" oznaczać może współistnienie, a nawet współdziałanie ruchów o różnorodnych przesłankach natury ideologicznej, politycznej czy światopoglądowej. „Koalicyjność" oznaczać tu może również pluralizm zarówno w kategoriach różnych racji światopoglądowych, a nawet politycznych (nie wykraczających jednak poza systemowe „reguły gry").

Z systemem partyjnym rzecz ma się nieco inaczej. Przypomnę jedynie, iż system nasz ma charakter szczególny, jest systemem hegemonicznym z dominującą pozycją partii komunistycznej i sojuszniczym charakterem stronnictw. System hegemoniczny nie dopuszcza w teorii i dotychczasowej praktyce politycznej zasady konkurencyjności, czyli inaczej — partii opozycyjnych (w rozumieniu opozycji systemowej, do ustroju). Ten model systemu partyjnego, w odróżnieniu od radzieckiego wzorca systemu monopartyjnego nawiązuje zarówno do polskiej tradycji życia politycznego, jak i doświadczeń sojuszu partii z bloku demokratycznego lat 1944—1948.

Jak dotąd wyodrębnia się trzy zasadnicze fazy rozwoju i kształtowania się polskiego systemu partyjnego. Pierwszą z nich stanowi okres formułowania się socjalistycznego systemu partyjnego z dwoma okresami (pierwszy: od lipca 1944 do stycznia 1947 i drugi: od lutego 1947 do Kongresu Zjednoczeniowego w grudniu 1948 roku). Lata następne — aż po rok 1957 — to złożony i trudny, niewolny od nieprawidłowości oraz zakusów ku monopartyjności okres przeobrażeń. Po przemianach politycznych roku 1956 możemy w zasadzie mówić o trzeciej fazie rozwoju systemu partyjnego w PRL. Myślę, że przemiany i przeobrażenia posierpniowe dadza asumpt do dalszych (już dziś widocznych) przekształceń w polskim systemie partyjnym.

W latach kształtowania się socjalistycznego modelu partyjnego w Polsce jego zasady wywodzone były z leninowskiej definicji istoty i ogólnonarodowych celów dyktatury proletariatu.

„Dyktatura proletariatu — pisał Lenin — *jest szczególną formą sojuszu klasowego między proletariatem, awangardą mas pracujących a licznymi nieproletariackimi warstwami mas pracujących (...) sojuszu mającego na celu ostateczne zbudowanie i utrwalenie socjalizmu.*

Stąd hegemoniczny system partyjny, zakładając jego niekonkurencyjny charakter oraz gwarancje kierowniczej w nim pozycji partii robotniczej (komunistycznej), dopuszcza istnienie — na zasadach sojuszu — sił politycznych będących przedstawicielstwem i wyrazicielem interesów innych klas, jak np. chłopskiej czy drobnokapitalistycznej.

Z myślą zawartą w tej definicji Lenina, jak również z leninowskim rozumieniem istoty władzy ludowej w państwie budującym socjalizm, wyraźnie kolidowała doktryna stalinowska. W artykule pt. „W sprawie rządu robotniczo-chłopskiego", Stalin przecząc Leninowi twierdził m. in., iż„ (...) *nasze państwo* (Związek Radziecki — przyp. K.J.S.) *jest państwem dyktatury proletariackiej, a dyktatura proletariacka jest władzą jednej klasy, władzą proletariatu"*. Stąd Stalin wywiódł prosty wniosek, iż proletariat nie powinien się władzą z nikim dzielić, nie zabiegać o przyswojenie sobie ideologii socjalizmu przez inne klasy i warstwy społeczne, nie tworzyć politycznych sojuszy. Dlatego też już wrótce po śmierci Lenina radziecki system partyjny stał się monopartyjnym.

Stalinowska interpretacja istoty dyktatury proletariatu oraz „przejściowego" charakteru sojuszu klasy robotniczej z chłopstwem i rzemieślnikami odcisnęła swoje piętno na treści „Deklaracji Ideowej PZPR", uchwalonej na Kongresie Zjednoczeniowym. W rozdziale pt. „Zwycięstwo demokracji ludowej w Polsce", czytamy m. in. że *„cechami zasadniczymi demokracji ludowej w Polsce są: (...) ograniczenie, wypieranie i stopniowe usuwanie z życia gospodarczego elementów kapitalistycznych w mieście i na wsi (...) przy równoczesnym dobrowolnym przekształceniu gospodarki drobnotowarowej w gospodarkę zespołową"*. W dalszej części Deklaracji czytamy o konieczności wypowiedzenia walki tym wszystkim, którzy dążą do *„stabilizacji gospodarki trójsektorowej"*. Poglądy zwolenników modelu trójsektorowej gospodarki uznano za przejaw *„politycznego fałszu"* oraz wyznawania *„antymarksistowskich teorii"*.

Przypomnijmy w tym miejscu, że Uchwała IX Zjazdu PZPR zapewnia wszystkim sektorom jednakowe społeczno-ekonomiczne warunki funkcjonowania i rozwoju zarówno w mieście, jak i na wsi. Zjazd potwierdził *„nienaruszalność chłopskiej własności i prawne gwarancje jej dziedziczności"*. Zaś wspólne plenum KC PZPR i NK ZSL opowiedziało się za gwarancjami konstytucyjnymi dla gospodarstw rodzinnych w rolnictwie. Z uchwały IX Zjazdu i wspólnego Plenum wynikną konieczność zmiany, modyfikacji stanowiska PZPR w przyszłej, nowej deklaracji.

Popaździernikowe zmiany niosły z sobą obietnice odejścia od tendencji monopartyjnych, od złej praktyki stopniowego wypierania stronnictw sojuszniczych z wpływu na sprawy władzy. Trzeba przyznać, iż okres gomułkowski był znacznym postępem w stosunku do lat 50. Pod koniec jednak lat 60 i w okresie ostatniej dekady pozycja i rola stronnictw sojuszniczych i ugrupowań katolickich w systemie politycznym spadła. Stopniowo również malał autorytet społeczny SD i ZSL. W imię źle interpretowanej kierowniczej roli PZPR przyczyniano się do kolejnego wypaczania zasad i funkcji układu sojuszniczego.

KRYZYS POSIERPNIOWY

musiał odcisnąć swoje piętno również na stosunkach międzypartyjnych. Oczywistym stało się, że w ogólnospołecznym procesie reform, przemian i odnowy musiały ulec także naprawie zasady praktycznego funkcjonowania systemu politycznego, a partyjnego w szczególności.

W poszukiwaniu adekwatnych treści do postulatu „koalicyjności" systemu partyjnego należało odrzucić wszystkie wzorce i znane nam modele burżuazyjne. Powody takiego założenia są aż nader oczywiste. Po pierwsze bowiem wynikający z różnic ustrojowych konkurencyjny charakter systemu politycznego państw burżuazyjnych nie jest przystający do warunków polskich, gdyż byłby sprzeczny z założeniami ustrojowymi socjalizmu. Społeczeństwo nasze jest i długo jeszcze pozostanie społeczeństwem klasowym, ale owa klasowość nie posiada i nie może posiadać charakteru antagonistycznego (różnice klasowych interesów i powstające na ich bazie sprzeczności powinny być tak rozwiązywane, aby nie stanowiły przesłanek dla odżywania tendencji antysocjalistycznych). Odmienne także są owe „reguły gry" rządzące demokracją burżuazyjną i socjalistyczną. Hasła „wolnej gry sił politycznych" nie mają u nas zastosowania.

Z tych to, jak się wydaje, oczywistych względów należy sobie zadać pytanie: co miałby oznaczać w konkretnych, polskich realiach politycznych postulat PRON o potrzebie „koalicyjności" i jakie miałby on odniesienie do systemu partyjnego? Czy miałoby to być jedynie inne nazewnictwo do dotychczas stosowanego określenia — hegemoniczny, czy też wiązałoby się to z istotnymi przeobrażeniami tegoż systemu? A jeśli tak, to w jakim kierunku te przemiany miałyby zmierzać?

W pierwszym przypadku ze zmianą nazwy wiązać by należało zapewne proces wyeksponowania sojuszniczego, partnerskiego charakteru stosunków międzypartyjnych, a także sprecyzowania rękojmi z tytułu „na nowo" rozumianej przewodniej i kierowniczej roli PZPR w systemie politycznym.

Gdyby zaś przyjąć, że teza o *„umacnianiu i wzbogacaniu koalicyjnego systemu sprawowania władzy"* zgłoszona przez PRON, a także stronnictwa sojusznicze miałaby również pociągnąć za sobą istotne, jakościowe zmiany w regułach funkcjonowania systemu partyjnego, to wówczas zrodziłoby to konieczność weryfikacji dotychczasowych pojęć o socjalistycznym systemie partyjnym. Tak więc wydaje się, iż póki co niezbędne jest bliższe sprecyzowanie przez autorów dokumentu PRON zakresu postulowanych przemian, a także wypowiedzenie się w tej kwestii naukowców i gremiów partyjnych. W tak istotnej dla politycznych warunków budowy socjalizmu w Polsce sprawie nie powinno być ani nadmiernej ogólnikowości, ani tym bardziej jakichkolwiek niejasności, które zawsze stwarzają okazję do różnorodnych — czasem krańcowych — ich interpretacji, do woluntaryzmu.

Z etymologii słowa „koalicyjny" wynika, że chodzi o układ dobrowolnego porozumienia, związku, sojuszu partii politycznych dla utworzenia wspólnego rządu i wzięcia w nim udziału na pełnych i równych prawach politycznego partnera. Stąd widzę potrzebę określenia zarówno zakresu owej *„koalicyjności"* w konkretnych, polskich warunkach, jak również stosunku do dotychczas obowiązującej hegemonicznej pozycji PZPR w systemie społecznym, politycznym, w systemie partyjnym i we władzy. Stąd także rodzi się moja wątpliwość i pytanie: czy postulowana przez PRON *„koalicyjność"* miałaby, a jeżeli już to na ile, w jakim stopniu i zakresie zmieniać dotąd ukształtowany układ sił politycznych? Czy tak rozumiana *„koalicyjność"* oznaczałaby mniej lub bardziej ograniczoną konkurencyjność owych sił względem siebie?

Podobnych pytań można postawić jeszcze kilka. Zawsze będą one nie tyle wyrazem dezaprobaty wobec idei zgłoszonej przez nowy ruch, ile wyrazem troski o precyzyjność politycznych pojęć i ich konkretność.

Demokratyzacja metod sprawowania władzy

Będziemy dążyć do tego, aby w pełni wykonywano uchwalone już ustawy demokratyzujące nasz system polityczny. Chcemy przyczyniać się do tworzenia społeczno-politycznych warunków dla korzystania przez organy przedstawicielskie i samorząd z zapewnionej im przez prawo pozycji i uprawnień.

W szczególności widzimy konieczność:

*** wzmocnienia roli rad narodowych, samorządu terytorialnego i innych form samorządności w stosunkach z państwową administracją terenową i gospodarczą;**

*** wypracowywania nowej ordynacji wyborczej do Sejmu i rad narodowych;**

*** umacniania i wzbogacania koalicyjnego systemu sprawowania władzy;**

*** uchwalenia ustawy o konsultacjach społecznych;**

*** rychłego zakończenia prac nad ustawą o Trybunale Konstytucyjnym;**

*** umacniania systemu instytucji gwarantujących nienaruszalność praw obywatelskich, uwzględniając różnorodne inicjatywy społeczne.**

(Deklaracja Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego)

Pośpiech może też być szkodliwy

W sto lat po śmierci Karola Marksa mamy w Polsce dość niekorzystną dla marksistów atmosferę społeczną. Lewica marksistowska jest w defensywie. Ludzie są przygnębieni cyklicznością błędów i kryzysów oraz brakiem jasnej wizji przyszłości.

Moim zdaniem wątpienia to w znacznym stopniu wynika z niezrozumienia teorii marksizmu i złożoności praktyki socjalizmu. Karol Marks przecież uważał, że rozwój społeczny jest procesem „przyrodniczo-historycznym", w którym skutki działań ludzkich zwykle odbiegają od zamiarów i dlatego poszczególne jednostki ponoszą ograniczoną odpowiedzialność. Jeśli miał on rację — a fakty wyraźnie na to wskazują — to znaczy, że w rzeczywistości istnieją niewielkie możliwości świadomego i planowego kształtowania historii. A tym samym budowa socjalizmu jest przedsięwzięciem niezwykle śmiałym i wręcz zuchwałym. Chcemy bowiem pokierować dziejami.

Jest to sprawa tak wielka, że nie da się tu uniknąć wielkich błędów. Pisał już zresztą o tym Włodzimierz Lenin. Według niego socjalistą nie jest ten, kto wpada w panikę i zwątpienie z powodu błędów.

Kiedy głęboko zastanowić się nad naturą procesu społeczno-historycznego i naszymi niepowodzeniami, przypomina się ironiczny i sarkastyczny wierszyk Leopolda Staffa. Pisał on:

„Niech cię nie niepokoją
Cierpienia twe i błędy.
Wszędy są drogi proste,
Lecz i manowce wszędy.
O to chodzi jedynie,
By naprzód wciąż iść śmiało,
Bo zawsze się dochodzi
Gdzie indziej, niż się chciało".

Błędy są zatem czymś naturalnym i nieuchronnym, a w pewnym sensie nawet koniecznym warunkiem wszelkiego rozwoju. Także przyroda — lub Pan Bóg — popełnia błędy. Czymże bowiem są w istocie mutacje, jak nie błędami właśnie. Nasze nieszczęście polega jednak na tym, że popełniamy błędy elementarne, i że za mało uczymy się na błędach. A powinniśmy być chociaż mądrzy po szkodzie, aby ostrożniej i rozważniej działać w przyszłości. Lecz niestety, nie wykazujemy dostatecznej pilności w studiowaniu przyczyn naszych błędów. I podejrzewam, że obecnie też niewiele nauczyliśmy się.

Historia pokazuje, że główne błędy i wypaczenia pojawiały się wtedy, gdy odchodzono od teorii marksistowskiej i lekceważono obiektywne prawa. Karol Marks zakładał, że świadomie można realizować jedynie to, co już dojrzało do urzeczywistnienia. Praktyka rewolucyjna miała tylko przekształcać zjawiska możliwe w rzeczywiste. Komuniści zaś mają skłonność do skracania perspektywy historycznej i są zbyt niecierpliwi — chcieliby szybko i na siłę uszczęśliwić ludzi. Tak jak bohater Fiodora Dostojewskiego marzył we śnie „żeby wszystkim coś dobrego zrobić..., żeby nie było już łez od tej chwili i żeby od razu, natychmiast to zrobić, nie zwlekając, wbrew wszystkiemu, z całą karamazowską pobudliwością". A pośpiech jest niestety szkodliwy i przynosi złe skutki — mimo najlepszych chęci.

Nie należy zapominać, że każda formacja kształtowała się bardzo długo. Na przykład kapitalizm formował się przez trzy stulecia, a feudalizm jeszcze dłużej. Nie powinniśmy też nadużywać przymiotnika „socjalistyczny" i zbyt pochopnie ogłaszać rzeczywistości za ucieleśnienie ideału. Budowa socjalizmu w Polsce musi być procesem trudnym i długotrwałym oraz zadaniem dla wielu pokoleń, ponieważ startowaliśmy od niskiego poziomu ekonomicznego i kulturalnego.

Ale po co w ogóle budujemy socjalizm? Uczeni marksiści odpowiadają, że w celu zniesienia klas i alienacji człowieka. Jednakże takie wyjaśnienie słabo przemawia do przeciętnego obywatela, któremu zwyczajnie i po prostu chodzi o to, aby żyło się coraz lepiej i szczęśliwiej. I wszak o to przede wszystkim walczył Karol Marks.

Rzecz jednak w tym — w jaki sposób zmniejszać zło i polepszać los ludzki? Na to pytanie w historii myśli filozoficznej znajdujemy dwie zupełnie różne odpowiedzi: pierwsza mówi, że trzeba zmieniać „wewnętrzny" świat strukturalno-instytucjonalny, a druga wzywa do „wewnętrznej" odmiany człowieka.

Marksiści wybierają i realizują raczej pierwszą koncepcję znoszenia zła, natomiast drugą preferują buddyści i chrześcijanie. Ale prawda — według mnie — jest syntezą obu stanowisk. To znaczy, że rewolucja moralna jest nie mniej ważna od społecznej. Jedna bez drugiej nie ma sensu. Niestety my tego jakoś nie potrafimy zrozumieć i sprawy osobowościowe wciąż poświęcamy na rzecz gospodarczych. Być może jest to najpoważniejszy nasz błąd.

EDMUND LEWANDOWSKI ■

Dwa odkrycia Karola Marksa

FRYDERYK ENGELS

Spośród wielu doniosłych odkryć, które zapisały imię Marksa w historii nauki, wskażemy tu tylko dwa.

Pierwszym jest dokonany przez niego przewrót w całym pojmowaniu dziejów świata. Wszystkie dotychczasowe poglądy na dzieje oparte były na wyobrażeniu, że ostatecznych przyczyn wszelkich zmian historycznych szukać należy w zmieniających się ideach ludzi i że ze wszystkich zmian historycznych najważniejszymi, rządzącymi całą historią, są kolejne zmiany polityczne. Ale skąd biorą się u ludzi idee, jakie są przyczyny napędowe zmian politycznych, o to nie pytano wcale. Jedynie nowszej szkole francuskich, a po części angielskich historyków narzuciło się przeświadczenie, że co najmniej od wieków średnich siłą napędową historii europejskiej jest walka rozwijającego się mieszczaństwa z feudalną szlachtą o panowanie społeczne i polityczne. Otóż Marks dowiódł, że cała dotychczasowa historia jest historią walk klasowych, że we wszystkich różnorodnych i skomplikowanych walkach politycznych idzie jedynie o społeczne i polityczne panowanie klas społecznych, o utrzymanie panowania ze strony klas starych, o zdobycie panowania ze strony klas nowych, dźwigających się wzwyż. Ale wskutek czego znowu powstają i istnieją te klasy? Wskutek każdorazowych, dających się w zupełności odczuć zmysłami warunków materialnych, w jakich społeczeństwo w danym okresie produkuje i wymienia swe środki utrzymania. (...)

Z tego punktu widzenia, przy dostatecznej znajomości ekonomicznego stanu społeczeństwa w danym okresie (której to znajomości co prawda brak całkowicie naszym zawodowym historykom) tłumaczy się najprościej wszystkie zjawiska historyczne. Podobnie też wyobrażenia i idee każdego okresu historycznego tłumaczą się bardzo prosto ekonomicznymi warunkami życia i z kolei przez nie uwarunkowanymi społecznymi i politycznymi stosunkami tego okresu. Historia została po raz pierwszy osadzona na swej rzeczywistej podstawie; namacalny, lecz dotychczas całkowicie przeoczony fakt, że ludzie muszą przede wszystkim jeść, pić, mieszkać i ubierać się, a więc muszą pracować, zanim będą mogli walczyć o panowanie, zajmować się polityką, religią, filozofią itp. — ten namacalny fakt zdobył sobie wreszcie teraz swe historyczne prawo.

Szczególnie doniosłe znaczenie miało to nowe pojmowanie dziejów dla światopoglądu socjalistycznego. Dowiodło ono, że cała dotychczasowa historia rozwijała się w obrębie przeciwieństw klasowych i walk klasowych, że zawsze istniały klasy panujące i uciskane, wyzyskujące i wyzyskiwane, że ogromna większość ludzi była zawsze skazana na ciężką pracę i nędzne życie. Dlaczego? Po prostu dlatego, że na wszystkich poprzednich szczeblach rozwoju ludzkości produkcja była jeszcze tak mało rozwinięta, iż rozwój historyczny mógł posuwać się naprzód jedynie w tej antagonistycznej formie, że historyczny postęp był na ogół pozostawiony działalności małej, uprzywilejowanej mniejszości, podczas gdy szerokie masy były skazane na to, by ciężko pracować na nędzne utrzymanie dla siebie i ponadto jeszcze na coraz obfitsze środki na utrzymanie uprzywilejowanych. Ale ta sama analiza historii, która tłumaczy w sposób naturalny i rozumny dotychczasowe panowanie klasowe, tłumaczone poprzednio tylko złą ludzką wolą, prowadzi też do zrozumienia, że wskutek tak kolosalnego wzrostu sił wytwórczych w dobie obecnej znika, przynajmniej w najbardziej przodujących krajach, ostatni pretekst do podziału ludzi na panujących i podanych, na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych; że panująca wielka burżuazja spełniła już swe historyczne powołanie, że nie tylko nie dorasta ona już więcej do kierowania społeczeństwem, ale stała się nawet przeszkodą w rozwoju produkcji, jak tego dowodzą kryzysy handlowe, a w szczególności ostatni wielki krach i ciężkie sytuacje przemysłu we wszystkich krajach; że historyczne kierownictwo przeszło do proletariatu, do klasy, która wskutek całej swej sytuacji społecznej może się wyzwolić tylko znosząc wszelkie w ogóle panowanie klasowe, wszelką niewolę i wszelki wyzysk; że społeczne siły wytwórcze, wyrosłe już na tyle, że burżuazja w pełni nad nimi już nie panuje, czekają tylko, aż weźmie je w posiadanie zrzeszony proletariat, aby stworzyć ustrój, który umożliwi każdemu członkowi społeczeństwa uczestniczenie nie tylko w wytwarzaniu, lecz także w podziale i zarządzaniu bogactwami społecznymi, ustrój, który przez planową organizację całokształtu produkcji do tego stopnia pomnoży społeczne siły wytwórcze i ich produkty, że zapewni każdemu zaspokojenie wszystkich jego racjonalnych potrzeb w stale rosnącej skali.

Drugim ważnym odkryciem Marksa jest ostateczne wyjaśnienie stosunku zachodzącego między kapitałem a pracą, innymi słowy, wykazanie, jak odbywa się w obecnym społeczeństwie, przy istniejącym kapitalistycznym sposobie produkcji, wyzysk robotnika przez kapitalistę. Odkąd ekonomia polityczna wysunęła twierdzenie, że praca jest źródłem wszelkiego bogactwa i wszelkiej wartości, stało się nieuniknione pytanie: w jaki sposób można z tym pogodzić fakt, że najemny robotnik nie otrzymuje całej sumy wartości wytworzonej przez swoją pracę, lecz musi część jej oddawać kapitaliście? Zarówno burżuazyjni ekonomiści, jak i socjaliści biedzili się na próżno nad znalezieniem naukowo uzasadnionej odpowiedzi na to pytanie, aż wreszcie Marks wystąpił ze swoim rozwiązaniem. Rozwiązanie to jest następujące: przesłanką dzisiejszego kapitalistycznego sposobu produkcji jest istnienie dwu klas społecznych: z jednej strony kapitalistów, w których posiadaniu znajdują się środki produkcji i utrzymania, z drugiej strony proletariuszy pozbawionych owej własności, posiadających na sprzedaż tylko jeden towar — swą siłę roboczą; tę swoją siłę roboczą muszą oni sprzedawać po to, aby zdobyć środki utrzymania. Ale wartość towaru jest określona ucieleśnioną w nim ilością pracy społecznie niezbędnej do jego wytworzenia, a więc i do jego reprodukcji; wartość siły roboczej przeciętnego człowieka w ciągu dnia, miesiąca, roku jest więc określoną ilością pracy ucieleśnionej w masie środków utrzymania niezbędnej dla zachowania tej siły roboczej w ciągu dnia, miesiąca, roku.

(Fragment artykułu pt. „Karol Marks" napisanego w połowie czerwca 1877 r.). ■

Dokończenie ze strony 1

i przyszłych pokoleń".

3. — Przeczytałem w gazecie — powiadam do Jurka Kowala — że średnia wypłata w Stoczni Północnej wyniosła 53 618 zł.

— *Zgadza się* — on na to. — *Najwyższa, o ile dobrze pamiętam, sięgała 160 tysięcy złotych. I nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Pamiętaj, że stocznie kończą swoją produkcję, czyli budowę statków pod koniec roku, na ogół w czwartym kwartale. Wtedy też rozlicza się wszystkie prace i stąd te wysokie wypłaty.*

— A skutki tego widać w ogołoconych sklepach.

— *Też się zgadza. Trudno cokolwiek kupić. Sam tego doświadczyłem na sobie. Skończyły mi się skarpetki. W sklepach nawet śladu po skarpetkach nie ma. Poszedłem na bazar. Trudno — postanowiłem — przepłacę, ale będę miał. Nie kupiłem. Oferowano mi za wysoką cenę... znoszone skarpetki. Może po jakim nieboszczyku — pomyślałem — i nie kupiłem.*

4. Deszcz przeszedł w śnieg. Z ciepłego mieszkania nie chce się wyjść na zamgloną i zimną ulicę. A w Gdańsku są ludzie, którzy o takiej porze kąpią się w... morzu. Nazywają ich „gdańskie morsy". Powiadają oni, że takie kąpiele hartują, chronią przed katarem i przeziębieniem. Nie chciało mi się wierzyć, ale pokazano mi zdjęcie, na którym kilku panów, młodych, w średnim i wyżej wieku oraz jedna pani kąpią się w zimowym morzu. Niech im będzie! Na zdrowie!

5. O 11 w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Gdańsku rozpoczęły się obrady Komisji Ideologicznej KC. Przewodniczy sekretarz KC — Marian Orzechowski.

Interesujące propozycje przedstawił przewodniczący Komisji Ideologicznej KW PZPR w Gdańsku, zastępca dowódcy Marynarki Wojennej do spraw politycznych, kontradmirał Ludwik Dutkowski:

— niezbędne jest wprowadzenie zwartego systemu kształcenia ideologicznego wszystkich bez wyjątku członków partii. Powinno to być poczne studium wiedzy o partii;

— zreformować program kształcenia w Wyższej Szkole Nauk Społecznych KC PZPR tak, aby przygotowywała wszechstronnie wykształconych specjalistów w dziedzinie politologii, nauki o partii, historii, ekonomii, socjologii, którzy mogliby stanowić twórcze, naukowe zaplecze partii;

— *niezbędne jest antyimperialistyczne wychowanie młodzieży.* Młodzi nie pojmują imperialistycznego zagrożenia. Są zafascynowani Zachodem, o którym wiedzę swą budują na podstawie zagranicznych pism kolorowych i filmów.

Stanisław Wroński:

— *Praktyka nie tylko sprawdza teorię, ale ma też moc propagandową. W naszej dotychczasowej praktyce zrobiliśmy wiele dobrego, ale też popełnialiśmy błędy. Partia musi mówić zarówno o tym, co było dobre, jak i tym co było złe. Musimy być w stosunku do tego zła opozycyjni. Musimy być w stosunku do naszych poczynań samokrytyczni. Włodzimierz Lenin mówił o partii że jest sumieniem, honorem i mądrością epoki. Na trzy określenia, dwa odnoszą się do moralności. Nie powinniśmy o tym zapominać.*

6. W Alei Zwycięstwa tuż przed Wrzeszczem tramwaj wyskoczył z szyn. Przerwa w ruchu na tak ważnej linii. Zaraz ludzie zaczną wychodzić z pracy. Pada deszcz. Przystanki puchną oczekującymi.

Przed stacjami CPN kilometrowe kolejki samochodów. Od jutra benzyna niebieska ma być reglamentowana. Rozeszła się pogłoska, że podrożeje.

— *Panie* — zwraca się do mnie mężczyzna w ortalionowej kurtce, widząc, że przyglądam się sceptycznie kolejce samochodów — *co im to da? Zaoszczędzą parę groszy, a ile stracą czasu.*

7. Sopot w zimowej mgle nie wygląda najciekawiej. W marcu miasto kończy 700 lat. 5 marca 1283 roku książę Mścisław Drugi zapisał klasztorowi cystersów w Oliwie 15 wsi, a wśród nich Sopot. Wieś jest więc starsza, ale liczy się jej wiek od pierwszej pisanej wzmianki. Archeolodzy znaleźli tu prasłowiańskie grodzisko z IX wieku.

Miastem Sopot stał się dopiero w 1901 roku. Kąpieliskiem morskim dużo wcześniej. W 1820 roku powstał pierwszy zakład kąpielowy. Nazywa się to tak szumnie, ale były to dwie wanny, do których wiadrami donoszono podgrzewaną w kotłach morską wodę.

Ojcem kurortu był dr Jan Haffner, były oficer wojsk napoleońskich. Przyjeżdżali tu wypoczywać sławni ludzie. Na przełomie wieku XIX i XX powstało wiele budynków o architekturze typowej dla nadmorskich kurortów. Można niektóre z nich i dziś oglądać. Po pierwszej wojnie światowej Sopot wcielono do obszaru Wolnego Miasta Gdańska. Było tu słynne kasyno gry. Wojna ominęła Sopot. W gruzach legł Gdańsk.

Statystycy obliczyli że obecnie mieszka w Sopocie 51 676 osób. 21 proc. mieszkańców Sopotu nie ukończyło 17 roku życia. Kobiety stanowią 53,1 procent mieszkańców. W sezonie liczba mieszkańców podwaja się.

8. Gdynia. Skwer Tadeusza Kościuszki. Latem tu tłoczno. Teraz pusto. Na nadbrzeżach zwały śniegu. Wodoloty stoją na rusztowaniach. Za nimi tonie w mgle „Dar Pomorza". Zapadła już decyzja, że zostanie przekształcony w pływające muzeum. Ekipy ze Stoczni Remontowej „Nauta" dokonują niezbędnych przeróbek. Statek muzeum ma być otwarty już w kwietniu.

Trochę dalej przy Nadbrzeżu Pomorskim czarno-biały olbrzym — „Stefan Batory". Trwa malowanie wnętrz. Pachnie świeżą farbą. Statek flagowy PLO przygotowuje się do rejsu na Morze Śródziemne. Koszt wycieczki 162 tysiące. Jeden z gdańskich dziennikarzy zapytał ośmiu chętnych na wycieczkę o ich zawód. Okazało się, że jeden jest lekarzem, jeden rolnikiem, a sześciu rzemieślnikami.

„Stefan Batory" jest staruszkiem. Ma już 30 lat. To dla statku sędziwy wiek. Otrzymał jeszcze na 4 lata tak zwaną klasę, czyli został dopuszczony do morskiej żeglugi na transoceanicznych liniach. Co będzie dalej? Kto go zastąpi? Już dziś trzeba podjąć decyzję.

Ponoć Stocznia im. Adolfa Warskiego w Szczecinie gotowa jest skonstruować statek pasażerski dla PLO. Paweł Tarnowski z „Życia Warszawy" zapytał o to naczelnego dyrektora Polskich Linii Oceanicznych, Tadeusza Grembowicza. I usłyszał w odpowiedzi:

— *„Stefan Batory", gdy pływał w normalnych warunkach, przynosił większe efekty dewizowe niż niejeden towar zaliczany do „polskich specjalności eksportowych". Tak też mogłoby być z jego następcą i chociażby z tej przyczyny nie mogę skreślić nowego statku pasażerskiego z inwestycyjnych planów przedsiębiorstwa.*

Niemniej, stając przed koniecznością wyboru, ze względu na ograniczone środki, między zbudowaniem nowego statku pasażerskiego a np. kontenerowca, będę optował za tym ostatnim. Pozostaje jedynie nadzieja, że w przyszłości nie będę musiał wybierać.

Nikła to nadzieja dla załogi „Stefana Batorego". W 1980 roku PLO osiągnęły na rozwój floty 12 mld. zł. Wówczas można było za te pieniądze kupić 15 statków. Odprowadzono do skarbu państwa 3 mld zł. Wzrosły ceny i obecnie za te 3 mld zł można kupić... 3 statki. A statki jak ludzie, też się starzeją. Przeciętny wiek statków PLO wynosi dziś 12 lat. To już dużo. Do roku 1990 trzeba będzie sprzedać lub oddać na złom 90 statków. Czy wśród nich będzie „Stefan Batory"?

Co innego może czekać statek flagowy PLO? Może jeszcze wozić wycieczki po Bałtyku albo zamienić się w pływający hotel. Tylko, czy to się opłaci?

9. Widziałem kiedyś film o „Stefanie Batorym". Teraz mogłem zobaczyć wnętrze statku. Wówczas wszystko było rzęsiście oświetlone, pełno było ludzi. Statek żył. Teraz stoi pusty. Palą się tylko niezbędne lampy. Wszędzie naklejki: *„Świeżo malowane"*. Zupełnie inne wrażenie. Ale niedługo statek ożyje. Może jednorazowo przyjąć na pokład 778 pasażerów.

Żywe są natomiast opowieści marynarzy. Po wprowadzeniu stanu wojennego „Stefan Batory" wyruszył do Montrealu. Tam już na niego oczekiwano z transparentami i pikietami. Nie było to serdeczne przyjęcie. Zetknięcie się z załogą zmieniło jednak stosunek. Spodziewano się, że zamiast stałej załogi przyjadą do Montrealu... żołnierze.

Polacy z Montrealu zapytali, czy mogliby zwiedzić statek. — *Proszę bardzo* — odpowiedziano im — *ale pod warunkiem, że nasi przewodnicy was po statku oprowadzą.* Zgodzili się, zwiedzili statek i rozwiały się dalsze mity.

Później była konferencja prasowa dla dziennikarzy z Montrealu. Jedna z dziennikarek zapytała, czy orkiestra mogłaby zagrać... hymn polski. Kapitan Bilewicz wydał polecenie i orkiestra zagrała „Mazurka Dąbrowskiego". — *To u was nie zakazano grać hymnu* — zdziwiła się dziennikarka — *a nam tu mówili, że zakazano.* I upadł kolejny mit.

10. — *Szczurom lądowym wydaje się* — powiadają marynarze floty handlowej — *że życie marynarza jest pełne przygód. A to jest ciężka praca. Najgorzej, że wiele miesięcy spędzamy bez kontaktu z krajem, bez bieżących wiadomości. Z radiowych głośników płyną wiadomości nadawane w języku polskim przez obce stacje. Bardzo trudno jest oddzielić prawdę od fałszu. Nasze stacje słychać jeszcze na Bałtyku, czasem na Morzu Północnym i Śródziemnym. Dalej już nie.*

Opowiadał mi jeden z marynarzy, że do Singapuru polskie statki wprowadzają i wyprowadzają kanonierki. W porcie polscy marynarze nie mogą schodzić na ląd. To wywiera przygnębiające wrażenie na marynarzach.

W marynarskich bibliotekach na statkach nie ma nowości. Stare są filmy, które marynarze znają już niemal na pamięć. Nie ma też kaset z filmami do magnetowidów, a nowo budowane statki wyposaża się już w magnetowidy.

PLO zakupiło urządzenia systemu „faksymile". Jest to apratura, która mogłaby na odległość przesyłać statkom serwis krajowych i zagranicznych wiadomości. Urządzenia te przewieziono do Warszawy i miały być zmontowane i uruchomione. Wzięło je przedsiębiorstwo Stacje Radiowe i Telewizyjne. I nad całą sprawą zaległa cisza. A marynarze są spragnieni wiadomości z kraju i czekają na uruchomienie tych urządzeń.

11. Po powrocie do Gdańska, gdzieś przed 20.00 zapragnąłem odwiedzić „Delikatesy" naprzeciw Hotelu „Hevelius". Nie udało mi się. „Delikatesy" były dokładnie zapchane ludźmi. Kupowano wszystko, co było do kupienia. Poszła plotka, że od 1 marca wszystko drożeje.

W „Barze — Poczekalni" na dworcu pełno oczekujących na pociąg. Na jednej z ławek trzech pijanych młodzieńców. Dwaj się zebrali i poszli. Trzeci, w czerwonym swetrze tarza się po podłodze. Co usiądzie, zaraz spada z ławki. Zainteresował się nim wreszcie sokista. Zabrał go ze sobą.

Pociąg do Łodzi odszedł o 20.50.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI ■

Mglisty dzień w Trójmieście

Artykuł dyskusyjny

Jak kształcić polonistów

Jak kształcimy przyszłych nauczycieli? Sądząc po dotychczasowych efektach pracy polonistów — bo tylko o nich z tytułu mojego zawodu i doświadczenia mogę zabierać głos — niezbyt dobrze. Dowodem tego jest dość niski poziom sprawności językowej znacznej części naszego społeczeństwa, o czym świadczą takie fakty, jak:

— corocznie dokonywana przez uczelniane komisje ocena kandydatów na I rok studiów wyższych, zawierająca niepochlebne uwagi o umiejętności formułowania myśli przez osoby poddane egzaminowi;

— budzące wiele zastrzeżeń co do poprawności językowej nieraz wartościowe pod innymi względami prace przedkładane do opublikowania firmom wydawniczym i redakcjom czasopism;

— wyręczanie się polonistami — gdy chodzi o napisanie przemówienia, referatu itp. — przez osoby o wysokich kwalifikacjach zawodowych (inżynierów, ekonomistów itp.);

— niezręczne lub bezmyślne redagowanie tekstów zarządzeń, zaproszeń, wywieszek, tablic informacyjnych, szyldów, reklam itp.

Owe alarmujące fakty — a rejestr ich można rozszerzyć — uzasadniają konieczność podjęcia szeregu działań, zmierzających do tego, aby następne pokolenia Polaków posługiwały się mową ojczystą, bardziej sprawnie, niż czyni to nasza generacja.

Poprawa na lepsze niezbyt pomyślnego — mówiąc eufemistycznie — stanu rzeczy zależy między innymi od kształcenia polonistów, którzy będą uczyć (lub już uczą, jednocześnie dokształcając się) języka polskiego, przedmiotu wyraźnie różniącego się nie tylko od tak zawnych przedmiotów ścisłych, lecz także — od humanistycznych. Swoistość przedmiotu, nazywanego językiem polskim wynika — między innymi — z jego interdyscyplinarności, z zawarcia w jego obrębie elementów wiedzy z wielu dziedzin, a więc — przede wszystkim z zakresu lingwistyki oraz historii i teorii literatury; poza tym — teatrologii, filmologii, prasoznawstwa, bibliografii oraz bibliologii, a także — logiki. Owa różnorodność faktów składających się na treści nauczania wspomnianego przedmiotu sprawia, że jawi się on nie tylko debiutującym, lecz także nawet doświadczonym polonistom jako zbiór mniej lub więcej związanych ze sobą informacji o niektórych dziedzinach kultury. W istocie jest inaczej, albowiem wszystkie treści przedmiotu języka polskiego koncentrują się wokół jednego zjawiska, zjawiska wypowiedzi językowej.

W związku z tym w odniesieniu do podniesienia efektów kształcenia przyszłych polonistów należałoby zaproponować takie sformułowanie programu studiów, aby ich absolwent opuścił uczelnię z przeświadczeniem, że język polski jest przedmiotem poświęconym — jak uprzednio wspomniano — **wyłącznie** wypowiedzi językowej, którą będzie jako nauczyciel ukazywał uczniom:

— w różnych aspektach (z punktu widzenia nadawcy — gdy będzie uczył przekazywać myśli pisemnie lub ustnie; z punktu widzenia odbiorcy — gdy będzie wdrażał do czytania i właściwej interpretacji dzieł literackich);

— w różnych relacjach (jak na przykład: stosunek utworu literackiego do publikacji nieliterackiej, wypowiedzi pisemnej do ustnej, dzieła literackiego do filmowego);

— w różnych sytuacjach (w sytuacji osoby ubiegającej się o przydział mieszkania, wyrażającej zadowolenie z racji zapowiedzianego przyjazdu kolegi, przygotowującej pracę dyplomową, protokołującej przebieg zebrania itd.).

Absolwent polonistyki, który wyniesie z uczelni przeświadczenie, że zdobyte wiadomości i umiejętności tworzą zwarty system, a nie zlepek informacji z wielu dziedzin, łatwiej potrafi — niż pracujący obecnie nauczyciele — zaszczepić je uczniom.

Drugim — obok niezbyt wyrazistego zarysowania istoty i zakresu języka polskiego — niedostatkiem obecnie obowiązującego programu studiów polonistycznych dla nauczycieli jest jego niekompletność. Przejawia się ona w braku przedmiotu będącego odpowiednikiem szkolnych „Ćwiczeń w mówieniu i pisaniu". O ile student podczas bytności na uczelni zostaje wyposażony w bogatą — a chyba nawet w zbyt bogatą — wiedzę o składnikach wypowiedzi językowej (głosce, wyrazie i zdaniu) oraz o wypowiedziach artystycznych (tj. dziełach literackich), o tyle, prowadząc później lekcje, odczuwa niedosyt wiedzy i umiejętności dotyczących typów wypowiedzi praktyczno-użytkowych oraz popularnonaukowych i informacyjnych.

Wprowadzenie do programu studiów przedmiotu poświęconego kształtowaniu umiejętności formułowania poprawnych wypowiedzi (np. rozprawki uczniowskiej, życiorysu, protokołu, sprawozdania), następnie — umiejętności korzystania z cudzych wypowiedzi jako z materiału do konstruowania własnej (np. cytowanie, streszczanie, notowanie, kompilowanie) jest nieodzowne przede wszystkim ze względu na to, że, zgodnie z założeniami programów nauczania języka polskiego, zapoznanie ucznia z zagadanieniami językowymi ma przede wszystkim cel praktyczny, a nie poznawczy.

Uzupełnienie programu studiów polonistycznych wspomnianą tematyką jest również podyktowane potrzebami samych nauczycieli, wynikającymi z obowiązków studenckich (nie tylko nauczanie lecz formułowanie prac ćwiczeniowych i dyplomowej) i zawodowych (nie tylko nauczanie, lecz często uczestnictwo w życiu społecznym i kulturalnym, a w związku z tym — konieczność pisania).

Czasem w prasie utyskuje się na błędy wymowy osób zabierających publicznie głos. W odniesieniu do polonisty znaczenie żywego słowa w jego działalności jest o wiele większe niż w pracy spikera radiowego. Polonista — o ile ma rzetelnie wykonywać swoje obowiązki — musi nie tylko poprawnie mówić, lecz także nauczyć innych czynić to bezbłędnie. Mowa nauczyciela jest więc podstawowym narzędziem jego oddziaływania dydaktycznego i wychowawczego. Winna zatem stanowić wzór do naśladowania przez uczniów (często jedyny, gdy w szkole nie ma nagrań mistrzów słowa) oraz środek przekazu wiadomości, umiejętności, dzieł literackich. Od poprawnie wygłoszonego wykładu zależy w dużym stopniu zainteresowanie nim słuchaczy, od właściwej recytacji poezji — odczucie jej piękna.

Czy polonista opuszcza uczelnię z umiejętnością świadomego operowania akcentem, tempem wypowiedzi, intonacją, natężeniem głosu, pauzami w mówieniu? Nie. Czy uczono go przemawiać (bo wykład jest swoistym rodzajem przemowy), czytać na głos lub recytować teksty oraz przekazywać owe umiejętności uczniom? Nie. A w szkole **musi** to robić, tak jak matematyk musi nauczyć dodawać i odejmować, a historyk — wyjaśnić, dlaczego doszło do bitwy pod Grunwaldem. Stąd wynika postulat wprowadzenia na wszystkich uczelniach kształcących nauczycieli języka polskiego przedmiotu poświęconego kulturze mowy, kulturze żywego słowa.

Obowiązujące obecnie w szkole podstawowej programy nauczania języka polskiego opierają — zwłaszcza w klasach I—IV — kształcenie literackie na literaturze dla dzieci i młodzieży. Owego faktu nie bierze pod uwagę znaczna część uczelni kształcących polonistów, nie uwzględniając piśmiennictwa dla małych czytelników ani na zajęciach z historii literatury, ani na wykładach i ćwiczeniach z teorii literatury, ani też w toku zapoznawania studentów z warsztatem bibliograficznym. W związku z tym — na przykład — nauczyciel klasy IV, w której zdecydowana większość pozycji lekturowych (oprócz „Jana Muzykanta" i „Antka") reprezentuje wspomniany typ literatury mimo że jako student filologii polskiej solidnie przykładał się do nauki, czuje się niedokształcony. Samodzielne zdobywanie wiedzy o piśmiennictwie dla dzieci również nie poprawia — przynajmniej na początku — samopoczucia absolwenta. O ile został on na uczelni wyposażony w wiedzę o bibliografiach i syntezach z zakresu literatury „dla dorosłych", o tyle jest nikły lub zerowy stan jego wiadomości o źródłach informacji dotyczących wydawnictw na temat literatury dla dzieci i młodzieży. Bardziej rzutcy poloniści usiłują jakoś sobie radzić (o ile mają w pobliżu bibliotekę posiadającą nie tylko liczny księgozbiór, lecz także solidny warsztat bibliograficzny), mniej rozgarnięci lub niezbyt pilni przechodzą nad tą sprawą do porządku dziennego. „Może istotnie — pomyśli ten i ów — to pisanie dla berbeci nie zasługuje na zaprzątanie nim profesorskich i asystenckich głów. Ot, takie trele-morele, klituś-bajduś!... Tylko o czym będę gadał z dzieciakami na lekcji?" I tak, edukacja literacka uczniów zaczyna się nie od Kownackiej lub Collodiego (o których twórczości debiutujący nauczyciel wie tyle, co jego podopieczni lub niewiele więcej), lecz dopiero ileś tam lat później, gdy polonista poczuje twardy grunt pod nogami, czyli mówiąc mniej obrazowo, gdy zaczną dominować w lekturach szkolnych teksty Mickiewicza, Słowackiego i innych pisarzy, z którymi zetknął się na studiach.

Zdaję sobie sprawę z tego, że natychmiastowe pełne dostosowanie zakresu wiedzy i umiejętności przekazywanych przez uczelnie przyszłym i obecnym nauczycielom języka polskiego do ich potrzeb nie jest łatwe ponieważ wymaga zatrudnienia kadry specjalistów, zaopatrzenia katedr polonistycznych w teksty, opracowania programów, kanonów lektur itd. Nie oznacza to, aby już teraz nie dążyć do poprawy istniejącego stanu rzeczy.

Czy nie dałoby się wykorzystać rezerwy kadrowe, jakie stanowią magistrzy i doktorzy uczęszczający niegdyś na seminaria Krystyny Kuliczkowskiej, Izabeli Kaniowskiej-Lewańskiej, Jerzego Cieślikowskiego, uczonych, których osiągnięcia naukowe w dziedzinie literatury dla dzieci i młodzieży są bezsporne? Czy nie należałoby uzupełnić kadrę katedr polonistycznych osobami, które — aczkolwiek uzyskały dyplomy z tytułu przedłożenia prac dotyczących literatury „dla dorosłych" lub języka — lecz w związku z wieloletnią działalnością w oświacie zdobyły dużą wiedzę z zakresu piśmiennictwa dla małych czytelników?

Znalazłaby się i kadra, i podręczniki do kształtowania kultury żywego słowa, z tym, że przy jej doborze należałoby zrezygnować zarówno z usług chętnych do ich pełnienia niektórych aktorów (potrafiących nauczyć, jak wystawić „Hamleta" w Teatrze Narodowym, a mających trudności z przygotowaniem do recytacji lub inscenizacji „Lokomotywy" Tuwima), jak też — niektórych polonistów, mających wprawdzie duże wyczucie wszystkich subtelności słowa mówionego, natomiast nie potrafiących poradzić sobie z mimiką i gestem jako środkiem ekspresji, z doborem skromnych, podstawowych składników scenografii. Ale o to będziemy martwić się później.

O wiele więcej trudności sprawiłoby wprowadzenie przedmiotu poświęconego wyrabianiu sprawności językowej w różnych sytuacjach, w jakich znajdzie się uczeń po skończeniu szkoły. Tu trzeba by było zacząć niemal od zera. Ale zacząć należy, jeśli chcemy, aby absolwent szkoły podstawowej lub średniej umiał, mówiąc lub pisząc, wyrazić „wszystko, co pomyśli głowa", a nie tylko wyrecytować, że „zdanie — to podmiot i orzeczenie i coś tam jeszcze..."

W 1963 r. spotkałem się w Zaocznym Studium Nauczycielskim w Zgierzu z kilkoma młodymi nauczycielkami, które wydały mi się znajome. Okazało się, że widziałem je w 1959 r. jako uczennice ostatniej klasy Liceum Pedagogicznego. Podjęły trud dokształcania się, ponieważ władze uznały, że ukończenie poprzedniej szkoły nie daje im uprawnień do nauczania w najstarszych klasach szkoły podstawowej. Te same panie, będące już matkami dorastających lub dorosłych dzieci, spotykałem w latach 1975—1982 jako studentki jednorocznego kursu przygotowawczego do egzaminu kwalifikacyjnego, którego zdanie dawało uprawnienia przysługujące absolwentom wyższych studiów zawodowych. „I znów, zdaniem władz, nie mamy pełnych kwalifikacji". — powiedziała któraś z nich. Pytały mnie, czy rzeczywiście owa forma kształcenia da im pełne kwalifikacje, czy za pięć lat znów ktoś nie powie: „Pani nie ma uprawnień uczyć w klasie VII lub VIII, bo pani nie jest magistrem". Odpowiadałem im, że chyba tak, że przypuszczalnie zdanie egzaminu kwalifikacyjnego będzie traktowane aż do pójścia na emeryturę jako uzyskanie pełnych kwalifikacji.

Losy moich niektórych studentek nasunęły mi się na myśl w związku z powstawaniem studiów nauczania początkowego, co nie jest **niczym innym jak reaktywowaniem SN, formy kształcenia niegdyś krytykowanej i zaniechanej około dziesięć lat temu.** Czy los obecnych dwudziestoletnich kandydatów na nauczycieli będzie podobny jak los ich poprzedników? Czy będą oni również kształcić się przez wiele lat i ciągle być uznawani za niedouczonych? Czy ciągle nie można stworzyć sprawnego systemu kształcenia nauczycieli, aby kolejne etapy ich edukacji nawiązywały do poprzednich i nie dublowały ich, aby to, czego się już pracownik oświaty nauczył, było zaliczane na wyższym etapie jego edukacji zawodowej?

Nie chodzi o to, aby nauczyciel zakończył po uzyskaniu stopnia magisterskiego swoją edukację zawodową, lecz, aby najpóźniej do 30 roku życia uzyskał status nauczyciela o pełnych kwalifikacjach. Uzupełniałby je przez całe życie, lecz nie dlatego, że władze uznawałyby je za niepełne, lecz aby były one zgodne z aktualnym stanem wiedzy, dostosowane do bieżącej polityki oświatowej itd. Krótko — do 30 roku życia uzyskanie pełnych kwalifikacji, później — ich uzupełnianie na konferencjach i kilkudniowych kursach oraz przez stałą lekturę nowości wydawniczych i prasy fachowej.

Godny zastanowienia się jest jeszcze inny aspekt tej sprawy. W odniesieniu do chociażby chirurgów, od wielu lat ustalono, jaki mają mieć stan kwalifikacji, aby otrzymać prawo do wykonywania zawodu; jeśli chodzi o nauczycieli — obserwujemy ogromne urozmaicenie. Na przykład w klasie VA, w tajniki wiedzy wprowadza pani magister, zaś w VB — pan ze studiami wyższymi zawodowymi, natomia w VC — osoba z dyplomem zdania egzaminu kwalifikacyjnego równoważnego (formalnie!) studiom wyższym zawodowym, a w VD — panna lub młodzieniec, który przed paroma miesiącami zdał z lepszym lub gorszym wynikiem maturę. Co prawda z powodu pisania „gura" zamiast „góra" lub utożsamiania Libii z Libanem nikt nie umarł, zaś niejeden obywatel PRL rozstał się w trybie przyśpieszonym z doczesnym żywotem z tytułu sknocenia operacji wyrostka, ale... Poza tym, jakie samopoczucie mają ci, którym przez wiele lat mówiono, że wciąż są niedouczeni, że nie mają pełnych uprawnień zawodowych, obserwując fakt oddania kształcenia dzieci w ręce tych, którzy kwartał temu byli uczniami?

I jeszcze jedno — już ostatnie — pytanie: czy niektóre instytucje kształcące lub doskonalące nauczycieli co kilka lat **koniecznie muszą zmieniać profil,** co łączy się ze zmianą kadry, zasobów księgozbioru i pomocy naukowych, z adaptacjami budynków i ich otoczenia i rzutuje na jakość kadr oświatowych, edukowanych zbyt często w atmosferze ciągłej tymczasowości, nieustannej reorganizacji i... Słowa po „i" nie napiszę. Bo cóż po słowach. Działać trzeba — ale z sensem!

STANISŁAW BOROWKIN

25 lat Toast jubileuszowy

Zofia Nałkowska, odpowiadając na hołdy składane jej z okazji jubileuszu pracy literackiej, rzekła z właściwym sobie poczuciem humoru: *„Wszystkiego się spodziewałam, ale tego, że będę mieć 65 lat — nigdy."* Powiem szczerze: nie wierzyłem, że „Odgłosy" doczekają ćwierćwiecza swego istnienia. Żadne pismo, wydawane w Łodzi, nie miało tak długiego żywota. Żyjemy w kraju, w którym przeróżne wydarzenia nie sprzyjały ciągłości działania, w którym inicjatywy kulturalne umierały, zanim zdążyły się zmaterializować, a kształtowanie trwałej tradycji literackiej zakłócały wypadki zewnętrzne i wewnętrzne.

Prawdziwym wstrząsem była dla mnie wiadomość, że Edward Korrodi, redaktor działu kulturalnego w szwajcarskim dzienniku „Neue Zürcher Zeitung" od 1915 do 1955 (roku swej śmierci) pracował bez przerwy w tej samej redakcji, w tym samym pokoju i przy tym samym biurku. Czy w Polsce możliwa jest taka sytuacja? Niemożliwa, ponieważ historia poskąpiła nam spokoju i prawie każdemu pokoleniu pisarzy i dziennikarzy wytrącała pióro z ręki, posyłając ich na wojnę lub na powstańcze barykady.

Ale również w czasie pokoju zabrakło nam szczęścia czy też umiejętności kontynuowania tego, co już jako tako okrzepło i sprawdziło się w odbiorze społecznym. Przestało wychodzić krakowskie „Odrodzenie", łódzka „Kuźnica", warszawski „Przegląd Kulturalny". Na ich miejsce powstały nowe czasopisma, które także po jakimś czasie upadły. Jedynym periodykiem polskim, wychodzącym bez zakłóceń, jest miesięcznik „Twórczość", który w 1985 roku będzie obchodzić 40-lecie swej egzystencji.

Ale wróćmy do „Odgłosów". Miały i one poprzedników, potwierdzających brak wspomnianej już ciągłości. Piszący te słowa, który po pobycie na placówce berlińskiej i na Dolnym Śląsku osiedlił się w sierpniu 1950 roku w Łodzi, redagował wraz z kolegami-pisarzami „Łódź Literacką", a potem „Kronikę", by, po ich likwidacji, ustąpić miejsca „Odgłosom". Piszę te słowa i uświadamiam sobie, że nie ma już pośród nas Stanisława Piętaka, Grzegorza Timofiejewa, Heleny Duninówny, Haliny Marii Dąbrowolskiej, Wacława Mrozowskiego, Antoniego Kasprowicza, Bolesława Dudzińskiego, Romana Łobody, Stanisława Brucza, Horacego Safrina, którzy bądź pracowali ze mną w redakcji, bądź zasilali swoimi pracami nasze łódzkie czasopisma. „Odgłosy" prowadził na początku Wiesław Jaździński, po nim Wacław Biliński, a przez kolejne lata rola ta przypadła mnie. Gdy w r. 1972 przeniosłem się do Warszawy, na stolcu redaktora naczelnego „Odgłosów" zasiadł Jerzy Wawrzak, obecnie zaś steruje nimi Lucjusz Włodkowski. Mają więc „Odgłosy" swoją historię i dobrze, że ją mają.

Czas pracy redakcyjnej w „Odgłosach" wspominam z przyjemnością, może nawet z pewnym rozrzewnieniem. Zapewne sprzyja temu fakt, że okres ten pogrąża się coraz bardziej w przeszłości, a im dłuższa jest odległość od tego, cośmy przeżyli, tym silniej opromieniają nasze przeżycia sentyment i melancholia, które mają w sobie także coś z uczucia pogodnego smutku. Nie oznacza to przecież, że pracowaliśmy w atmosferze idyllicznej, nie mieliśmy kłopotów, a ja nie przeżywałem konfliktów, zatargów i nieporozumień. Podobno *„prawdziwa zgoda panuje tylko na cmentarzu"*. My byliśmy żywymi ludźmi, łączyła nas idea pracy w piśmie, ale dzieliły wiek, temperament, zainteresowania i poglądy na sprawy społeczne i artystyczne.

Zawsze zadawałem sobie pytanie, co to znaczy być dobrym redaktorem i jaka powinna być praca w piśmie kulturalnym. I czy można pogodzić pracę dziennikarską z pracą literacką. Bardzo mi odpowiada pogląd Wacława Grubińskiego, który w „Aforyzmie o redaktorze", pomieszczonym w książce „XXX-lecie „Wiadomości" (Londyn, 1957), napisał m. in.:

„Talent redaktorski polega na umiejętności trafiania do czytelnika. Grydzewski rozumiał, że trafia się do czytelnika nie przez schlebianie jego bezmyślności, ale przez drażnienie go, uderzanie w jego snobizm i przez dobry kolportaż. Czytane jest takie czasopismo, które coś zwalcza, o coś się awanturuje, przeciwko czemuś protestuje, z kogoś podrwiwa, niektóre świętości szarga i nieustannie ukazuje rozwrzeszczonego berbecia tzw. postępu".

A Cat-Mackiewicz w książce „Lata nadziei" porównał redaktora do reżysera teatralnego. Napisał:

„Redaktor i reżyser to pokrewne rodzaje artyzmu: polegają na umiejętności wykorzystywania talentów ludzkich, umiejętnej ich synchronizacji i hierarchizacji".

Czy mnie i moim kolegom udało się sprostać tym powinnościom — osądzili i osądzają inni. Jedno mogę powiedzieć na pewno: chcieliśmy być polemiczni, zaangażowani, staraliśmy się *„trzymać rękę na pulsie wydarzeń"*, ale jednocześnie lękaliśmy się, ja w każdym razie uważałem bardzo, aby nie skrzywdzić kogoś, kto na to nie zasługiwał, i nie zaszkodzić sprawie, której szkodzić nie należało. Ale także nie mam pewności, czy zasada ta była w pełni i należycie zrealizowana. A w ogóle to uważam, że redakcja powinna spełniać rolę klubu dyskusyjnego. Źle jest, gdy redakcja przekształca się w urząd, a redaktorzy — w urzędników, co grozi każdemu pismu i każdemu zespołowi.

Na temat ożenku literatury z dziennikarstwem panują różne poglądy. To jasne. Emil Zola był zdania, że *„dziennikarstwo jest cmentarzyskiem talentów"*, zaś wiedeńczyk Karl Kraus konstatował: *„Dziennikarza podnieca terminowość — pisze źle, gdy ma czas"*. Z tego ostatniego stwierdzenia wynika, że literatura, która wymaga czasu i namysłu, nie jest do pogodzenia z pracą dziennikarską. Ale historia literatury polskiej i światowej dostarczają aż nadto dowodów, że znakomici pisarze byli dobrymi dziennikarzami i odwrotnie: utalentowani dziennikarze uprawiali z powodzeniem twórczość literacką. A i cytowany Karl Kraus jest zaprzeczeniem tego, o czym sam mówił, był bowiem świetnym felietonistą i równie świetnym satyrykiem i dramatopisarzem.

Co mogę powiedzieć o sobie? Nie żałuję pracy w redakcji „Odgłosów" i innych pismach. Dają mi one stały kontakt z życiem i ludźmi, które także pomagają mi w pisarstwie. Życzę obecnym „Odgłosom" i ich zespołowi, dobrych materiałów, znakomitych pomysłów i wielu czytelników. A także doczekania jubileuszu 50-lecia, który niestety, obchodzić będziecie już bez mojego udziału.

JAN KOPROWSKI

Sprawa gen. Włodzimierza Zagórskiego (5)

Hipotezy, przypuszczenia, poszukiwania

Wiadomość o przyjeździe gen. Włodzimierza Ostoi-Zagórskiego do Warszawy dotarła — do dziś nie wiadomo w jaki sposób — do jego krewnej Ireny Ostoi-Zagórskiej. Jerzy Rawicz w książce „Generał Zagórski zaginął...", przypuszcza, że wieziony do Warszawy generał, sądząc, iż osadzony będzie w warszawskim więzieniu, mógł przez kogoś przekazać wiadomość o tym swojej krewnej. Ale jest to tylko przypuszczenie. Irena Zagórska usiłowała dowiedzieć się o losie generała już w niedzielę, 7 sierpnia 1927 roku. Nie dowiedziała się niczego, ale w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego zorientowano się, że przyjazdu gen. Włodzimierza Zagórskiego nie uda się już utrzymać w tajemnicy. W poniedziałek, 8 sierpnia 1927 roku prasa prorządowa: „Kurier Poranny" i „Express Poranny" opublikowały informację o przyjeździe generała do Warszawy. Wiadomość tę przedrukowały inne gazety. Była ona wszakże niezupełnie zgodna z faktami.

„Opuszczenie przez gen. Zagórskiego murów więziennych nastąpiło w sobotę w godzinach rannych, po czym gen. Zagórski odjechał niebawem do Warszawy, dokąd przybył tego samego dnia wieczorem".

Pory, owszem, zgadzają się, ale nie *„odjechał"* i nie *„przybył"*, ale został przywieziony, a to dość istotna różnica. Tego rodzaju sformułowania użyte w prasie prorządowej były jednak ostrożne i zgadzały się z kierunkami oficjalnego śledztwa. A kierunek tego śledztwa — jak już to pisałem — wytyczyło pismo szefa gabinetu ministra spraw wojskowych, czyli Józefa Piłsudskiego. Funkcję tę pełnił wówczas ppłk. Józef Beck. Pismo to nie miało konkretnej daty, a jedynie *„VIII. 1927 r"*. Adresowane było do naczelnego prokuratora wojskowego, gen. Józefa Dańca. Józef Beck prosił generała Józefa Dańca *„o podjęcie urzędowych kroków przeciw gen. bryg. Zagórskiemu Włodzimierzowi, który dopuścił się czynu mającego cechy dezercji"*. Jerzy Rawicz opublikował jesienią 1961 roku w tygodniku „Świat" cykl artykułów o zaginięciu gen. Włodzimierza Zagórskiego Jeden z korespondentów „Świata" — prosił o nieujawnianie nazwiska — zwrócił uwagę że Józef Beck nie miał prawa samemu występować z jakimkolwiek żądaniem, nawet gdyby było sformułowane jako prośba, Jego pismo powinno zaczynać się od słów: *„z rozkazu pana ministra"*. A także, że pismo w sprawie generała nie mogło być jawne. Wnosił on z tego, że pismo to zostało napisane tylko dla usprawiedliwienia pewnych decyzji, które podjęto w inny sposób.

Celem oficjalnego śledztwa było

POSZUKIWANIE GEN. WŁODZIMIERZA ZAGÓRSKIEGO

zamiast poszukiwania sprawców jego uprowadzenia i ewentualnej śmierci. Skoro jednak zdezerterował — bo nie stawił się do raportu u Józefa Piłsudskiego, ani nie dał znaku życia — to winnym tego czynu był on sam, a nie ktokolwiek inny. Taki kierunek śledztwa usuwał w cień ludzi zamieszanych w aferę z przywiezieniem gen. Włodzimierza Zagórskiego do Warszawy, a związanych bezpośrednio z Belwederem — siedzibą marszałka Józefa Piłsudskiego.

Wieść o tym, że gen. Włodzimierz Zagórski zdezerterował i ukrywa się w kraju lub za granicą, spowodowała, że nadeszło szereg różnych informacji o tym, że zaginionego widziano tu i ówdzie. Zbigniew Cieślikowski w książce „Tajemnice śledztwa KO-1042/27" zestawił te informacje chronologicznie. I tak:

— 11 sierpnia 1927 roku generała widział dziennikarz Wojciech Marchwicki na stacji kolejowej w Laskowicach wsiadającego do pociągu odchodzącego do Gdańska. Dla nas to ważna informacja, bowiem Gdańsk jeszcze się pojawi w oficjalnych poszukiwaniach, a Wojciech Marchwicki — jak to stwierdza Jerzy Rawicz — był pracownikiem „dwójki";

— 19 sierpnia fryzjer Komendy Miasta, Edward Gąsowski zameldował, że 9 sierpnia miał widzieć generała... na plaży w Warszawie;

— tegoż dnia gen. Marian Kukiel zgłosił gen. Józefowi Dańcowi, że gen. Włodzimierz Zagórski jest więziony w Forcie Legionów. I ta informacja wróci jeszcze w innym kontekście;

— 22 sierpnia sierżant Franciszek Jung zameldował, że poprzedniego dnia widział generała jadącego z Leżajska w kierunku Rozwadowa;

— 23 sierpnia wpłynął meldunek od Zdzisława Zahaczewskiego, o tym, że widział generała 10 sierpnia w restauracji Karpowicza w Zakopanem;

— 30 września ppłk. Mieczysław Piątkowski zameldował, że drogą poufnych informacji dowiedział się, że Leon Sapieha opowiada, iż gen. Włodzimierz Zagórski przebywa w Afryce u brata Juliusza.

Tego typu meldunków było znacznie więcej. Stefania Zagórska widziała generała, jak jechał samochodem w towarzystwie pań z Rabki do Chabówki, a miało to być 11 sierpnia. Kpt. Józef Handt zameldował, że pokazał zdjęcie generała Włodzimierza Zagórskiego czeskiemu strażnikowi i ten powiedział, że taki człowiek w sierpniu przeszedł do Czechosłowacji. Skoro już padło nazwisko kpt. Józefa Handta, to warto wspomnieć, że udał się on w podróż służbową przez Czechosłowację i Austrię do... Afryki w poszukiwaniu zaginionego.

Skoro przyjęto, że gen. Włodzimierz Zagórski zdezerterował, to — po pierwsze — musi żyć, a — po drugie — musi się ukrywać. I ludzie prowadzący śledztwo muszą mieć co do tego całkowita pewność Jak w nich tę pewność wytworzyć? Ano w taki sposób, że

ZAGINIONY GENERAŁ PISZE LISTY

I takie listy nadeszły. 13 i 15 września płk. Ludomir Rayski przekazał prowadzącym śledztwo listy, jakie napłynęły z Gdańska do Zarządu Kasyna Oficerskiego 1 Pułku Lotniczego i Zarządu Fundacji dla Wdów i Sierot po Poległych Lotnikach, które miał pisać zaginiony, a do których dołączone były pieniądze w sumie 100 zł. Prowadzący śledztwo w sprawie dezercji, mjr Wilhelm Mazurkiewicz, wysłał nawet ludzi do Gdańska w poszukiwaniu zaginionego generała. Ale nic nie ustalono.

Dwa tygodnie wcześniej, bo 30 sierpnia 1927 roku rybak Józef Ellwart z Jastrzębiej Góry wyłowił z morza butelkę, w której była kartka papieru z nagryzmolonym tekstem:

„Do wszystkich, którzy się mną interesują. Pocałujcie mnie w nos. Jestem tam, gdzie mi się podoba. W każdym razie nie tam, gdzie myślicie. Proszę o paszport zagraniczny.

Generał Zagórski".

Nie było najmniejszej wątpliwości, że kartki tej nie napisał gen. Włodzimierz Zagórski, mimo to przesłuchano 12 osób, a szczególnie interesowano się płk. Jerzym Borejszą, byłym zastępcą gen. W. Zagórskiego, a później komendanta Centrum Wyszkolenia Lotnictwa w Bydgoszczy. Podejrzewano go, że to on zrobił „ten kawał" i wrzucił butelkę do morza.

Jeden z listów, które nadeszły z Gdańska miał wytarty gumką ślad po napisie: *„Kudlewicz arest"*. Nikt nie poszedł tropem tego napisu, a to wskazywało autorów.

Była również sugestia endeckiej „Rzeczypospolitej", że gen. Włodzimierz Ostoja-Zagórski jest więziony w Gdańsku na Westerplatte. Spowodowało to nawet konflikt dyplomatyczny, gdyż polskie władze nic na Westerplatte nie ustaliły, a gdańskie chciały skorzystać z pretekstu śledztwa prowadzonego na własną rękę i... wejść na polski teren.

Mimo nieudanych prób odszukania dezertera śledztwo zbaczało na niebezpieczne tory. Aby wyjaśnić wszystkie okoliczności, trzeba było przesłuchać również ppłk. Aleksandra Prystora i płk. Bolesława Wieniawę-Długoszewskiego. Przesłuchać ich się nie udało, ale też 1 października 1927 roku Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie powziął postanowienie, aby *„z dniem 30.IX.1927 r. (...) postępowanie karne przeciw gen. brygady Ostoi-Zagórskiemu Włodzimierzowi wstrzymać"*.

Oficjalne śledztwo zakończono, ale sprawy tym nie zamknięto. Ludzie, środowiska, gazety gubiły się nadal w domysłach. Powstało wiele różnych wersji przebiegu wypadków z 6 sierpnia 1927 roku. Co jest wspólne dla tych różnych wersji? Przekonanie, że

GENERAŁ WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI ZOSTAŁ ZAMORDOWANY

Różnice dotyczą tylko miejsca zbrodni i ludzi, którzy byli w to zamieszani.

Spróbujmy zatem odtworzyć domniemany przebieg wydarzeń z 6 sierpnia 1927 roku na podstawie tych hipotez, przypuszczeń i poszukiwań, jakie wówczas czyniono, wykazując zbieżności i różnice.

Gen. Włodzimierz Zagórski wyjeżdża rannym pociągiem z Wilna do Warszawy w towarzystwie dwóch oficerów. Oficjalna wersja mówi, że towarzyszył mu tylko kpt. Lucjan Miładowski. Ale wszystko wskazuje na to, że był też drugi oficer. Tak wynika z zeznań świadków. Wspomina o tym endecka ulotka z września 1927 roku. Wspomniał o tym niemiecki dziennikarz Friedrich Wilhelm von Oertzen w wydanej w 1939 roku książce: „Das ist Polen". O dwóch eskortujących oficerach pisał w „Izwiestiach" Eugeniusz Bratini.

Z Dworca Wileńskiego gen. Włodzimierza Zagórskiego odwieziono autem. Oficjalna wersja podaje, że Fordem, którym jechali kpt. Lucjan Miładowski i mjr Zygmunt Wenda, a wóz prowadził szeregowy Mieczysław Cempel. Gen. Zagórski — wedle tej wersji — miał wysiąść u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Trębackiej, aby udać się do Łaźni Fajansa. Ani posterunkowy Jan Borkowski, ani właścicielka kiosku Maria Wąsowska, ani druga kioskarka Ewa Brogowicz nie zauważyły zatrzymującego się samochodu. Endecka ulotka sugeruje, że tym samochodem jechał ktoś podobny do gen. Włodzimierza Zagórskiego. Wysiadł przy Krakowskim Przedmieściu, a prawdziwego gen. Włodzimierza Zagórskiego zawieziono innym samochodem — Cadillakiem 24 — do mieszkania płk. Walerego Sławka (ul. Chopina 1), później samochodem pojechał do mieszkania Kowalewskiego (ul. Królewska 1), a następnie do lokalu „Strzelca" przy ul. Dobrej 2.

I tu się zaczyna korowód znanych wówczas postaci. F. W. Oertzen pisze, że gen. W. Zagórskiego zawieziono do Sztabu Generalnego, gdzie miał się spotkać z Józefem Piłsudskim, ale ten wyjechał. Wtedy płk. Bolesław Wieniawa-Długoszewski kazał odwieźć gen. W. Zagórskiego Cadillakiem 24, a generał wyraził chęć wykąpania się. Odwieziono więc go do wojskowej łaźni, gdzie płk. Bogusław Miedziński i ppłk. Józef Beck zażądali, aby wyrzekł się walki z marszałkiem J. Piłsudskim. Gdy odmówił, obaj do niego strzelili.

Tę wersję należy spokojnie odrzucić. Nie ulega bowiem wątpliwości, że płk. Bolesław Wieniawa-Długoszewski był już w tym czasie w Kaliszu. Jego rola w tej aferze sprowadzała się chyba tylko do zorganizowania samochodu. Musiał o niej wiedzieć więcej, dlatego zrobił wszystko, aby nie zeznawać.

Natomiast korespondent „Izwiestii" w Warszawie — Eugeniusz Bratini pisze, że na Krakowskim Przedmieściu w samochodzie, którym wieziono gen. Włodzimierza Zagórskiego, zabrakło benzyny. I następnie, że *„około godziny 9 wieczorem widziano Zagórskiego na Nowym Świecie ze Sławkiem"*. Znów pojawia się płk. Walery Sławek.

Jeśli założyć — a wszystko na to wskazuje — że powodem porachunków z gen. Włodzimierzem Ostoją-Zagórskim były sprawy związane z jego pracą w wywiadzie austriackim, K-Stelle, że gen. W. Zagórski albo posiadał tajne materiały obciążające Józefa Piłsudskiego i innych legionistów lub wiedział, gdzie ich szukać, to do pertraktacji w takiej sprawie płk. Walery Sławek był idealny. Uważany był za mocnego człowieka, stał najbliżej marszałka Józefa Piłsudskiego. W dwa lata później — jak podaje Jerzy Rawicz — pertraktował w podobnej sprawie z gen. Józefem Rybakiem, też byłym pracownikiem K-Stelle, który mu wydał tajne dokumenty, a Walery Sławek zniszczył je.

Jeśli tak było, to rozmowa z Walerym Sławkiem nie dała pożądanego rezultatu i los generała Włodzimierza Zagórskiego został przesądzony. Przewieziono go do lokalu „Strzelca" przy ul. Dobrej, gdzie *„zbiry rzuciły się na generała Zagórskiego bijąc go, gdzie popadło"* — jak sugeruje endecka ulotka. Ale generał się nie załamał. W nocy przewieziono go do *„Fortu Legionów przy szosie grójeckiej"*. Natomiast w lokalu „Strzelca" podłogę, stoły i krzesła mjr Zygmunt Wenda kazał *„wyszorować z krwi, tłumacząc, iż w pokoju tym zaszedł nieszczęśliwy wypadek z bronią"*. Również korespondent „Izwiestii" napisał 27 sierpnia 1927 r., że *„Zagórskiego trzymają potajemnie w Warszawie, a 13 sierpnia wywożą do Fortu Legionów"*.

Tu wypada przypomnieć, że 10 sierpnia 1927 roku zgłosił się do gen. Józefa Dańca gen. Marian Kukiel z wiadomością, iż *„generał Zagórski więziony jest w Forcie Legionów"*. Endecka ulotka sugerowała, że *„w dniu 6 sierpnia zmieniono w Forcie Legionów wartę wojskową na Strzelca, jako bardziej pewnego. Jeden z wartowników zeznał, iż słyszał tej nocy głuche strzały „dochodzące z wartowni"*. W Forcie tym była za wartownią izba przeznaczona do tracenia szpiegów i innych niewygodnych ludzi. Tam miał zostać zamordowany — wedle endeckiej ulotki — gen. Włodzimierz Zagórski.

Jest jeszcze inna wersja. Wedle niej

GEN. WŁODZIMIERZA ZAGÓRSKIEGO Z WILNA ZAWIEZIONO DO BRZEŚCIA

i tam zamordowano. Do Warszawy jechał sobowtór. Dlatego pilnowało go dwóch oficerów. Wersję taką przedstawił w liście do redakcji tygodnika „Świat" Aleksander Karol Kędzior, płk. pilot. Nadesłał ją aż z Londynu. Na poparcie swej koncepcji napisał:

„...funkcję szefa ekspozytury wywiadowczej w Brześciu pełnił niejaki mjr Małek, później był on kolegą w Wyższej Szkole Wojennej kpt. T. Piątkowskiego, któremu z racji jakiejś popijawy szkolnej z dumą opowiedział, że on właśnie współuczestniczył w zlikwidowaniu Zagórskiego w Brześciu".

W „operacji" tej miał też uczestniczyć, a nawet nią kierować płk. Wacław Kostek Biernacki. Jerzy Rawicz w książce poświęconej Wacławowi Kostce Biernackiemu „Diabeł przegrany" stanowczo odrzuca tę wersję, dowodząc, że w tym czasie Wacław Kostek Biernacki przebywał w Przemyślu. Gdyby wszakże miano wybierać szefa takiej „operacji", to Kostek był idealnym. Jeszcze w Legionach zdobył sobie przydomek „Wieszatiel", a w 1930 roku był komendantem twierdzy brzeskiej zamienionej na więzienie dla opozycyjnych posłów. Ale to już inna historia. Sądzę, że wypada zgodzić się z Jerzym Rawiczem, że przypuszczenie to jest zbyt naciągane i nieprawdopodobne.

Wszyscy jednak zgodnie odrzucają oficjalną wersję o dezercji i przychylają się do morderstwa. Skoro tak, to wypada zapytać

GDZIE PODZIAŁ SIĘ TRUP GEN. WŁODZIMIERZA ZAGÓRSKIEGO

W odpowiedzi na to pytanie panuje dość zadziwiająca zgodność

Friedrich Wilhelm Oertzen:

„Ciało generała wywieziono Cadillakiem w stronę Wilanowa i tam, obciążone kamieniami, wrzucono do Wisły".

Endecka ulotka:

„Zwłoki generała Zagórskiego, obciążone kamieniami i zmasakrowane, wrzucono do Wisły pod Wilanowem".

Autor listu do redakcji tygodnika „Świat" podpisujący się „T":

„Nieżyjący już adwokat K. Berowski (Jerzy Rawicz cytując ten list zastrzega się, że nazwisko było nieczytelnie napisane), *który był wówczas prokuratorem przy Sądzie Okręgowym w Warszawie, w okresie zaginięcia gen. Zagórskiego mówił mi, że Wisła wyrzuciła trupa, którym się on z urzędu zajmował, i twierdził, że był to trup gen. Zagórskiego, którego znał za życia".*

Byli i tacy, którzy prowadzili śledztwo na własną rękę. Jednym z nich był były wachmistrz żandarmerii, Walerian Bodanowski. Napisał on list w formie pytań do Ireny Zagórskiej, list przejęło wojsko prowadzące dochodzenie, liczono bowiem na to, że ukrywający się generał W. Zagórski zechce się skontaktować z rodziną, i stąd dowiedziano się, iż Walerian Bodanowski działa. Dowiedziano się również, że znany Bodanowskiemu z widzenia *„szofer Henryk"* opowiadał, iż *„gen. Zagórskiego wyrzucono w połowie drogi między Warszawą a Rembertowem z samochodu nr 24 kolumny belwederskiej"*. Zbigniew Cieślikowski (Tajemnice śledztwa KO-1042/27") utrzymuje, że *„szofera Henryka"* nie odnaleziono, a dochodzenie w tej sprawie nie dało żadnych rezultatów.

Krążyła wówczas po Warszawie i taka wersja, że gen. Włodzimierza Zagórskiego przewieziono do Belwederu, gdzie doszło do rozmowy z Józefem Piłsudskim, podczas której generał znieważył marszałka. Jerzy Rawicz przytacza i taką opowieść:

„...żandarm z ochrony Belwederu opowiadał, że Zagórski wprowadzony do Piłsudskiego dość nonszalancko stanął przed dyktatorem. Wówczas Piłsudski miał krzyknąć:

— Może staniecie na baczność!

W odpowiedzi na to Zagórski rękawiczką uderzył Piłsudskiego w twarz, a Beck, obecny przy tej „rozmowie", strzelił do generała".

Nie ulega wątpliwości, że Józefa Piłsudskiego wieczorem 6 sierpnia 1927 roku nie było w Warszawie, dojeżdżał już do Kalisza. Pozostaje natomiast inne pytanie,

CZY JÓZEF PIŁSUDSKI O TYM WSZYSTKIM WIEDZIAŁ

Wszystko wskazuje na to, że tak.

6 sierpnia 1927 roku „Polska Zbrojna" doniosła:

„Dziś o godzinie 20.40 wyjeżdża do Kalisza na uroczystości legionowe prezes Rady Ministrów Marszałek Józef Piłsudski w towarzystwie małżonki i córeczek Wandzi i Jagódki".

Ale wyjechał znacznie wcześniej.

Gen. Józef Daniec w tajnym piśmie do wojskowego prokuratora płk. Stefana Kaczmarka, datowanym 10 sierpnia 1927 r., tak wyjaśnia zmianę decyzji Józefa Piłsudskiego:

„Z powodu jednak, że jechać miały jego dzieci, zmienił plan i wyjechał po południu autem, z tym, że gen. Zagórskiego przyjmie po powrocie z Kalisza i Szczypiorna".

Właśnie po to wyszedł na dworzec mjr Zygmunt Wenda, aby zakomunikować zmianę decyzji gen. Włodzimierzowi Zagórskiemu. Natomiast gen. Józef Daniec po przyjeździe do Szczypiorna na Zjazd Legionistów, był pewny, że *„gen. Zagórski będzie już w Warszawie zupełnie wolny i swobodny"*, toteż nie omieszkał o tym opowiedzieć znajomym spotkanym w Kaliszu.

Wspominałem już, że 6 sierpnia 1927 roku przypadała sobota. Wszyscy byli legioniści udali się do Kalisza, inni wyjeżdżali odpoczywać. Było lato i Warszawa opustoszała. Była szansa, że wiadomość o zwolnieniu gen. Włodzimierza Zagórskiego szybko się nie rozejdzie. Ale się rozeszła. I nie tylko o zwolnieniu.

„Stawiam hipotezę — pisze Jerzy Rawicz w książce „Generał Zagórski zaginął..." — *że Piłsudski już w niedzielę rano (7 sierpnia), jeszcze przed wygłoszeniem swego przemówienia w Kaliszu (...) został przez swych współpracowników, którym poruczył załatwienie casus Zagórski, poinformowany o przebiegu wydarzeń w Warszawie".*

W Kaliszu Józef Piłsudski powiedział m.in.:

„Nie dziwię się więc wcale, że do nas agentury się przyczepiły i, że obserwując nas, szły krok w krok za nami agentury obcych państw, agentury płatne, bo innej agentury świat nie posiada... Gdy przyszły historyk dostęp mieć będzie do tajnych archiwów poszczególnych państw... wtedy ujawnione będą być mogły dossiers... W tych dossiers znajdziecie nazwiska wielu waszych znajomych...".

W Warszawie panowało wówczas przekonanie, że ta „rozgrywka" nie mogła odbyć się bez wiedzy Józefa Piłsudskiego. Jego wielki zwolennik, nigdy tego nie ukrywający, emigracyjny historyk Władysław Pobóg-Malinowski, świadom tych podejrzeń napisał wiele lat później:

„Podejrzenia szły w kierunku pewnej mafii, rekrutującej się z młodszych elementów legionowych, politycznie przeważnie głupców. Mafia ta tworzyć się zaczęła rok, dwa przed majem 1926 w nadmiernym uwielbieniu i oddaniu dla Piłsudskiego. Oskarżała ona starszyznę legionową o to, że „osłabła", „skapcaniała", „obrosła w piórka", i że nie ma już energii ani chęci „walczyć o komendanta". Nie rozumiało to niemądre grono, jak wielką krzywdę robi swoimi metodami Piłsudskiemu właśnie".

Czy rzeczywiście?

Stefan Krzywoszewski — co przytacza Jerzy Rawicz — w „Długim życiu" opisuje, jak pięciu umundurowanych oficerów wtargnęło do mieszkania byłego ministra skarbu, Jerzego Zdziechowskiego i dotkliwie go pobiło. Wtedy książę Zdzisław Lubomirski — szanowany i ceniony przez J. Piłsudskiego — dotarł do Belwederu i domagał się przykładnego ukarania sprawców. Na to Józef Piłsudski powiedział:

— Ja ich szukać nie będę.

A gdy Lubomirski nie ustępował, dodał:

— Uczynię wszystko, co będę mógł, aby ich nie odnaleziono.

Ale to wszystko domysły, hipotezy, przypuszczenia. Trzeba zgodzić się z opinią Andrzeja Garlickiego wyrażoną w książce „Od maja do Brześcia":

„Mimo, iż wielu publicystów napisało na ten temat setki stron, są to wszystko bardziej lub mniej sensacyjnie podane hipotezy. Źródła obecnie dostępne nie zawierają dostatecznego materiału, by odpowiedzieć na pytanie, w jakich okolicznościach zginął generał Zagórski. Prasa rządowa i przez rząd inspirowana lansowała oficjalną wersję dezercji... Niewielu jednak w to uwierzyło.

Zagórski nie należał do postaci popularnych. Był zamieszany w aferę Francopolu... a w czasach legionowych czuł się bardziej oficerem cK armii niż Polakiem. Ale to wszystko zeszło na drugi plan, kiedy jasne stało się, że padł ofiarą skrytobójczego mordu politycznego. Nie mieściło się to w polskiej kulturze politycznej i nie mogło być nie tylko zaakceptowane, ale i zapomniane przez szeroką opinię".

Droga do tytułu Mistrza Polski

Dokończenie ze strony 1

lepszego strzelca Kaczmarka do USA. Szybko zresztą znaleźli godnego następcę. Nazywał się *Andrzej Grębosz* i był kolejnym nie chcianym dzieckiem ŁKS. Właśnie on przyczynił się walnie do zdobycia tego, o czym wszyscy od dawna marzyli.

Widzew po 27 latach przerwy ponownie zameldował się w ekstraklasie. W 1948 roku był głównie dostarczycielem punktów. Teraz miał o wiele większe ambicje. Warto przypomnieć nazwiska tych, którzy wywalczyli I ligę dla Widzewa. Byli to: bramkarze — *W. Surlit i Zieliński*, obrońcy *Kubicki, Lewandowski, Możejko, Chodakowski, Janas*, pomocnicy — *Pyrdoł, Haren, Kostrzewiński, Błachno, K. Surlit*, napastnicy — *Benkes, Stępniak, Gapiński, Waliszewski, Błoch i Grębosz*. Trener Jezierski dokonał wielkiego wyczynu. W ciągu ośmiu lat doprowadził drużynę z ligi okręgowej do ekstraklasy. Tego przed nim nie dokonał w Polsce jeszcze nikt.

Zdawano sobie jednak sprawę z tego, że co I liga to nie druga i że drużynę należy wzmocnić kilkoma niezłymi piłkarzami. Działacze Widzewa, z prezesem Sobolewskim, stanęli na wysokości zadania. Efekt — sześciu nowych zawodników, z których tylko jeden, bramkarz *Burzyński* z Arki, był znany szerszemu ogółowi kibiców. Dwaj następni pozyskani: *Boniek i Rozborski*, grali do niedawna w reprezentacji Polski juniorów. Pierwszy przyszedł z Zawiszy (Bydgoszcz), a drugi z Górnika (Zabrze), w którym częściej siedział na ławce rezerwowych, niż przebywał na boisku. Pozostali to: *Dawid* z Bałtyku (Gdynia), *Kowenicki* ze Startu (Łódź) i kolega klubowy Bońka — *Zawadzki*. Za Kowenickiego, którego kiedyś bardzo pragnął mieć w swoich szeregach ŁKS, Widzew oddał Startowi aż czterech piłkarzy: Benkesa, Lewandowskiego, K. Surlita i Zielińskiego. Tym razem nikogo jakoś nie chciał oddać ŁKS, choć miał liczną kadrę zawodników.

Powitanie z ekstraklasą nie wypadło dla Widzewa pomyślnie. Przegrał bowiem swój pierwszy mecz z Pogonią (Szczecin) 0:2. Ale jeszcze w tym samym miesiącu (sierpniu 1975) odbyły się wielkie derby, na które cała sportowa Łódź czekała lata. Na wypełnionym po brzegi stadionie Widzew, niespodziewanie, ale całkiem zasłużenie, pokonał ŁKS 2:1. Był to piękny mecz, a obydwie bramki strzelił Tomaszewskiemu mały wzrostem, ale wielki duchem — *Błachno*. Warto jeszcze zwrócić uwagę na fakt, że do 73 minuty meczu ŁKS prowadził 1:0, a zwycięską bramkę Widzew strzelił trzy minuty przed zakończeniem spotkania. Tym samym udowodnił wszystkim, że jest drużyną z charakterem, potrafiącą walczyć do końca bez względu na wynik. Od meczu z ŁKS Widzew pozbył się debiutanckiej tremy i już do końca sezonu grał bardzo dobrze. W końcu zajął piąte miejsce.

Leszek Jezierski stworzył bardzo ciekawy zespół, grający nowocześnie, widowiskowo i ofensywnie, podobnie do srebrnej drużyny Kazimierza Górskiego. Styl ten podobał się widzom, którzy coraz tłumniej kibicowali jedenastce z ulicy Armii Czerwonej, ale nie podobał się niektórym pseudofachowcom. Uważali oni dobrze wyszkolonych technicznie piłkarzy Widzewa za trzecioligowych kopaczy. Niedaleka przyszłość pokazała jak bardzo się mylili. Zbigniew Boniek stał się największą rewelacją ligi. Grał tak, jakby na boisku piłkarskim spędził całe życie. Nie czuł respektu przed żadnym przeciwnikiem.

Ten 19-letni młodzieniec o długich, rudych włosach miał niebywały talent, a ponadto ogromną ambicję stania się kimś w futbolowym światku. Ponoć już na pierwszym treningu oświadczył starszym kolegom, że będzie najlepszym piłkarzem w Polsce, zdobędzie tytuł mistrza Polski, medal na mistrzostwach świata, wyjedzie później za granicę i będzie grał w najlepszej drużynie Europy. Rozbawił tym wszystkich, ale dzisiaj już wiemy, że albo chłopak był jasnowidzem, albo znał doskonale swoją piłkarską wartość. W każdym bądź razie w 1976 roku Boniek był pierwszoplanową postacią Widzewa, siłą napędową drużyny i drugim jej strzelcem. Zdobył bowiem siedem bramek. O jedną więcej strzelił kolejny nabytek — *Henryk Dawid*.

Trzech piłkarzy Widzewa zadebiutowało w 1976 r. w reprezentacji Polski. Byli to: Burzyński, Janas i Boniek.

Po tak udanym debiucie w ekstraklasie wszyscy z optymizmem oczekiwali rozpoczęcia nowego sezonu 1976/77. Tymczasem tuż przed startem wybuchła bomba. Leszek Jezierski odszedł do ŁKS. Widzew objął młody szkoleniowiec, *Janusz Pekowski*. Po jedenastej kolejce rozgrywek wyjechał niespodziewanie Janusz Pekowski. Ponoć żonie szkodził klimat łódzki. Nowym trenerem Widzewa został były reprezentant kraju i były piłkarz ŁKS, *Paweł Kowalski*. Zmiany na stanowisku trenera nie wpłynęły ujemnie na postawę drużyny w rozgrywkach. A wprost przeciwnie, Widzew grał jeszcze lepiej niż przed rokiem i zdobył nieoczekiwanie wicemistrzostwo Polski. Procentowało doświadczenie zdobyte w poprzednim sezonie, ustabilizowany skład, a przede wszystkim procentowała praca Jezierskiego. Znów doskonały sezon miał Boniek, nie gorszy Janas, Burzyński, Błachno. Możejko, w opinii wielu fachowców, stał się najlepszym lewym obrońcą w kraju, ale do reprezentacji nie miał szczęścia. A szkoda. Bardzo szybki, dobry technicznie, równie pożyteczny w ataku ze względu na świetny drybling i zaskakujący strzał, jak i w obronie. Potrafił uprzykrzyć życie każdemu prawoskrzydłowemu w naszej lidze. Nawet Lato nie mógł sobie z nim poradzić. Zdobywał się na wspaniałe żarty piłkarskie, rozweselał widownię, rozmawiał z kibicami w czasie meczu. Za to wszystko właśnie kibice go uwielbiali, lecz w pożegnalnym meczu przed wyjazdem do Finlandii pewien bardzo poważny i zarazem bardzo kiepski sędzia ukarał Możejkę za „dowcipy" żółtą kartką. Andrzej Możejko był symbolem błyskotliwej kariery Widzewa w krajowym futbolu. Rozegrał w jego barwach przez 11 lat ponad 350 spotkań.

Łódzcy kibice z niepokojem oczekiwali na wyniki losowania Pucharu UEFA. Od czasu, gdy ŁKS walczył z mistrzem Luksemburga w Pucharze Klubowych Mistrzostw Europy, łodzianie pozbawieni byli pucharowych emocji. W lipcu 1977 roku Widzew znał już swojego pierwszego rywala. Był nim słynny Manchester City, znany doskonale z potyczek z Górnikiem. Trzeba przyznać, że los nie był zbyt łaskawy dla Widzewa.

Termin meczu z Manchesterem zbliżał się nieubłaganie. Tymczasem kłopotów wciąż przybywało. Ciężkiej kontuzji nabawił się podstawowy gracz zespołu — *Tadeusz Błachno*. *Andrzej Pyrdoł* szykował się do wyjazdu do Francji i też nie można było na niego liczyć. Trenerem Widzewa był w tym czasie *Bronisław Waligóra*.

W niewesołych nastrojach wyruszał Widzew do Manchesteru. Liczono się powszechnie z wysoką przegraną. Telewizja chcąc nam zaoszczędzić przykrych wrażeń, nie przeprowadziła bezpośredniej transmisji z tego spotkania. A szkoda. Widzew dokonał bowiem nie lada wyczynu i zremisował po pięknej grze 2:2. Do 70 minuty przegrywali 0:2, ale w 76 minucie był już remis. Obydwie bramki strzelił kapitalnie grający Boniek. Takiego wyniku nikt się nie spodziewał.

Dwa tygodnie później łodzianie zremisowali na stadionie ŁKS z Manchesterem i awansowali do następnej rundy.

W lidze nadal nie szło im najlepiej. Trzy dni przed rewanżem z Anglikami na tym samym stadionie przegrali w derbowym pojedynku z ŁKS 1:2. Były to bez wątpienia najbrutalniejsze derby Łodzi. Mimo to sędzia nie pokazał ani jednej żółtej kartki, choć kilku piłkarzy zasługiwało na czerwone. Był to pożegnalny mecz sędziego Karolaka z Łodzi... Kibice do dzisiaj wspominają, jak to Jan Tomaszewski gonił po całym boisku Bońka, bynajmniej nie po to, by mu uścisnąć dłoń.

W II rundzie Pucharu Widzew trafił na klasowy zespół — PSV (Eindhoven) z braćmi — Rene i Willy van de Kerkhofami na czele. Przegrał u siebie po dramatycznej walce 3:5. W rewanżu uległ 0:1 i zakończył pucharową karierę. Holendrzy zdobyli wówczas Puchar UEFA.

Rundę wiosenną Widzew rozpoczął bez Janasa, ale mimo to grał znacznie lepiej niż w rundzie jesiennej. W sumie zajął w końcowej tabeli 10 miejsce.

Do sezonu 1978/79 widzewiacy przystępowali w przemeblowanym składzie, ale ze sporymi nadziejami. Wszyscy zapowiadali walkę o taką lokatę w lidze, która gwarantowałaby powrót na europejskie boiska. Prezes Sobolewski wychodził bowiem z założenia (nie bez racji zresztą), że tylko konfrontacje z czołowymi klubami Europy przyczynią się do wzrostu poziomu drużyny, z której tymczasem odeszło 7 zawodników.

Były to w sumie bardzo udane zmiany, może z wyjątkiem bramkarza Gajdy. Doskonały duet napastników stworzyli Pięta i Smolarek. Szczególnie ten pierwszy miał duży udział w zdobyciu przez Widzew po raz drugi w historii tytułu wicemistrza Polski. Był najlepszym strzelcem drużyny *Stanisława Świetka*, który w rundzie wiosennej zajął stołek trenerski, zwolniony przez Waligórę. Marek Pięta wyróżniał się dobrym wyszkoleniem technicznym, niezwykłą walecznością i „ciągiem" na bramkę przeciwnika. Potrafił wepchnąć się w największy tłok na polu karnym i celnie strzelić.

Widzew dotrzymał słowa i powrócił na pucharowy szlak.

Tym razem kariera łodzian trwała wyjątkowo krótko. Już w pierwszej rundzie wyeliminował ich słynny francuski St. Etienne, znany w Polsce z pojedynków z Legią (przegranego) i Ruchem (wygranego). 19.IX.1979 r., w pierwszym meczu rozegranym w Łodzi, Widzew potrafił wygrać 2:1 (bramki: Boniek, Kowenicki), choć występował już bez Gapińskiego, który wyjechał do Danii i grał w klubie Hvidovre (Kopenhaga). Wystąpił natomiast w tym spotkaniu nowy nabytek klubu — *Piotr Romke* z Włókniarza (Kalisz).

Ale wróćmy do sezonu 1979/80. Ligę zaczął Widzew kiepsko, dlatego też po X kolejce rozgrywek zjawił się młody trener, *Jacek Machciński*, były asystent Jezierskiego. Znał dobrze swój fach, choć samodzielnie nie prowadził jeszcze żadnej drużyny. Był kontrowersyjną postacią. Butny, arogancki, pewny siebie, nie lubiany przez dziennikarzy, zapowiadał walkę o zdobycie tytułu mistrza Polski. Podobny był pod tym względem do Huberta Wagnera. Trzeba przyznać, że Machciński był bardzo bliski zrealizowania swojego celu, jednak straty poniesione na początku rozgrywek okazały się nie do odrobienia.

Na początku rundy wiosennej Stanisław Burzyński spowodował tragiczny w skutkach wypadek samochodowy. Był to szok dla wszystkich. Nic dziwnego, że w meczu z Lechem na własnym boisku przegrał aż 0:3. Później jednak wziął się w garść i zameldował się na mecie na drugiej pozycji.

Po raz trzeci Widzew wywalczył prawo udziału w Pucharze UEFA. „W następnym roku będziemy grali w Pucharze Klubowych Mistrzów Europy" — twierdził Machciński. Ale na razie Widzew opuścił nękany chorobami Błachno, który przeszedł do Cracovii oraz Dąbrowski ze względu na wyjazd do Finlandii. Ze Startu (Łódź) przybył były reprezentant Polski juniorów, 24-letni wówczas *Paweł Woźniak*.

Los jak zwykle nie szczędził łodzian. Przyzwyczajeni już do walki z silnymi drużynami, nie obawiali się Manchesteru United. Anglicy też byli pewni swego. *Po remisach 1:1 w Manchesterze* (kapitalna „bomba" Surlita) *i 0:0 w Łodzi, Widzew awansował do II rundy. Tam czekał na niego słynny włoski Juventus* (Turyn). 22.X.1980 r., po bramkach Grębosza, Pięty i Smolarka łodzianie zwyciężyli po przepięknym, pełnym dramatyzmu spotkaniu — 3:1. Rewanż w Turynie przypominał czasy walki Górnika z Romą. Po dogrywce było 3:1 dla Włochów. Rzuty karne egzekwował Widzew. Kolejno pokonali Zoffa — Tłokiński, Grębosz, Smolarek i Boniek. Natomiast Młynarczyka zmusił do kapitulacji jedynie Irlandczyk Brady. Dwie jedenastki w fenomenalnym stylu obronił Młynarczyk. Był to wielki i zasłużony sukces ambitnych piłkarzy. *W III rundzie zmierzyli się ponownie z angielskim klubem Ipswich*. Tym razem jednak nie powiodło się. 26.XI.1980 r. Widzew poniósł klęskę, przegrywając aż 0:5. Szans na awans nie było żadnych. Na dodatek, do rewanżu z Ipswich Widzew przystąpił osłabiony brakiem Bońka, Żmudy i Młynarczyka. Mimo to potrafił wygrać 1:0, po strzale Pięty i z honorem rozstał się z pucharowymi występami.

Do rundy wiosennej Widzew przystępował bez trzech podstawowych graczy. Uzupełniono skład nowymi nabytkami, jakimi byli *Janisz* z Górnika (Wałbrzych), *Sajewicz* z Włókniarza (Pabianice) oraz wychowankowie — *Mierzwiński i T. Jacek*. Wrócił też z wojska *Kamiński*. Niemniej trener Machciński stanął przed bardzo trudnym zadaniem. Zwłaszcza, że Janisz absolutnie nie pasował do zespołu i daleko było mu do klasy swojego sławnego kolegi z Wałbrzycha, Pięty. Nieźle natomiast sprawdzili się Mierzwiński i Sajewicz.

Widzew chciał jednak udowodnić wszystkim, że i bez Bońka potrafi dobrze grać w piłkę. Do każdego meczu widzewiacy przystępowali niezwykle skoncentrowani. Walczyli z pasją i poświęceniem do ostatnich minut. To, co wydawało się niemożliwe, stało się faktem. Mimo wszystkich przeciwności losu, Widzew wywalczył tytuł mistrza Polski. Jacek Machciński dotrzymał słowa.

Bardzo udany sezon miał słynący z piekielnie mocnego strzału K. Surlit, zdobywca największej ilości bramek dla Widzewa. Również dobrze grali Rozborski, Tłokiński, Pięta, Smolarek, Plich, Grębosz i Jeżewski. Kary nałożone na Młynarczyka i Bońka zbliżały się ku końcowi (Żmudę odwieszono wcześniej, gdyż był potrzebny na mecz z NRD i wydawało się, iż Widzew będzie mógł spokojnie przygotowywać się do debiutu w PKME i do obrony tytułu mistrza Polski. Jednakże los okazał się niezbyt łaskawy. Ponoć Grębosz próbował kupić mecz z Zawiszą. Wprawdzie nic mu nie udowodniono, ale 2-letnia dyskwalifikacja stała się faktem. Odszedł również trener Machciński, który miał dość już wielkiej piłki. Na jego miejsce przyszedł twórca sukcesów Śląska (Wrocław) — *Władysław Żmuda*.

Debiut w pucharze nie wypadł okazale. Łodzianie trafili od razu na słynny Anderlecht i przegrali dwukrotnie — 1:4 u siebie i 1:2 w Brukseli, po nie najlepszych meczach. Jedynie Smolarek dał się mocno we znaki defensywie Belgów. Natomiast trzon reprezentacji narodowej oparł trener Piechniczek o piłkarzy Widzewa. Miał dobrego nosa, bowiem Smolarek był głównym bohaterem zwycięskiego meczu z NRD w Lipsku.

Tymczasem w lidze Widzew walczył dzielnie w obronie krajowego prymatu. Na wiosnę udanie wprowadził się do drużyny kolejny wychowanek klubu, stoper Romański. Końcówka rozgrywek była niezwykle dramatyczna.

Po porażce z Gwardią w Warszawie wydawało się, że widzewiacy stracili bezpowrotnie szansę zdobycia mistrzostwa. A jednak w ostatniej kolejce, dzięki zwycięstwu Wisły we Wrocławiu, Widzew znalazł się po raz drugi z rzędu na mistrzowskim tronie.

Wiadomo jednak było, że po Mundialu wielu piłkarzy wyjedzie za granicę. Ale na razie był Mundial, gdzie czterech widzewiaków: Młynarczyk, Żmuda, Boniek i Smolarek miało niepośledni udział w sukcesach polskiej jedenastki.

Do rozgrywek sezonu 1982/83 Widzew przystąpił w dość gruntownie przemeblowanym składzie. Boniek znalazł się w Juventusie (Turyn), Żmuda w Weronie, Pięta w Hannowerze 96 (RFN), Możejko i Jeżewski w Finlandii, Plich w Legii (służba wojskowa), Sajewicz powrócił do Motoru (Lublin), a Lonka wrócił do Polonii.

Niełatwo było zapełnić luki, a jednak działacze Widzewa dokonali tego. Ściągnięto z Ruchu bramkarza *Bolesię*, a ze Śląska — reprezentanta kraju, *Wójcickiego*. To były powszechnie znane w polskim futbolu nazwiska. Znalazła się też w Widzewie cała plejada młodych, utalentowanych zawodników, byłych reprezentantów Polski juniorów: *Wraga* z Błękitnych (Stargard), *Kuniczuk* z Gryfa (Słupsk), *Myśliński* z Siarki (Tarnobrzeg), *Waśniewski* z Nogatu (Malbork). Oprócz wyżej wymienionych trafił do Łodzi także *Świątek* z Wisły, *Gierek* z Radomiaka i *Matusiak* z Boruty. Co warta jest ta młodzież z Widzewa, mogliśmy się naocznie przekonać podczas wspaniałego, rewanżowego meczu z Rapidem w II rundzie PKME.

W tak gruntownie przemeblowanym składzie Widzew dokonał tego, czego nie potrafił dokonać z Bońkiem i Żmudą. Awansował mianowicie do 1/4 PKME. W lidze również radzi sobie bardzo dobrze. Zmieniły się więc nazwiska, ale nazwa, jaką nadano Widzewowi: „drużyna z charakterem" — pozostała.

Oni wywalczyli awans do I ligi. Stoją od lewej: *Zygmunt Szamalek, Wiesław Kaczmarek, Jacek Machciński, Stefan Wroński, Wiesław Surlit, Janusz Kubicki, Zbigniew Bekas, Andrzej Stępniak, Dariusz Zieliński, Jerzy Krawczyk* — prezes, *Leszek Jezierski* — trener, *Zbigniew Skrzypek* — wiceprezes, *Ludwik Sobolewski* — wiceprezes, *Jerzy Służewski* — dyr. klubu. Klęczą od lewej: *Wojciech Pawlak, Andrzej Grębosz, Andrzej Możejko, Paweł Janas, Tadeusz Błachno, Krzysztof Surlit, Andrzej Pyrdoł, Tadeusz Gapiński*.

Foto: M. Zajdler

WITOLD LEWANDOWSKI ■

Z doświadczeń bywalca

(gawęda szpitalna)

HENRYK CZARNECKI

Za oknem śnieg, mróz, zawieja, szypie pewnie za kołnierz — kto w taką pogodę przyjdzie na cmentarz? Albo przyjdą, będą przedeptywać z nogi na nogę, chuchać w zmarznięte ręce, zerkać na proboszcza, czy aby prędko się ze wszystkim uwinie — może też jedną zwrotkę przepuści, sześnastkami zaśpiewa, żeby prędzej mieć z głowy. Albo schowają twarz w kołnierz i w nogi, na przełaj, aby szybciej do bramy, do tramwaju, do domu.

I tak sobie leżę, i myślę, i patrzę na ten mróz za oknem, zawieję i coraz bardziej mi smutno. Zaczyna już pewnie zmierzchać, albo tylko w oczach ciemnieje, na dalekim łóżku ktoś pochrapuje, więc jeszcze jestem, bo przecież w niebie nie chrapią — tam wszystko brzmi harmonicznie — harfa to harfa, obój tylko na „Warszawskiej Jesieni" kojarzy się z ubojem.

Skuliłem się w łóżku — może mnie tam z góry nie dojrzą dziś jeszcze?

Na sąsiednim łóżku ktoś podniósł głowę.

— Rąbie znów pana?

— Trochę.

— Mojego szwagra też tak rąbało, rąbało i...

— ...i mu wycięli?

— Wycięli.

— No widzi pan. I po kłopocie.

— No.. We trzy dni potem umarł. Albo taki Kowalski co tu leżał ze mną na sali. Ale co tam będę panu gadał. Jutro pan idzie pod kosik i...

— Jutro!?

— A coś pan myślał? Wisi pan już w dyżurce. No i ten z dwójki, od przepukliny. Pan najpierw, on na drugiego. Panie! Ja tu wiem wszystko. Na palcach mogę panu każdego wyliczyć... Gdzie pan pracuje?

Jeszcze dwieście lat temu o familię by mnie zapytał. Z których to, z jakich, czy czasem nie z tamtych, ale teraz socjalizm, ludzie pasjonują się pracą, praca tylko się liczy, za jakim biurkiem kto siedzi, za jaką ladą się stoi.

— Gdzie pan pracuje? — powtórzył głośniej.

— W szkole.

— Dobra, dobra, ale w jakiej? W podstawowej czy w średniej? — poderwał się na łóżku, postawił uszy.

— W średniej — szybko odwróciłem się na drugi bok, jakiś aniolek przeleciał nad głową, a ten mi tutaj o sprawach przyziemnych. W średniej, w podstawowej, co za różnica, matury tam przecież zdawać nie będę. I tak bym jej pewnie już nie zdał.

— Panie! No to... — podbiegł do łóżka, łokciami się oparł o poręcz, zaciera dłonie. — Jak to dobrze, że pan tu się znalazł — tak dobrze to nie jest, ale niech mu tam już będzie. — Mój ósmą klasę kończy akurat i... boję się, że będą trudności z tym wie pan... — zwolnił, zatrzymał się, za szybki pewnie wziął rozpęd, a tu po kolei pewnie coś trzeba. — A kafelków do łazienki czasem nie potrzebuje profesor?

— Nie potrzebuję — odwróciłem się na trzeci bok, ale już z tamtej strony mnie dopadł.

— A co potrzebuje profesor? To się załatwi. Natręt. Jak Pana Boga kocham, że natręt...

— Zaraz, zaraz — zmartwiłem się nagle — dawniej mówiłem „jak Boga kocham", a teraz... tak jakoś samo... „jak Pana Boga". Z dużej litery... To „P". To już tak źle ze mną?... No nic. Jeszcze myślę, analizuję, kombinuję, a od tego tu — spojrzałem zezem na faceta — tak normalnie się przecież nie odczepię od niego.

— Szafę do przedpokoju — strzeliłem w lewo. Skąd weźmie szafę kafelkarz? — Z szafą do przedpokoju mam raczej kłopot. Chciałem taką pod sufit, z czterema drzwiami, z boku przystawka na buty. — Po co mi szafa, nawet przedpokoju jeszcze nie miałem.

Podrapał się w głowę jak Kałużyński w telewizorze, odwrócił do okna: na ostatnim łóżku ktoś leży z rękami w bandażach.

— Ignac! Chodź no tu, prędko... To jest stolarz — pochylił mi się do ucha. — Też chciał kafelki. Ale po co bym mu miał dawać. W dodatku dla jego zięcia, a jego zięć jest weterynarzem, a ja przecież psa nie mam, po cholerę mi taka znajomość? Ale jakby on panu tę szafę, słuchaj pan dobrze, a pan mi, no... z tym chłopakiem, to wtedy... ja jemu, dla tego zięcia, weterynarz też może komuś na wymianę się jeszcze przyda...

I wtedy zapomniałem nagle, że miałem umrzeć, pewnie i śmierć też już nieaktualna, no bo jak ten tutaj... a facet bystry, zna się na ludziach... chce jeszcze ze mną, w łóżku interesy ubijać, no to chyba nie jest tak źle jeszcze ze mną, z byle umarlakiem by się przecież nie wdawał. „Potrzebuje pan kafelki do łazienki, to się załatwi"... Wszystko się teraz załatwi, po drodze można zajrzeć do nieba, może tam też coś spod lady, na boczku — nie wiem tylko, czy oni mi tam, czy ja im, bo przecież człowiek z prezencją, oblatany już trochę po sklepach...

Tyle, że mi się jeszcze nie śpieszy. Najpierw tam, w koniec korytarza, na wózku. Już leżę na stole, lekarze pochylają się nade mną, martwią się, czy aby się uda. Pocieszam ich jak umiem. Mówię, że jestem człowiekiem dobrze wychowanym, mama uczyła mnie zawsze, żeby bez pożegnania nie wychodzić, no więc skoro się teraz z nimi nie żegnam, mogą wziąć te swoje scyzoryki i zacząć mnie patroszyć — głupiego kawału im nie zrobię, nie ucieknę przez sufit.

— Przepraszam, a części zamienne są?

— Cielęce.

Sięgałem zwykle wyżej. Ale skoro musi być cielak, niech będzie cielak. Kiedyś trochę podrośnie i stanie się krową. Jak to dobrze, że z krowami byłem zawsze na ty. Tak często modelowały mi w życiu do krajobrazu, że aż Mika była o nie zazdrosna. „Po co ci krowa, masz przecież mnie" — mówiła.

— Będę miał wtedy coś z krowy, prawda?

— Tak.

— Nie szkodzi. Lubię przyrodę. Ale proszę mi powiedzieć na co operowani byli ci, którzy mają w sobie coś ze świni?

Tak. To nie sztuka ze świni zrobić serdelki. Trudniej — odwrotnie. Czasami jednak, przy odrobinie szczęścia, można jedząc serdelki zobaczyć świnię. Nawet na stanowisku...

A w drugim akcie koniecznie jakaś dziewczyna. Biała siostra. Weszła właśnie przed chwilą na blok pooperacyjny. Ale jaka!... Jeszcze mało ruchawy, obolały, taki bardziej jeszcze z niebieskiego kosmosu niż z Ziemi, ale ona już rzeczywista. Na rzeczywistych nogach, a lepsze one od tych tam niebieskich — chłop zawsze jest chłopem, nawet na tamtym świecie. Dźwignąłem się na lewym boku, popatrzyłem na prawy. Boże! Żeby tak do mnie podeszła...

I nagle wepchła się na to sadowne palce, i poszukała mnie wzrokiem; i odbiła się piętami od drzwi rzeczywistych, na rzeczywistych nogach. Lepsze one od tych tam niebieskich, i poszybowała zręcznie pomiędzy łóżkami do mnie — też jeszcze, jak dotąd, rzeczywistego. Ze strzykawką wzniesioną dumnie do góry.

— Oj, pokłuli pupinę, pokłuli — odkryła kołdrę, skryłem się ze wstydu pomiędzy niebieskość. Tam kartki na koszulinę już niepotrzebne, człowiek twór boski, golego tyłka wstydzić się już nie trzeba. — Ale jak przyjdą robić panu zastrzyki — zatrzepotała słowami siostra — to niech pan powie, że ja mam nocne dyżury i ja to zrobię. Wezmę igłę jednorazówkę, ostrą, to jak sobie dziabnę, pan nawet nie piśnie.

Na stoliku dostrzegła nie dojedzone jajka na ćwierć miękko. Białko tak się ciągnęło, że część jeszcze w jajku, a drugi koniec pod łóżkiem. Brr.

— No pewnie, że pan tego nie zjadł, kto to tak jajka gotuje? Białko to się musi tak ścinąć — pokazała na dłoni — tylko żółtko jest żółte i sobie pływa. — Też jej się, bidulce, to żółtko z żółtkiem pomieszało z wrażenia. — Ale to nic. Jutro ugotuję panu jak trzeba. I niech pan od nich nie bierze. Chłodnicze. A ja panu przyniosę świeże.

Jestem chłopak przystojny, widać to nawet przez kołdrę, w niektórych tylko miejscach garbaty i łysy, no to się i zakochała dziewczyna. Od pierwszego wejrzenia. Baby lubią takich podzdechniętych, bezradnych, sponiewieranych, bohaterów porżniętych — tak przyjemnie toto potem odchuchać, pomatkować i wskrzesić. Jak to pisklę w inkubatorze wrażliwe na wszelkie nieszczęścia dłoni. Patrzy zresztą sarnimi oczami, usta nabrzmiałe czerwienią, niewinne w pogodnym zepsuciu — tyle w mężczyźnie wartości, ile w nim romantyzmu, tyle w kobiecie uroku, ile zepsucia — Pocałować te usta i choćby umrzeć — tak niewiele przecież brakuje, i na lewo, i do tych ust — pochyliła się właśnie mi nad pośladkiem — rzeczywiście nie boli, tylko ciepło tych rąk spowitych w najczulszy aksamit i odpłynęła na samo dno piekieł, do których bym zaraz choćby i na piechotę.

Całą noc nie zmrużyłem już oka po tym nasiennym zastrzyku. Musiałem przepowiedzieć ją sobie, nauczyć się jej na pamięć. Tych słów po kolei, i tych, które powiem. Zobaczę ją jutro, pojutrze, na kawę się wybierzemy, na koniec świata w śnieg, góry, nad morze, ustami będę śnieżynki z rzęs jej zdejmował... — wszystkie z niej zdejmę, trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć, czterdzieści, pięćdziesiąt, już chyba sto i parę kresek — twarz płonie, no to co? No to się z nią ożenię — do rozwodu już prawie doszedłem, nim przyszła nazajutrz.

Rzeczywiście — igła była najczulsza, jajka aż trzy zjadłem, chociaż jedno mi tylko ugotowała, przedeptuje z nogi na nogę, jest, nie odchodzi, przycupnęła na łóżku półgębkiem, uśmiecha się, któryś z pacjentów śpi, inny chrapie, inny jeszcze inaczej, ale ją tylko widzę, na pewno kocha. puls mierzy... guzik tam puls: do ręki się po prostu dotyka, nieśmiało, życie jest piękne także w styczniu, we wrześniu..

— Chciałam się pana o coś zapytać...

Oczywiście. Na palcach brak mi obrączki, ciekawa, czy kawalerem czy rozwiedzionym już jestem. Subtelna. Tylko chciała, ale o nic nie pyta. Tak zachowuje się tylko zakochana kobieta, znam się na tym.

— Chciałam się tylko o coś zapytać... — chyba wciąż jeszcze mierzy mi puls, do tysiąca doliczyła już pewnie, albo jej się wszystko też myli, od początku liczyć zaczyna.

— Ale nie wiem, czy to wypada...?

— Wypada, wypada!

Jaki ten szpital jest jednak cudowny — stąd dużo wcześniej już widać niebo: spojrzała z góry niebieskimi oczami.

— Zapytać?... — wyszeptała, nie zamykając już warg do końca. Gdzieś tam, pomiędzy kawałek języczka przesunął się ze wschodu na zachód.

(Ania jej pewnie na imię, cóż imię, sam ja sobie nazwę) w najłagodniejszej tonacji, ściszonej, miękkiej, jak cały teraz ten szpital, łóżko, podłoga, szpary w podłodze.

Skinąłem głową.

— Nie napisałby mi profesor wypracowania z „Wesela"? Mamy na sobotę, to już nie zdążę.

* * *

— Znowu pan pali?

— Dzisiaj to z nerwów, panie doktorze.

— Bo co?

— A to pan nie wie? Jutro przecież...

— Ee...

— Łatwo panu tak mówić. Od pana strony to zawsze wszystko dobrze wygląda, ale ja całą noc dzisiaj oka nie zamknę.

— Wieczorem dam panu prosek i będzie pan spał jak niemowlę.

— Panie doktorze!

— No?

— To pan mnie będzie jutro patroszył?
— Może ja, może kto inny.

— Już ja wiem, że nie kto inny.

— A to skąd niby?

— Bo to czytać nie umiem?

— To pan nie wie, że chorym do dyżurki wchodzić nie wolno? Za dużo pan się interesuje nie swoimi sprawami.

— Nie swoje? A ten wyrostek to niby czyj? Ja lubię wiedzieć. A jakby co, nie daj Boże, to pan przecież i tak na pogrzeb nie przyjdzie. To niech choć wiem kogo mam straszyć potem po nocach.

— Panie Kowalski!... Na takie głupstwo?

— Głupstwo, niegłupstwo... W pracy u córki był taki jeden. Nie wiem. Może wycięli mu wyrostek nie ten co trzeba, a prawidłowy zaczął się paprać?

— Dobra, dobra. A co to panu te ręce tak ciągle latają?

— Co mają latać?... Pewnie na wszelki wypadek. Już taki jestem nerwowy. A jakby pan doktór tak trochę... po znajomości go ciachnął? To bym się nie bał.

— Jak to „po znajomości"?

— Może lepszym kozikiem, czy jak tam... A nie potrzebuje pan doktór czasem kafelków do łazienki? Albo może z dzieciakiem są w szkole kłopoty, co?

— Uczy pan w szkole?

— Nie, ale koleguję się z takim jednym... To bym wtedy ja jemu, to znaczy temu od szafy, tamten mu szafę, a on za to panu, a ja tamtemu kafelki, jeśli pan akurat nie potrzebuje... A może doktór ma psa? Bo ja znam jednego weterynarza, to jakby co...

* * *

— Ignac, to chyba tę szafę już będziesz miał z głowy.

— A mówiłem profesorkowi, żeby się na łóżku nie wiercił.

— To nie od tego. Trzecia doba najgorsza.
— Mówiłeś, że dziesiąta.

— Dziesiąta też, ale trzecia najgorsza. No i wzięło. Prawie całą noc mu robili tę drugą operację.

— A ja mu szafę i tak zrobię.

— Po co?

— W lewo mu czy w prawo, ale słowa nie zmienię. Jak będzie szafa, to i będzie właściciel. Musi się z tego wylizać.

— A wiesz, Ignac, że nie kapuję?

— No bo trzeba w coś wierzyć. Może to wtedy dojdzie do niego?

— Po podłodze?

— Choćby i po podłodze.

* * *

...w muzeum ciszy na ścianie wisi ślad po cieniu. Cień nie ma już barwy, ni kształtu, ni brzmienia. I śladu już nie ma. I cienia... Dobrze, cicho, nic już nie boli.

— Siadaj, synu. Odpocznij.

Schyliłem się, przykucnąłem — szwy po operacji nie bolą, rzeczywiście nic już nie boli, cudownie, spokojnie będę mógł już sobie poszukać, rozglądam się pod nogami, wszędzie już blisko, tylko rękę wyciągnąć...

— Czego szukasz, synu?

— Kasztanów... Kasztany w parku dla mnie zbierał, gdy prosto z nieba spadały kasztany. Za chwilę przyjdzie i razem będziemy zapalać świeczki na choince. Pamiętam. Była kiedyś choinka. I ojciec. To on ją dla mnie wymyślił. Zimą. Żeby się rozgrzać. Czuję ciepło jego dłoni, które rozgrzewały mi palce... Ojciec, Ojcu. Z ojcem... odmieniał się przez najładniejsze przypadki.

— Siadaj.

— Kąpałem się w niebieskich spodenkach. Skakaliśmy do rzeki ze sterczącego nad wodą korzenia, bo brzeg był tam grząski. Przedziałek na głowie z prawej strony. Pasek zapinał się na ostatnią dziurkę, taki byłem chudy. Scyzoryk...

— To już tylko szczegóły.

— Tak mało kiedyś istotne, tak ogromnie dziś ważne. Mój pierwszy w życiu scyzoryk. Dwa ostrza i szpikulec do czyszczenia paznokci. A teraz mam czyste. Szkoda... To mniejsze było bardziej ostre. Nie używałem go. Było na zapas. Na jakąś szczególną okazję. Dobrze tak mieć coś na zapas... Gdzie mój scyzoryk? Gdzie pasek zapinany na ostatnią dziurkę? Gdzie niebieskie spodenki jeszcze mokre od rzeki?... No więc szukam teraz kasztanów, scyzoryka z dwoma ostrzami, paska z ostatnią dziurką...

— Chuchnij, synu!... Wybieraj, wybieraj teraz wszystkie rozmiary, wszystkie przypadki. Bierz pełne garście.

— Nie, nie... To muszą być tamte kasztany, tamten pasek, tamta rzeka, w której były pijawki. Zawsze się ich bałem. To dobrze czegoś się bać. Wtedy się jest... A ojciec? Myślałem, że gdy tutaj już jestem, to... może... to był ktoś najpiękniejszy na świecie... Kasztany, choinka...

— Niczego z zewnątrz tu nie ma. Wszystko nowe. Nie używane. Wystarczy chuchnąć. Wszystko z chuchu się bierze. Odkładać też nic nie trzeba. Dematerializuje się samo. Spokój, cisza, śmieci wywozić nie trzeba...

— A czy brak kłopotów nie męczy bardziej niż cisza? Nie mam od czego się odbić. Im grunt twardszy, tym lepsze odbicie. No i odbiłem się. Może tylko zbyt mocno i dlatego tu jestem.

— Odpocznij, synu.

— A tam za oknem coś się dzieje, coś boli, dolega. Dotychczas patrzyłem na życie z dołu, teraz: od góry. I już wiem, co tkwi w jego środku.

I nagle, za oknem z niebieskimi szybami, ktoś skrada się niepostrzeżenie, uchyla dyskretnie lufcik.

— To jak będzie z moim chłopakiem? Chyba mnie pan nie wykołuje. Pan wie, ile kłopotów miałem z tą szafą?... Panie! A może tutaj potrzebują kafelki, co? To ja bym załatwił, nawet niebieskie... a oni mi z panem pomogli... Weterynarza też mam w zapasie, może tu jakieś owieczki, wie pan... Albo szafę na akta z poświęconego drzewa. Akurat mam znajomego księdza... Co się pan będzie tu szczypał i chuchał. Co to za życie, gdy jest wszystko, niczego kombinować nie trzeba? O nic się starać. I tak bez znajomości? Panie! Na dole chłopaki czekają. A w ogóle to jak? Na cztery miesiące przed maturą? Ładnie to tak ich urządzić?... No to już pryskam. Za rogiem czekam na pana. Niech pan nie przegapi okazji: drzwi nie domknięte... Aha! Niech pan raz chuchnie!

— Po co?

— Panu może nie trzeba, a mnie się przyda... No!... Ja pomyślę, pan tylko chuchnie. Przy okazji zobaczy się, czy lipy tu nie ma z tym niebem. Naukowo.

— Chu...

Wsunął rękę przez lufcik, chwycił rolkę papieru toaletowego, który mu wychuchałem.

— Jeszcze raz. To i dla Ignaca też będzie. Pan wie: on panu szafę, ja mu kafelki, weterynarz w zapasie, a dla tych tu... ja wiem?... może pomodlić się tylko wystarczy? Mam znajomego księdza akurat... Z ludźmi jakoś żyć trzeba, a ksiądz też człowiek...

Odszedłem od okna, Piotr nic nie zauważył grzebiąc w aktach. Albo tylko udał, że nie widział, nie słyszał. Kafelkarz przydać się może. Zwymyśla go teraz, to potem mu kafelki nierówno ułoży, albo odcień będzie nie taki. Pewnie tu już był jakiś partacz, byle jak zrobił, bo to w godzinach zajęć, a nie tak, po ludzku, na fuchę...

— Spocznij, synu. Rozgościć się trzeba, odpocząć.

— Ale ja... chciałbym jeszcze... Proszę, niech sanctus Peter dotknie mnie tutaj ręką. O tu. Tak. Jeszcze mocniej... Jeszcze. Boli!

— A widzisz?

— Boli! Cudownie! Jak to cudownie, że boli, że czuję. To znaczy, że jestem, że...

Otwieram oczy. Na sąsiednim łóżku kafelkarz. Wstaje, wsuwa nogi w łapcie, powoli człapie do drzwi z rolką papieru toaletowego...

■

Pantalejmon Jurjew (1904-1983)

Przez wiele lat mieszkał w Łodzi, gdzie wydawał ostatnią już tym razem swoją gazetę — „Russkij Gołos" („Głos Rosyjski") — organ mniejszości rosyjskiej w Polsce. Na jego łamach ukazywały się często utwory łódzkich pisarzy i dziennikarzy. Wywiady z „ojcami miasta" i wybitnymi jego mieszkańcami. „Russkij Gołos" był otwarty na wszystko, co łączyło lub mogło łączyć Rosjan i Polaków. Długa jest lista autorów, którzy się przewinęli przez to czasopismo, robione żywo ciekawie: i dlatego chętnie czytane nie tylko w Polsce i ZSRR, ale także w wielu innych krajach świata.

Wraz z odejściem Pantalejmona Wasiljewicza Jurjewa na emeryturę — także i „Russkij Gołos" przestał się ukazywać. Jurjewa nikt nie potrafił zastąpić. Poeta, prozaik, dziennikarz i tłumacz — Jurjew urodził się w Moskwie w 1904 roku. Pierwsza wojna światowa zastała go wraz z rodziną w Wilnie, gdzie jako młodzieniec pracuje w gazecie codziennej (w języku rosyjskim) „Utro"; z czasem staje się nawet jego redaktorem naczelnym. Po paru latach przenosi się do Lwowa, gdzie wydaje nową gazetę mniejszości rosyjskiej — „Russkij Gołos".

Po drugiej wojnie osiada w Łodzi, gdzie zaczyna wydawać kolejne swoje czasopismo — „Zwieno", a następnie dwutygodnik „Russkij Gołos". Jurjew jest autorem wielu tomów wierszy, napisanych w stylu tradycyjnej rosyjskiej (może nawet „błokowskiej") liryki. Nigdy nie był poetą awangardowym, nie lubił pisać dla wąskiej grupki ludzi. Był przecież także dziennikarzem. I był w kręgach emigracji rosyjskiej bardzo popularny. W 1928 roku w Wilnie wydał tomik „Czwarty pierścień", zaś we Lwowie w 1932 — tomik pod tytułem „Dobry łucznik". Pierwszy tom prozy (opowiadania) pt. „Zwykłe opowieści" ukazał się w 1936 r. Drukował powieści w odcinkach (gatunek modny przed wojną), a także wydał tom reportaży. Po wojnie już były tylko liryczne tomiki wierszy „Ziele przydrożne" (1963), „Białowieża" (1967), „Bieg czasu" (1968), „Erotyki" (1969) — książki wydane w Łodzi.

Jako tłumacz z języka polskiego na rosyjski wydał kilka tomów wierszy dla dzieci w „Naszej Księgarni" z przeznaczeniem na rynek czytelniczy w ZSRR. Były tam m.in. wiersze Marii Konopnickiej, Juliana Tuwima, Jana Brzechwy i innych znanych polskich autorów.

Przede wszystkim zajmował się Jurjew pracą redakcyjną, cały swój czas poświęcał „Rosyjskiemu Głosowi". Była to interesująca gazeta. Cenił Jurjew łódzkie środowisko literackie i dlatego w Jego gazecie często można było spotkać utwory Jana Sztaudyngera, Mariana Piechala, Igora Sikiryckiego, Tadeusza Chróścielewskiego i innych. Nie stronił też Pantalejmon Jurjew od młodzieży literackiej — polskiej i rosyjskiej. Szczególnie młodymi poetami rosyjskimi zajął się serdecznie i troskliwie: dzięki Niemu pierwsze swe utwory zaczął drukować znany w tej chwili poeta polsko-radziecki, Wasyl Kocznow, a także znakomita poetka i tłumaczka, Ałła Sarachanowa. Obok nich także inni poeci drukowali ciekawe wiersze i prozę: Lidia Siennicka, Natalia Russkaja, Władimir Sorogonin. Oni też doczekali się swych pierwszych tomików: Sarachanowa wydała u Jurjewa świetne „Freski", a Kocznow „Pierwyj dożdż". Zresztą seria poetycka zainicjowana przez Pantalejmona Jurjewa „Poeticzeskije listy" doczekała się kilkunastu tomików!

Wokół „Głosu Rosyjskiego" oraz serii wydawniczej (poetyckiej przede wszystkim) zgrupowało się ciekawe środowisko literackie Rosjan tworzących w języku ojczystym. Godzi się także dodać, że u Jurjewa ukazał się tom rosyjski Henryka Hartenberga pt. „Słońce w krowi" (w przekładzie Jurjewa, a także tom Władysława Strzeleckiego „Stichi" w przekładzie Wasyla Kocznowa oraz juwenilia (pisane w języku rosyjskim w czasie studiów rysycystycznych) pt. „Metamorfozy" Romana Gorzelskiego.

Związany z Łodzią Pantalejmon Jurjew wiele wierszy poświęcił temu miastu, w którym osiadł po wojnie, któremu wiele zawdzięczał, ale które także od niego wiele skorzystało. Ślad indywidualności Pantalejmona Jurjewa — poety, dziennikarza, wydawcy— na zawsze pozostanie w pamięci ludzi, którzy się z nim zetknęli; ślad ten jest już w tej chwili, wraz z Jego odejściem od nas — własnością historii powojennej Łodzi, a także literatury, która w murach tego miasta powstawała. Dzięki swoim zdolnościom Pantalejmon Jurjew „nie wszystek umarł..." Zmarły, z którego inspiracji przed paroma laty powstała świetna książka o zamieszkujących Polskę starowiercach, pracował ostatnio nad historią prasy rosyjskojęzycznej w naszym kraju. Ukończyć jej już nie zdążył...

ROMAN GORZELSKI

PANTALEJMON JURJEW

Gwiazdy nad Łodzią

Wiele razy kolorowe gwiazdy
Przeleciały przez niebo nad Łodzią,
Wiele razy ptaki tutaj gniazdo
Chciały uwić, tak ważne jak młodość.

Wiele razy daleko stąd bywał
Każdy z nas, ale każdym powrotem
Kierowała tu gwiazda szczęśliwa:
Lecz nie każdy już wierzył w nią potem...

Teraz porą co słońce zabiera,
Ponad Łodzią — jak dobre wspomnienie —
Idzie jesień i pamięć otwiera,
Przez deptane uliczne kamienie.

Przełożył: ROMAN GORZELSKI

Magia teatru

Zanim *Władysław Orłowski* wziął się za uprawianie beletrystyki miał już za sobą wiele sztuk scenicznych i telewizyjnych, spośród których najbardziej znane to *„Sprawiedliwość w Kioto"*, *„Spektakl w teatrze Forda"*, *„Siedem dni prezydenta"* czy *„Jutro Berlin"*. Był też autorem pracy omawiającej z teoretycznego punktu widzenia problemy adaptacji tekstów literackich *„Z książki na ekran"*. Miał również za sobą wiele lat pracy w teatrze, telewizji i filmie. Dysponował więc niebagatelnym zapleczem do napisania powieści o ludziach teatru. Sam go zresztą do tego namawiałem, gdyż pisarstwu jego — można powiedzieć — towarzyszyłem od początku. Z tym większym więc zaciekawieniem wziąłem do ręki powieść o nieco patetycznym tytule *„Wołanie z pustej przestrzeni"*. I odniosłem wrażenie, że jest to najciekawsza i najlepiej napisana dotąd powieść Orłowskiego.

Mam wobec niej tylko jedno zastrzeżenie. Mówię o tym od razu, nie bacząc na klasyczną formułę Irzykowskiego, który powiadał, że krytyk powinien najpierw chloroformować autora pochwałami, by uśpionego ciąć następnie skalpelem. Wolę mówić do autora nie odurzonego pochwałami (na które zresztą zasługuje), bo zależy mi na tym, aby Orłowski doskonalił swój warsztat pisarski. Po prostu uważam, że powieść jest jakby „pęknięta", to znaczy wyraźnie rozpada się na dwie części. W pierwszej bohater odnosi sukcesy, pokonuje stawiające opór tworzywo teatralne (mam na myśli przede wszystkim aktorów) i pokonuje — co chyba ważniejsze — siebie samego, potrafi utrzymać się w ryzach. W części drugiej u szczytu sławy i sukcesu, zrezygnowawszy z wygodnej synekury, bohater ima się przedsięwzięcia dość ryzykownego (z wielu punktów widzenia) i ponosi klęskę. I wszystko byłoby dobrze (przynajmniej z punktu widzenia czytelnika powieści), gdyby nie zdecydowana różnica, jaka moim skromnym zdaniem oddziela obie części powieści. Po prostu Maciej Kostrowiński, bohater powieści, wybitny reżyser i doświadczony człowiek, bliższy zdaje się być autorowi powieści w sytuacji, gdy — wszystko jedno zresztą za jaką cenę — odnosi sukcesy zawodowe i błyszczy jak gwiazda pierwszej wielkości. Tę sytuację Władysław Orłowski przedstawia interesująco i powiedziałbym kontrapunktowo (poprzez wprowadzenie wątków okupacyjnych). Potrafi wniknąć w rozmaite uwarunkowania, jakie towarzyszą Kostrowińskiemu w momencie, gdy wybiera repertuar dla swego teatru, gdy motywuje wobec aktorów wybór sztuki i przedstawia obsadę, gdy boryka się ze znalezieniem sobie właściwego miejsca między sceną a życiem prywatnym. Przekonująco motywuje pisarz również sprawę odejścia Kostrowińskiego z teatru, ze szkoły teatralnej po to, by stworzyć własny zespół, coś w rodzaju objazdowej trupy, po to, aby realizować pieszczone od lat marzenia o robieniu prawdziwego teatru wśród ludzi z krwi i kości — w przygodnej hali fabrycznej, pod gołym niebem czy gdzieś w wiejskiej świetlicy. Taki eksperyment — nie nowy przecież w dziejach teatru — w powieści określony mianem „Teatru Bliskiego" bierze dość szybko w łeb, do czego walnie przyczynia się wbrew oczekiwaniom sam szef. I tu zaczyna się moje pod adresem autora cięcie skalpelem. I nawet nie w odwet za to, że pozwolił sczeznąć tak pięknej idei, ale dlatego, że rozterkę i dramat reżysera i dyrektora Kostrowińskiego (utopiony w końcu w alkoholu) przedstawił w sposób mniej ciekawy i sugestywny, niż uczynił to był z dniami chwały. Po prostu upadek nie dorównał wzlotowi. A przecież wydaje się, że dopiero ów dramatyzm sytuacji, w której rzeczywistość nie jest w stanie sprostać marzeniom, aż się prosi o bardziej wnikliwą i rozbudowaną w stosunku do części pierwszej analizę.

Jako motto wykorzystał Władysław Orłowski piękną sentencję Petera Brooka: „Mogę użyć jakiejkolwiek pustej przestrzeni przyjmując ją za ogołoconą scenę. Ktoś przechodzi w poprzek niej, ktoś inny jej się przygląda i to wszystko, czego potrzeba dla zaistnienia teatru". Słowa te wyjaśniają najlepiej tytuł powieści i jej sens: życie samo jest najwspanialszym teatrem, który z autorów mu dorówna? Aby nie było jednak wątpliwości, autor „Wołania z pustej przestrzeni" dopowiada wprost: teatr „karmi się życiem, jest przełożeniem jego prawdy na magiczny zapis, albo inaczej: stanowi wyciąg z życia, krystaliczny zakrzep ludzkiej egzystencji, w którym każdy może się przejrzeć jak w zwierciadle. Prawda teatru i prawda życia leżą obok siebie, przenikają się wzajemnie".

W konsekwencji takiego stanowiska realność, codzienne życie, konkret egzystencji miesza się ustawicznie z rzeczywistością teatralną, ułudą, metaforą. W powieści ze świata sztuki nie może być przecież inaczej, prawdziwy artysta to ktoś, kto jest opętany, zauroczony bez reszty sztuką. W książce Orłowskiego widać to może najlepiej przy realizacji przedstawienia według rzadko grywanego u nas dramatu Szekspira „Troilus i Kresyda". Godne szczególnej uwagi są tu zwłaszcza komentarze inscenizacyjne.

Czy może istnieć ciekawa powieść ze świata sztuki bez wprowadzenia do niej miłosnych namiętności? Intryga miłosna łącząca dyrektora, reżysera i profesora Kostrowińskiego z jego urokliwą studentką Elwirą, której dopomógł w oszałamiającym debiucie scenicznym stanowi więc oś konstrukcyjną „Wołania z pustej przestrzeni". Do końca zresztą nie jesteśmy pewni: miłość to czy namiętność, chęć zrobienia kariery przy pomocy łóżka czy zauroczenie mężczyzną, który ma w swoim zawodzie coś do powiedzenia. W każdym razie odbieramy erotykę zmysłową, choć autor zachował umiar i dyskrecję przy przedstawianiu tzw. momentów damsko-męskich, jak mawia ostatni specjalista od pornografii, Zygmunt Kałużyński. Owo niedookreślenie czy też niezdecydowanie uczuciowe pozwala zresztą autorowi na dość dokładne eksponowanie obyczajowości panującej w teatralnym światku.

Magia teatru poraziła bohaterów powieści Władysława Orłowskiego. I chyba dobrze się stało — mamy bowiem do czynienia z rzeczywistą powieścią środowiskową, opowiadającą o ludziach zauroczonych teatrem. Które to zauroczenie udzielić się też może i czytelnikom.

W. Orłowski, Wołanie z pustej przestrzeni. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1982, nakład 19.650+350 egz., s. 202, cena zł 60.—

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Dla znawców sztuka - gołe ciała dla publiczności

Dawno już zauważono, że człowiek (przynajmniej wychowany w naszym kręgu kulturowym) znacznie silniej przeżywa zetknięcie ze śmiercią jednostki — pojedyńczej istoty ludzkiej, niż widok całego nawet pola zasłanego zmasakrowanymi ludzkimi ciałami. Film „Serce tyrana" może stanowić dowód, że podobna psychologiczna prawidłowość dotyczy również sfer erotyki, seksu.

Jedno urodziwe, młode, nagie ciało podnieca bez porównania silniej niż kilkadziesiąt sztuk równie urodziwych i równie nagich ciał. Podobnie rzecz wygląda, gdy prezentuje się widzowi w jednym filmie szeroką bardzo gamę różnorodnych kombinacji erotycznych. Wybór zestawień: kobieta — mężczyzna (dwie kobiety — mężczyzna), kobieta — kobieta, mężczyzna — mężczyzna... dodatkowo uzupełniony elementami krwawo-sadystycznymi, przy całym natłoku wrażeń nie wzbudza szczególnego podniecenia.

Reżyser filmu wykorzystuje ponadto pewien archetypiczny (a więc, przynajmniej w teorii, przemawiający do podświadomości każdego odbiorcy) schemat erotyczny: zabarwiony zmysłowo stosunek syna i domniemanej jego matki w kontekście stosunku do ojca. Gdy w dodatku w całą historię wplątuje się jeszcze stryja, który miałby rzekomo zamordować swego brata, aby posiąść jego żonę (i gdy rzecz dzieje się w książęcej czy królewskiej rodzinie), to wszystko to niezmiernie zaczyna przypominać szekspirowskiego „Hamleta", powinien więc nieść z sobą film Miklosa Jancso głębię uniwersalnych psychoanalitycznych podtekstów, podobnie jak słynna tragedia Wiliama Szekspira.

Jeśli intencją reżysera była realizacja zasady „dla każdego coś miłego w sferze seksu", to nie została ona w pełni zrealizowana, gdyż film — można sądzić — nie był dla nikogo pod tym względem do końca satysfakcjonujący, jako że oprócz samych nagich ciał niczego konkretnego, mogącego budzić podniecenie nie pokazano, jak również z powodu nadmiaru zbyt zróżnicowanych smaczków seksualnych.

Jeśli natomiast intencją tą był żart z widza, żart polegający na tym, że każdy widz znajduje w filmie coś ekscytującego go erotycznie, a jednocześnie tego nie znajduje (przynajmniej nie do końca) — to trzeba przyznać, że żart ten w pełni twórcy filmu się udał.

Igranie z widzem, gra jaką prowadzi z odbiorcą filmu M. Jancso jest znacznie bardziej złożona i dotyczy nie tylko sfery erotyki. Reżyser skutecznie zamazuje granicę między tym, co w świecie przedstawionym w filmie jest prawdą a tym, co jest zmyśleniem — fikcją. Może nawet mówienie o prawdzie i nieprawdzie w świecie ukazanym w „Sercu tyrana" jest niewłaściwe. Mamy tu raczej do czynienia z wieloma równoprawnymi, różniącymi się od siebie wersjami wydarzeń i relacji zachodzących pomiędzy poszczególnymi postaciami. Tego rodzaju balansowanie na krawędzi realności, a może wręcz zbudowanie przez Miklosa Jancso świata nie poddającego się kwalifikacjom: prawda — nieprawda, osiągnięte zostało poprzez zabiegi na kilku płaszczyznach: scenariuszowo-fabularnej, inscenizacyjnej, jak również — do pewnego stopnia — w sferze sposobu gry aktorskiej.

Na magnacki czy królewski dwór przybywa po wieloletniej nieobecności młody człowiek pochodzący ze znakomitego rodu. Oplątuje go sieć intryg, w których stawką jest władza, władza królewska, a w dalszych zamierzeniach nawet papieska. Każdy nieomal, z którym spotyka się ów młody arystokrata we własnym interesie przedstawia mu w innym świetle wypadki zaszłe w przeszłości, jak i sytuacje aktualnie istniejącą. Tak więc pierwszym źródłem wielokształtności „prawdy" jest wykorzystywanie jej jako narzędzia w skomplikowanej grze politycznej. Sugeruje się nawet, tak widzowi, jak i owemu młodemu przybyszowi, możliwość, że cały dwór wraz z tym, co na nim się dzieje jest nieprawdziwy, jest zainscenizowany przed oczami przybysza dla określonych politycznych celów, a poszczególne postacie (w tym matka młodzieńca i jego stryj) nie są naprawdę sobą, lecz tylko grają wyznaczone im role.

Z drugiej strony źródłem wieloznaczności jest wprowadzenie do świata ukazanego w filmie trupy komediantów, którzy odgrywają na dworze kilkakrotnie większe i mniejsze partie jakiegoś spektaklu teatralnego, zaś granica między spektaklem a „realnym" życiem dworu zostaje w wysokim stopniu zamazana. Z kolei pod koniec filmu widzimy wszystkie prawie główne postacie występujące w filmie jako trupę komediantów ucztujących po spektaklu. Powoduje to, że cała dotychczasowa akcja jawi się widzowi jako spektakl, w którym nie ma w ogóle sensu mówić o prawdzie lub fikcji.

Lecz i na tym reżyser nie poprzestał. W ostatnich ujęciach widzimy wybiegających z radością na łąkę komediantów, których po chwili ktoś (nie wiadomo kto, bo zza kadru) zabija strzałami z karabinu. Widz, który dopiero co doszedł do pewnego ładu z treścią filmu zostaje znów zdezorientowany, tym bardziej, że użycie karabinu sprawnie i od pierwszego wystrzału zabijającego z dość dużej odległości jest anachronizmem w epoce, w której działa się cała akcja. Wszystko bowiem wskazywało dotychczas na mniej więcej XIV, XV wiek.

O ile balansowanie między różnymi możliwymi wersjami wydarzeń w filmach francuskiej nowej fali czy wcześniej w „Rashamonie" odbywało się — na płaszczyźnie formalnej — dzięki zastosowaniu złożonych figur montażowo-narracyjnych, to w filmie M. Jancso dzieje się tak dzięki szczególnemu sposobowi inscenizacji w obrębie poszczególnych ujęć.

Wreszcie czynnikiem uwieloznaczniającym fabułę filmu są niektóre momenty w grze aktorskiej, kiedy widz odnosi wrażenie, że spod twarzy kreowanej przez aktora postaci wyziera twarz samego aktora, który puszcza w kierunku widza porozumiewawcze, figlarne spojrzenie.

„Serce tyrana" jest dziełem nader misternie i przemyślnie skonstruowanym, a zarazem wymagającym od widza dużego estetycznego wyrobienia, jeśli miałby widz w pełni ocenić formalne walory filmu i wziąć z ochotą i przyjemnością udział w wyszukanej grze (co jest prawdą, a co fikcją?), do jakiej zaprasza reżyser. Biorąc pod uwagę formalną złożoność filmu można by sądzić, że film przeznaczony jest wyłącznie dla elity kinomanów. Tymczasem „Serce tyrana" cieszy się dużą frekwencją. A sprawiają to zapewne wiszące w gablocie przed kinem fotosy przedstawiające trochę nagiego ciała oraz napis głoszący: „tylko dla dorosłych".

Miklos Jancso dokonał rzadkiej sztuki. Zrealizował on film trudny dla niewyrobionego widza. Mimo to film cieszy się dużym powodzeniem, bowiem dla znawców wysmakowana estetyczna gra, dla szerokich mas golizna. Jednakże — trzeba to z mocą podkreślić — ta golizna nie jest pornografią! W swym zmasowaniu i różnorodności golizna nie jest — ku zaskoczeniu i skrytemu rozczarowaniu przeciętnego widza — szczególnie silnym źródłem prymitywnego seksualnego podniecenia. Poza tym nagość nie tylko jest haraczem na rzecz masowej publiczności, ale też współtworzy, poprzez stwarzany przez siebie klimat zmysłowości, dodatkowy (a może wręcz nadrzędny) estetyczny walor utworu.

A zatem zasadę: „Bogu (sztuki) świeczkę a diabłu (szerokiej publiczności) ogarek" można zrealizować bez szkody a i z pożytkiem dla sztuki. Niektórzy zapewne będą mieć do Jancso pretensje, że „Serce tyrana" jest filmem eskapistycznym, pozbawionym istotniejszych, aktualnych treści, ot tylko wspaniałym warsztatowym cackiem. Jakkolwiek w zarzutach takich jest trochę prawdy, nie czyniłbym z tego powodu węgierskiemu reżyserowi wyrzutów. Bez porównania bowiem więcej jest filmów ważkich i aktualnych, niż po prostu filmów dobrze zrobionych...

ADAM BART

SERCE TYRANA, CZYLI BOCCACIO NA WĘGRZECH — reżyseria: Miklos Jancso, produkcja: Włochy, Węgry. (Rzekomo ekranizacja noweli z „Dekamerona" Boccacia „Wspaniałomyślność miłośnika" — w rzeczywistości film niewiele z nowelą tą ma wspólnego).

Jak narodziły się filmy z serii „Zaczarowany ołówek"

Czarodziejska moc ołówka

Dokończenie ze strony 1

w redakcji „Szpilek" smutny pan z rysunkiem satyrycznym. Od razu dał się poznać jako znakomity, zaangażowany karykaturzysta. Jasno, bez żadnych niedomówień, określał swą postawę w rysunkach politycznych, drukowanych również w „Cyruliku Warszawskim". Jego lewicowe poglądy spowodowały, iż po napaści Niemiec na Polskę, w obawie przed represjami, musiał uciec z kraju. W Związku Radzieckim działał w środowisku Polaków, zgrupowanych wokół Związku Patriotów Polskich. Mało kto wie zapewne, że to Zenon Wasilewski zaprojektował sztandar bojowy I Dywizji Wojska Polskiego im. Tadeusza Kościuszki. Osoba Wasilewskiego z tamtych lat przewija się we wspomnieniach Jerzego Putramenta na kartkach jego książki „Pół wieku".

Twórczość filmową, która przyniosła mu największy rozgłos, rozpoczął na rok przed wybuchem wojny, skromnie, od 30-metrowych filmów reklamowych dla kolektury Wolanowa i domu towarowego B-ci Jabłkowskich. Ale Wasilewski miał ambitniejsze plany. W połowie 1939 r. rozpoczął realizację baśni ludowej „Podwawelski smok". Dokończył — po wyzwoleniu w Łodzi, dokąd się przeniósł na stałe. Film ten, zatytułowany ostatecznie „Za króla Krakusa", powstał w niezwykłej scenerii: miejscem jego narodzin było mieszkanie na ul. Kilińskiego, które Wasilewski przy pomocy siostry i swego asystenta Edwarda Sturlisa, przerobił na atelier.

Jego późniejsze filmy to nowe sukcesy. Wątki fantastyczne splatają się w nich z realizmem, ludowa mądrość z żywiołowym humorem. Poszukuje coraz nowych środków wyrazu. Zamierza zrealizować filmy wycinankowe, narzeka na przemęczenie produkcją rzemieślniczą, sam bowiem wykonywał również swoje kukiełki.. Niespodziewana śmierć, tuż po ukończeniu ostatniego filmu „Człowiek z lustra" przerywa pełną pasji twórczość. Wasilewski umarł w 1966 r. Przejął się niepochlebną, napastliwą recenzją o nim w jednym z tygodników.

Odwiedziłem pana Zenona w studio, gdy tworzył naszą „Balladę o królewnie Lilianie". Zamknięty w sobie w skupieniu ustawiał lalki na planie. Nie odzywał się ani słowem. Przypominał mi ogrodnika Dziewierskiego, bohatera poematu tuwimowskiego „Kwiaty polskie" zajętego artystycznym wiązaniem bukietów wiejskich:

...Spójrz, jak przejmuje i przetyka
Łodygi ich między palcami,
Jak coraz nową barwą plami,
Przeplata, więzi i zamyka,
Znów kładzie, przewiązuje, ściąga,
Palcami jak na drutach robi —
I rośnie wizja półokrągła,
On wzmacnia ją, przystraja, zdobi,
Śledzi spod gęstych brwi oczyma,
Jak pełznie w górę klombik pnący,
A taśmę łyka w zębach trzyma,
Milczek surowy — bo tworzący.

Drugi mój i Karola scenariusz filmu kukiełkowego „Czapki na sprzedaż" trafił na warsztat również wytrawnego reżysera — Jerzego Kotowskiego, późniejszego rektora Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera. Energiczny, ruchliwy, miał sto pomysłów na godzinę, o wielu po paru minutach zapominał. Namawiał mnie na serię filmu wycinankowego. Jeden odcinek zrobiliśmy, gdy nagle postanowił zrealizować, też w konwencji wycinankowej, serial pt. „Baśnie różnych narodów". Opracowaliśmy scenariusz, a wkrótce potem z krakowskiej kliniki neurochirurgicznej nadeszła wiadomość o przedwczesnej śmierci nieodżałowanego Jurka...

Postanowiłem spróbować sił w filmie aktorskim. Z baśniowej krainy kukiełek przenieść się do otaczającego mnie świata. Pierwsza próba to scenariusz bezdialogowej farsy pt. „Piegowaty dzień" — o pechowcu, którego od samego rana do nocy prześladują na każdym kroku przeciwności losu. Wyreżyserował nie byle kto — sam Jerzy Passendorfer, a i obsada była wystrzałowa: Lidia Korsak, Kazimierz Brusikiewicz, Jarema Stępowski. Niewątpliwą satysfakcję sprawiło mi, poza powodzeniem filmu, spopularyzowanie się mego tytułu w potocznych rozmowach. *„Taki piegowaty dzień! Pech za pechem"* — narzekali ludzie.

Zamarzył mi się też pełnometrażowy film obyczajowy, oparty na autentycznych faktach ze znanego środowiska zawodowego. Miała to być satyra na bierną postawę władz i społeczeństwa wobec niesamowitych wyczynów nałogowego alkoholika. Brutalny, despotyczny, bezwzględny, stosując metody przedwojennego papy Tasiemki i Ojca Chrzestnego rozpijał otoczenie, podporządkowywał podwładnych swym zaborczym, osobistym celom, przywłaszczał sobie cudze prace, zbijał kokosy przy pomocy armii „murzynów" i czarując wszystkich swą erudycją nie cofał się przed najpospolitszymi kantami. A gdy wreszcie przebrała się miarka, przed odpowiedzialnością karną hochsztaplera wybronili wpływowi protektorzy i cała historia rozeszła się po kościach.

Napisałem nowelę, zatytułowaną „Rekin w papierze" i dałem do przeczytania znajomemu filmowcowi.

— *Wydumana historia!* — powiedział. — *Gdzie znajdziesz dzisiaj takich ludzi? Kto by ich tak długo tolerował? Schowaj to sobie do szuflady na pamiątkę.*

Tak też uczyniłem. I do dziś się dziwię — jak mogłem wpaść na tak nieżyciowy pomysł?

Z ziemi wróciłem w obłoki. Do zaczarowanej krainy baśni, gdzie dzieją się same piękne rzeczy. Dyrektor Brudzyński zaproponował:

— *Niech pan pomyśli o filmie dla dzieci. Nie mamy scenariuszy. Może zainteresuje pana kreska? Filmy rysunkowe dzięki swej technice są szybsze, więcej można w nich powiedzieć. A panu Karolowi* — zwrócił się do Baranieckiego — *można by powierzyć oprawę plastyczną i reżyserię.*

Propozycja przypadła mi do gustu. Ale choć całymi dniami wytężałem mózg, nic nie mogłem wymyślić. Aż którejś nocy... Zobaczyłem we śnie taką scenę: mały chłopczyk i piesek uciekają przed prześladowcami. Dobiegli nad skraj przepaści, goniący są tuż, tuż. W tym momencie zjawia się krasnoludek i wręcza chłopcu zaczarowany ołówek, mający tę właściwość, że narysowane nim przedmioty ożywają, stają się namacalne. Chłopiec rysuje kładkę, przerzuca ją nad przepaścią, przebiega z pieskiem na drugą stronę, pociąga deskę za sobą — są uratowani!

Obudziłem się olśniony. Podobnego uczucia musiał doznać Newton, gdy złota reneta spadła mu na głowę. To jest to! Niewyczerpane źródło przygód i gagów!

Dyrektor Ryszard Brudzyński nie ukrywał zadowolenia. Udzielił mi fachowych porad. Podobnie jak przed laty redaktor Konstanty Bogusławski wtajemniczał mnie w arkana sztuki reporterskiej, szef „Se-Ma-Fora" zajął się moją edukacją filmową. Mimo bowiem współautorstwa w dwóch scenariuszach, nadal byłem ciemny jak tabaka w rogu.

Mój entuzjazm udzielił się Karolowi Baranieckiemu. Naszkicował sylwetki bohaterów i pomógł mi spreparować scenariusz filmu zatytułowanego „Na podwórzu". Z oprawy plastycznej wywiązał się znakomicie, z reżyserii chyba też, skoro na kolaudacji w Warszawie nasz film uzyskał w sześciostopniowej skali ocen — najwyższą, celującą.

Dyrektor zachęcał gorąco do następnego filmu z tymi samymi bohaterami.

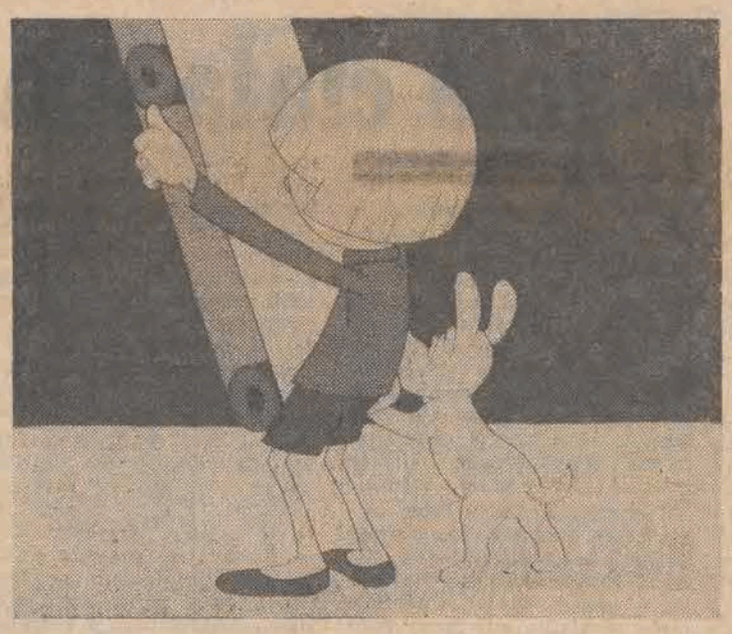

— *Jeżeli to panom wyjdzie* — obiecywał — *zrobimy trzynastoodcinkowy serial. Za granicą jest popyt na dziecięce filmy bez dialogów. Odpadają koszty dubbingu czy napisów.*

No i posypały się kolejne odcinki. Każdy stanowił oddzielną całość, zamkniętą przygodę, wszystkie łączyły postaci trzech głównych bohaterów: chłopczyka, pieska i krasnala. Serial szedł pod wspólnym tytułem „Zaczarowany ołówek", poszczególne filmy miały różne nazwy.

Z krasnoludkiem jeszcze na samym początku wynikły nieoczekiwane perypetie. Ktoś bardzo mądry zaprotestował przeciw jego udziałowi w filmie.

— *To postać niematerialistyczna. Nie trzeba mącić dzieciom w głowach. Wywalcie krasnoludka, niech bohater wychodzi z opresji obronną ręką jako spolitechnizowany majster-klepka!*

Kategorycznie się temu sprzeciwiłem. Usunięcie krasnala pozbawiłoby filmu uroku bajkowego. Dzieci lubią, gdy dzieje się coś nadprzyrodzonego, to pobudza ich wyobraźnię. Chciały też wiedzieć, jak się nazywają bohaterowie. Niemy film nie mógł zaspokoić ich ciekawości. Jak ma na imię chłopczyk? Jak się wabi jego piesek? Pytały o to na pokazach i porankach filmowych, pisały listy do kin, prosiły rodziców, aby zadzwonili do wytwórni. Nasunęło mi to pomysł dekonspirowania ulubieńców dziecięcej widowni za każdym razem przed wyświetleniem „Zaczarowanego ołówka". Mieli to robić przebrani za nich aktorzy. Chłopczyk przedstawiałby się:

Jestem Piotruś, wasz kolega,
Z filmów mnie na pewno znacie,
Dużo o was wiem dobrego,
A to Pimpuś, mój przyjaciel.
Mam ołówek, istne cudo,
Co potrafi czynić czary,
Dał go dobry krasnoludek,
Z siwą brodą, bardzo stary...

A piesek:

Hau, hau, hau, choć mieszkam w budzie,
Nikt nie powie, żem pokraka,
Umiem chodzić tak jak ludzie
I jak pieski — na czworakach.
Więc nie bójcie się mnie, dzieci,
Kto chce, może podejść bliżej,
Jak mnie drażnić nie będziecie,
To nikogo nie ugryzę!

Na zakończenie prezentacji aktorzy wraz z widownią mieli zaśpiewać piosenkę z refrenem!

Zaczarowany ołówek
Tajemną w sobie ma moc.
Zaczarowany ołówek
Śni się każdemu co noc...

Nic z tego nie wyszło. Bohaterowie „Zaczarowanego ołówka" pozostali bezimienni. Zamierzone imprezy nie doszły do skutku, ktoś wyliczył, że to za drogo wypadnie.

Od trzeciego odcinka już sam pisałem scenariusze. Karol Baraniecki miał mnóstwo pracy z plastyką. Jednakże w czołówkach filmowych obok mego nazwiska jako autora figurowały i inne. Obowiązywał wówczas nieżyciowy przepis: gdy autor był jeden, stawka za scenariusz wynosiła trzy tysiące, natomiast gdy dwóch — cztery tysiące pięćset. Toteż pp autorzy skrupulatnie omijali to zarządzenie dobierając sobie wspólników, którym odpalali jakąś dolę, co im się opłacało, bo w kieszeni zawsze zostawało więcej niż gdyby tylko siebie podali jako autora.

Po Karolu Baranieckim następne filmy serialu reżyserowali zawodowcy z „Se-Ma-Fora": Alina Kotowska, Zbigniew Czernelecki, Andrzej Piliczewski, Ludwik Kronic oraz nieżyjący już prof. Józef Skrobiński. Precyzyjny do przesady Zbyszek Czernelecki w najdrobniejszych szczegółach opracowywał każdy scenariusz. Spod jego ręki wyszła chyba połowa filmów „Zaczarowanego ołówka". Poza tym do każdego, wespół z Waldemarem Kazaneckim, komponował podkład muzyczny.

Entuzjastą mojej twórczości filmowej był Marek Groński. Zasypywał mnie okolicznościowymi fraszkami:

Od „Wicka i Wacka"
po filmowe cacka,
„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem,
A nie żałujcie złotówek,
I przed cudownym klęknijcie obrazem:
„Zaczarowany ołówek"...

Z kin „Zaczarowany ołówek" trafił na ekrany telewizyjne, co jeszcze bardziej go spopularyzowało. Całą pierwszą serię zakupili odbiorcy zagraniczni z wielu krajów, wyrażając jednocześnie chęć nabycia „na pniu" następnej. Film Polski zawarł transakcję z zachodnioniemiecką wytwórnią „Videphon" w Monachium specjalizującą się w produkcji filmów kasetowych. „Zaczarowany ołówek" jako pierwszy polski serial filmu animowanego znalazł się w domowych „kinach".

W tym to czasie redakcja „Karuzeli" delegowała mnie do Moskwy w celu wymiany doświadczeń z satyrykami „Krokodyla" i innych czasopism. Ówczesny szef „Krokodyla", Manuił Grigoriewicz Siemionow, powiedział, że redakcja moskiewskiej Telewizji zażyczyła sobie mego występu przed kamerami w ramach cowieczornej audycji dla dzieci „Spakojnoj nocziˊ, małyszy!" Miałem wygłosić krótki „spicz" do najmłodszych telewidzów przed wyświetleniem „Awantury w górach", jednego z filmów „Zaczarowanego ołówka".

Byłem przekonany, że moje wystąpienie zostanie nagrane na taśmę. „Czajka" telewizji zajechała pod hotel na niecałą godzinę przed rozpoczęciem transmisji. Wtedy zrozumiałem, że wystąpię na żywca — i zdjął mnie strach.

— *Nic się nie przejmujcie* — uspokajał mnie redaktor audycji. — *Wszystko na pewno dobrze wypadnie, tylko mamy do was serdeczną prośbę: wiemy, że dobrze władacie rosyjskim, ale nie wysilajcie się za bardzo, zwłaszcza z akcentem. Widownia lubi, gdy gość z innego kraju ma potknięcia językowe. To dodaje kolorytu.*

Przemawiałem do dzieci radzieckich chyba z pięć minut. Audycja leciała na cały kraj. W kilka miesięcy później spędzałem urlop w Międzynarodowym Domu Dziennikarza nad Balatonem. Każdy turnus gromadzi tam dziennikarzy i ich rodziny z wszystkich krajów socjalistycznych. I oto któregoś dnia przy obiedzie przeżyłem miłą przygodę. Jakaś mama przechodziła ze swym kilkuletnim synkiem koło mego stolika. Malec popatrzył na mnie i wrzasnął:

— *Mamoczka! Smatri! Etoż tot diadia, katoryj wystupał u nas po telewideniił*

Poznał mnie smyk i odtąd towarzyszył mi w spacerach na plażę imponując swym rówieśnikom znajomością z „wujkiem", który przed snem opowiedział mu o sobie i pokazał film z chłopczykiem, pieskiem i „krasną szapoczką". Jego mama była zachwycona naszą przyjaźnią. Piękna pani Tatiana nie miała słów podziwu jak świetnie potrafię się bawić z jej Igorkiem. Obdarzała mnie najczarowniejszym uśmiechem i często dawała dowody swej sympatii. Potwierdziła się prawda odkryta przed wiekami przez najmędrszych z mądrych, a utrwalona w wierszu przez Jana Brzechwę:

...Wiadomo przecież od stuleci,
że taki rzeczy jest porządek:
do matek trafia się przez dzieci
tak jak do mężczyzn przez żołądek.

A w „Se-Ma-Forze" dobiegała już końca trzecia seria „Zaczarowanego ołówka". Tym razem scenariusze napisałem z „autentycznym" wspólnikiem, Sławomirem Grabowskim, który przejął po Ryszardzie Dorobie funkcję starszego redaktora wytwórni. Seria ta różni się od poprzednich. Gdy odcinki tamtych były oddzielnymi przygodami, tutaj jedna przygoda rozciąga się na trzynaście fragmentów. Piesek wyławia z morza butelkę, w której jego pan znajduje kartonik z narysowaną wyspą bezludną i kilkuletnim brzdącem wzywającym SOS! Chłopiec postanawia przy pomocy pieska odszukać małego rozbitka i uratować go. Przez trzynaście filmów wędrują po świecie, przeżywają różne przygody, wreszcie natrafiają na ową wyspę. Zamiast malca spotykają starca z brodą do pasa. Zdumionemu chłopcu starzec pokazuje datę na odwrocie kartonika: 1880 r. Butelka dziesiątki lat przeleżała w morzu, a on w tym czasie z chłopczyka stał się starcem, ale pociągają go zabawy dziecięce i najgorętszym jego marzeniem jest przejażdżka na hulajnodze...

Każdy z nas lubi sobie pomarzyć. I ja wzdycham nieraz: ach, żebym to miał taki zaczarowany ołówek! Jakże piękne stałoby się życie. Teściowa narzeka: lodówka pusta, u rzeźnika same ochłapy. Ja cap za ołówek, szast prast — i już kawał pięknej polędwicy i pęto krakowskiej zdobią stół. W domu u nas „ciche dni". Jeden tapczan w mieszkaniu, a na dmuchanym materacu twardo i niewygodnie. Ale ja mam ołówek zaczarowany! Rysuję wersalkę i żona ma już gdzie wyprostować kości. Żal mi jej, ostatnio jest jakaś smutna. Nie czekam na specjalną okazję, kreślę na kartonie brylant dwa razy większy od Koh-i-noora, złoty łańcuszek i zawieszam na szyi mojej towarzyszki życia. Rozpogadza się dopiero po kilku dniach: z pomocą mego niezawodnego ołówka zamieniłem w prawdziwe — trzy narysowane rolki papieru higienicznego. Teraz żonka będzie mogła zaimponować sąsiadkom i koleżankom w pracy.

Ale trzeba wreszcie wyjawić prawdę. Biję się w piersi. Ołówek, którym można czynić cuda, to wcale nie mój wynalazek. No bo skąd się brały w sprawozdaniach przez całe lata owe tysiące metrów nie wyprodukowanych tkanin, dziesiątki tysięcy ton nie wydobytego węgla, niezliczone hektolitry siarki? To różni ludzie wyczarowywali je ołówkiem na papierze! I niepotrzebny im był do tego ani krasnal z siwą brodą, w czerwonej czapeczce, ani piesek, ani moje mądre scenariusze.

ADAM OCHOCKI

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu książki „Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę".

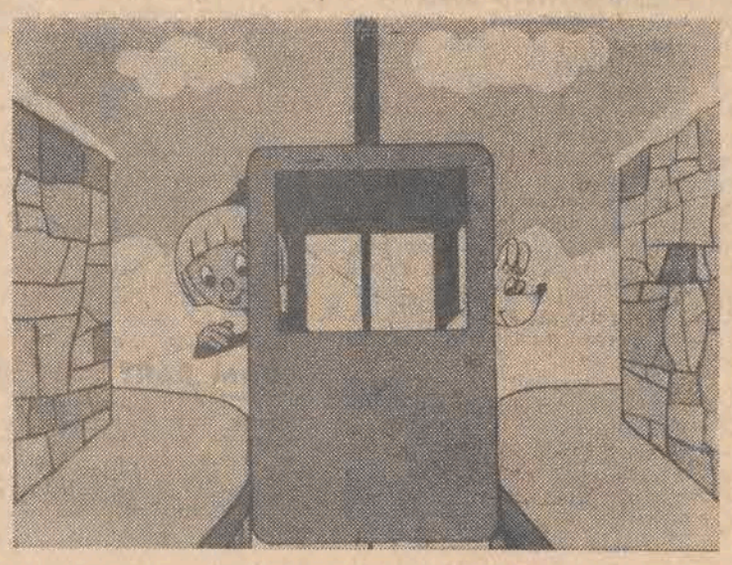

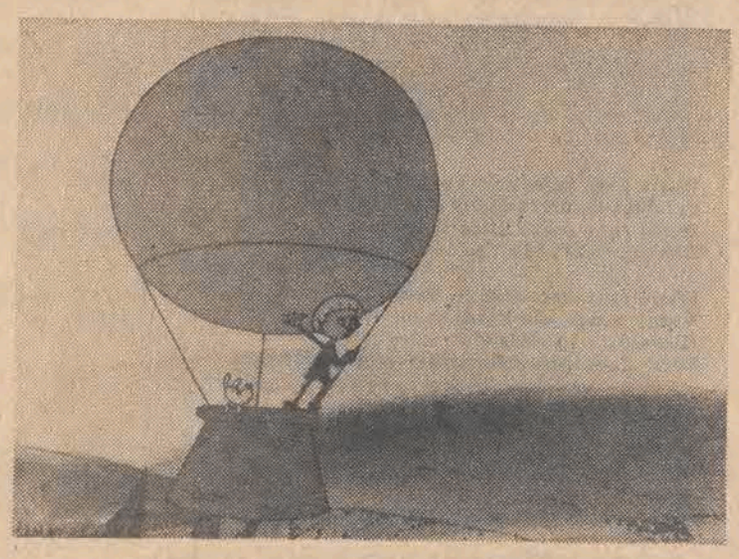

Polemiki • Problemy • Listy

„Wykarmiłam ich własną piersią"

Artykuł Edwarda Bryla skłania do głębokiej refleksji, zadumy, przemyśleń. Autor trafnie ze szczegółami podnosi problem ludzi starszych, którym nie staje ciepła w rodzinie podając przykład jednej z podopiecznych Działu Służb Społecznych w Zgierzu. Problem ten nie jest odosobniony, w ciągu kilkuletniej pracy w pomocy społecznej przykładów tego rodzaju mnie, czy więcej drastycznych można podać wiele. Ludzie starsi opuszczeni przez swoich najbliższych, częściowo niesprawni, pozostawieni samym sobie zmuszeni są do korzystania z pomocy i opieki innych — przeważnie pomoc niosą pracownicy pionu pomocy społecznej zastępując im ich własne rodziny.

W ślad za artykułem Edwarda Bryla możemy potwierdzić, że sprawa pani Heleny Sęczkowskiej była wyjątkowo drastyczną. Pracownicy socjalni stukali do domów zobowiązanych prawnie do opieki dzieci wielokrotnie, bezskutecznie, co potwierdził również autor. Zobowiązani jednak nie poczuwali się do obowiązku, na nasze interwencje odpowiadali agresją — tym bardziej było to tragiczne, że świadkiem tego była ich własna matka, do której jakby to nie dochodziło, jakby w to nie mogła i nie chciała uwierzyć. Pracownikom działu pozostało tylko to jedno konieczne wyjście — umieszczenie podopiecznej w Państwowym Domu Pomocy Społecznej, na który oczekiwała w Pogotowiu Opiekuńczym. W tym miejscu należy podkreślić: instytucje w osobach ich reprezentantów niezwłocznie udzieliły pomocy — takiej, jaka była wskazana. Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi, dyrektor Petrenko niezwłocznie wydał skierowanie do PDPS, dyrektor Domu Pomocy Społecznej w Zgierzu zabezpieczył miejsce. Na uboczu pozostała tylko rodzina.

Rozmowy z rodziną okazały się najtrudniejsze. Zobowiązani wykazali niespotykaną obojętność, chociaż ich matka, jak nas poinformowała, wykarmiła ich własną piersią, poświęciła im dotychczasowe życie na dobre i złe, a oni odmówili jej miejsca w swoich dostatnich domach. Tym bardziej było to przykre, że po drugiej stronie przetargów pozostawała wyłącznie niemoc sędziwej, ze spracowanymi rękoma staruszki, po twarzy której spływały łzy. Właśnie to, co jej pozostało.

W codziennej pracy zawodowej często spotykamy się z podobną postawą najbliższych, którzy nie czują się w obowiązku zapewnienia opieki tym którzy dali im to, co najdroższe — życie i otoczyli ich miłością, zapewnili bezpieczeństwo i dlatego staramy się zrobić wszystko, aby złagodzić cierpienie, niedostatek, albowiem oni oddają swój los do naszej dyspozycji nie mając innego wyboru. Zdajemy sobie sprawę, że nie zawsze nam się to udaje, przecież prawdziwego ciepła rodzinnego nie może zastąpić najbardziej sprawnie działająca instytucja. Podążając za tokiem myślenia autora — nam też nie chodzi o taki finał pomyślnego załatwienia sprawy, ale często wypływa to ze smutnej konieczności, często, bo sprawa pani Sęczkowskiej nie jest odosobnioną. Przecież liczba ludzi starych wzrasta, a wraz z jej wzrostem występuje pilna potrzeba zapewnienia opieki — tym bardziej pożądanej ze strony ich najbliższych, zwłaszcza, że instytucje z zapewnieniem jej w miarę wzrostu środków na pomoc społeczną nie mają trudności. Poza występującym problemem mieszkaniowym zwłaszcza na terenie wiejskim. Zdajemy sobie sprawę z tego, że zapewnienia miejsca w najlepiej zorganizowanym PDPS nie zastąpi uczuć rodzinnych, jesteśmy częstymi świadkami oglądających się za siebie ze łzami w oczach pozostawianych przez nas naszych podopiecznych przekraczających progi PDPS, jakby z nadzieją, że ich własne dzieci w miarę upływu czasu odwiedzą, a może nawet zabiorą. Z taką właśnie nadzieją pozostaje pod wspaniałą opieką pani Sęczkowska w PDPS w Zgierzu. Przecież serce matki chociaż rozdarte na strzępy przez los potrafi wybaczyć tym, których wykarmiła swoją piersią.

Jesteśmy wdzięczni EDWARDOWI BRYLOWI, że zajął się tym trudnym problemem i smutnym zarazem, sądzimy, że jego artykuł znajdzie zasłużony i właściwy oddźwięk społeczny, albowiem Edward Bryl pisząc występuje w obronie tych, którym pozostała niemoc na obojętność i pomoc ludzi dobrej woli. Edward Bryl nie tylko pisze, kilkakrotnie mogliśmy wysoko ocenić jego partnerstwo przy załatwianiu ludzkich spraw. Tak pomocne partnerstwo.

Problem ludzi starszych w rodzinie pozostaje nadal otwarty. Rodzina przecież stanowi podstawową komórkę społeczną, w rodzinie kształtują się podstawowe cechy osobowości, to prawidłowe wychowanie rodziny przesądza o prawidłowości ukształtowania się społeczeństwa oraz jego funkcjonowaniu. Nawet najdoskonalszy system prawny, najdoskonalej wykształcony system pomocy społecznej nie zlikwiduje skutków braku odpowiedzialności członków rodziny za ich własne prawo do zapewnienia wzajemnie bezpiecznych warunków bytowych.

Zgierz, 4.III.1983 r.

Pracownicy
Działu Służb Społecznych
w Zgierzu
EWELINA RUDNICKA
(Zastępca dyrektora
do spraw Służb Społecznych
ZOZ w Zgierzu)
CZESŁAWA BARTOSIK
(Instruktor służb społecznych)
DANUTA ZIELIŃSKA
(Kierownik Ośrodka Opiekuna
Społecznego)

„Przeglądacze prasy" pogubili okulary?

Zbyt długo znam red. Tulkę „przeglądacza prasy" w „DŁ" aby nie orientować się, że jego umysł jako bank informacji pracuje lepiej niż komputer. Ale w przeciwieństwie do komputera najsprawniejszy nawet encyklopedysta ma swoje lepsze i gorsze dni. Kiedy więc przeczytałem stwierdzenie red. Tulki w „DŁ", że przejrzał wszystkie warszawskie i łódzkie gazety w żadnej nie znajdując komunikatu PAP ustosunkowującego się do tzw. uzdrawiaczy, pomyślałem, że robiąc ten przegląd miał swój zły dzień. I z tej tylko przyczyny nie dostrzegł, że komunikat ten został opublikowany w „Expressie" 15 lutego br.

Pomyślałem, nie zauważył i zapomniałem o sprawie. Kiedy jednak po tygodniu zacząłem lekturę „Odgłosów" od mojego ulubionego Lucjana Bogusza i zobaczyłem tytuł „Felieton, którego nie powinien był napisać Edmund Tulko" byłem przekonany, iż niedopatrzenie „przeglądacza" z „DŁ" zostanie jednak wytknięte. Ale i ten kolejny „czytacz" miał 15 lutego zaćmę, albo zgubił okulary. Być może następny „przeglądacz prasy" powoła się teraz na red. Bogusza, może też lada dzień ktoś sięgnie po „Odgłosy" pisząc rozprawę naukową i puści dalej w świat zaczerpnięte od red. Bogusza stwierdzenie, że nikt nie opublikował komunikatu PAP o uzdrowicielach. Na wszelki wypadek informuję więc niniejszym, że 15 lutego 1983 roku na str. 5 „Expressu Ilustrowanego" ukazał się ów komunikat.

Jako ten, który każdego dnia otrzymuje listy czytelników dziękujących „Expressowi", że redakcja zaprasza do Łodzi najsłynniejszych bioterapeutów, mogę zapewnić, iż do wielu tych listów dołączone są zaświadczenia lekarskie o poprawie stanu zdrowia, np. po zbiorowym biozabiegu S. Nardellego. Świadczy to, że uczestnicy biozabiegu nie zaniechali kontaktów ze swymi lekarzami przed czym zresztą wielokrotnie ich przestrzegaliśmy na łamach „Expressu". Temu samemu celowi służyło też opublikowanie przez „Express" owego komunikatu PAP.

Również w kolejnych odcinkach „Tajemnic ludzkiego ciała" przygotowanych dla „Odgłosów", przedstawiając metody stosowane przez czołowych bioterapeutów goszczących w Łodzi na zaproszenie „Expressu", wielokrotnie cytuję ich apele, aby każdy chory przede wszystkim kierował się zaleceniami swego lekarza. Bioterapia i inne podobne metody mogą jedynie wspomagać oficjalną medycynę w niesieniu ulgi cierpiącym ludziom.

WALDEMAR UCHMAN

Aby „Łódź na muzycznej antenie" była faktycznie Łodzią...

Otóż śpieszę donieść Czytelnikom, nie mającym czasu słuchać radia nocą, że moje dotychczasowe wypowiedzi dotyczące audycji „Łódź na muzycznej antenie" spotkały się z odzewem w programie ogólnopolskim dnia 4 marca 1983 r. Nocą audycję emitowaną wówczas z Łodzi przygotowała Pani kierownik Redakcji Muzycznej Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia — Ilona Grzesiak, która — prezentując trzy piosenki z moimi tekstami — stwierdziła, iż było sporo przesady w felietonach mówiących o pomijaniu łódzkiej produkcji nagraniowej w programach układanych przez nią i podległych jej pracowników. Jednakże wypadło to dosyć blado, bo przecież Pani kierownik nie mogła moim zarzutom zdecydowanie zaprzeczyć, jako że są one słuszne i prawdziwe. Pisałem już wcześniej, że Pani Grzesiak jest w zasadzie jedyną osobą w łódzkiej Redakcji Muzycznej PR, która konsekwentnie stara się w swych audycjach pokazywać dorobek ludzi piosenki związanych z miastem (są to nie tylko wykonawcy, twórcy, reżyserzy dźwięku działający w mieście, ale także ci, którzy się z Łodzi wywodzą lub gościnnie nagrywają u nas). Mój atak w sprawie braku świadomości o przynależeniu do kultury robotniczej Łodzi był zatem skierowany nie przeciwko Pani kierownik Redakcji Muzycznej, ale przeciwko redakcyjnej młodzieży, której mogę zarzucić nie tyle niekompetencję, ile raczej niewielkie doświadczenie lub złą wolę. Rozumiem, że Pani Grzesiak zabrała tutaj głos jako szefowa, ale chodzi przede wszystkim o to, jaki będzie kształt programowy następnych nocnych audycji przygotowywanych przez — wymienianych już tu z nazwiska — red. red. Annę Kolasę czy Jerzego Kijo. I ja chętnie poczekam na te audycje do później nocy przy głośniku.

Nie jest też prawdą — co próbowała we wspomnianym programie „Łódź na muzycznej antenie" sugerować Pani Grzesiak — że na łamach prasy dopominam się o prezentację własnych utworów, bo nie muszę (co zresztą zastrzegałem). Nie staram się bynajmniej kreować samego siebie na współczesnego środowiskowego Prometeusza, ale wystarczającą satysfakcją dla mnie będzie możliwość identyfikowania „Łodzi na muzycznej antenie" podczas radiowej emisji nie po zapowiedzi, lecz po układzie i zawartości repertuarowej. Bo tak naprawdę to jest się czym pochwalić. Stąd też z góry zakładam, że stając się powodem tej małej afery, zostanę zignorowany jako twórca w audycjach Redakcji Muzycznej PR w Łodzi. Ale trudno — ktoś z naszego środowiska artystycznego tego miasta musiał nadstawić głowę.

Tymczasem wróćmy jeszcze na chwilę do programu „Łódź na muzycznej antenie" z 4 marca br. Nie brakowało tutaj nagrań z łódzkiego studia: śpiewali m. in. Kazimierz Kowalski (solenizant, więc dużo), Lucyna Owsińska, Gayga i „Prorock", Krzysztof Krawczyk; przypomniano w ten sposób, że w Łodzi pracują m. in. Ryszard Czubaczyński, Andrzej Żylis, Wiesław Machejko, Juliusz Wacławski, Kazimierz Drobik, Eugeniusz Polok, Bernard Sołtysik, nie mówiąc już o mojej skromnej osobie. Ale zwrócę uwagę na jeszcze jeden znamienny fakt. Od kilku miesięcy jedną z najpopularniejszych polskich piosenek jest utwór „Nie było ciebie tyle lat" śpiewany przez Krystynę Giżowską; piosenka gościła na większości krajowych list przebojów, znamy ją też z teledysków i nadal cieszy się uznaniem słuchaczy. W każdym razie — jak się to mówi — puszcza ją na okrągło cała Polska, tylko nie Łódź. I oto nagle, z programu Pani Ilony Grzesiak, dowiedziałem się, że ten ogólnopolski szlagier został nagrany.. w Łodzi. Dlaczego nie wiedziałem tego wcześniej? Dlaczego w niedawnych audycjach pod hasłem „Łódź na muzycznej antenie" nie znalazło się miejsce dla tego hitu rodzimej produkcji? Nic dziwnego, przygotowywali je kolejno red. Kijo i red. Kolasa.

A swoją drogą, gdyby ktoś był złośliwy, mógłby cały ten mój „list — nie list" zamknąć w jedno lapidarne zdanie zaczerpnięte bodaj z książki Kornela Makuszyńskiego „Szatan z VII klasy". Brzmi ono mniej więcej tak: „Młodego walnęli w łeb, a stary majaczy". A chyba nie o to chodziło. Tak samo, jak mnie nie chodzi w tym wszystkim wyłącznie o groszowe tantiemy.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

☆

Po przeczytaniu materiału Krzysztofa Drzewieckiego pt. „Dwa słowa zamiast felietonu" w „Odgłosach" z dnia 26 lutego br. postanowiłem także wypowiedzieć się na temat „polityki" repertuarowej Redakcji Muzycznej Polskiego Radia w Łodzi.

Całkowicie zgadzam się z autorem ww. felietonu — od dłuższego czasu rzeczywiście nie słyszy się w łódzkich programach muzycznych (szczególnie ogólnopolskich) nagrań dokonanych przez Orkiestrę PRiTv w Łodzi i miejscową Redakcję Nagrań. Natomiast sporo jest na łódzkiej antenie muzyki zachodniej. Wśród zagranicznych wykonawców „rodzynkiem" Redakcji Muzycznej jest Julio Iglesias, którego nagrania lansuje się tu prawie bez opamiętania. Powstał nawet na ten temat dowcip: zapowiedź spikerki z Łodzi — „nowości łódzkiego studia, śpiewa... Julio Iglesias" (sic). Poza muzyką zachodnią w programach „Łódź na muzycznej antenie" prezentowane są nagrania pochodzące z innych ośrodków: Poznania, Warszawy, Katowic, Lublina itp. Oczywiście, nie mam nic przeciwko temu, aby w audycjach realizowanych w Łodzi pokazywać dorobek innych środowisk twórczych, ale czyżby równocześnie Redakcja Muzyczna Rozgłośni PR w Łodzi nie zauważała żadnych nagrań dokonywanych w naszym mieście, a godnych prezentacji na ogólnopolskiej antenie?

W tym miejscu chciałbym podać jeden z wielu paradoksalnych przykładów. Nie tak dawno w łódzkim studio odbyły się pierwsze profesjonalne nagrania młodej piosenkarki — Elżbiety Mielczarek. Sesja nagraniowa była udana — dość powiedzieć, że łódzka wokalistka wygrała telewizyjny „Turniej Młodych Talentów" i na dłużej zadomowiła się na najpopularniejszej Liście Przebojów Programu III. Tymczasem redaktorzy muzyczni z Łodzi nie nadają w swych audycjach utworów wykonywanych przez tę utalentowaną piosenkarkę.

Nasuwa się pytanie: skąd bierze się ta przesadna skromność w prezentowaniu produkcji łódzkich twórców i wykonawców? Może jest to obawa przed posądzeniem o lokalny patriotyzm, a może bojkot własnego środowiska? Pytania te czekają na odpowiedź.

Łódź, 1.III.83

JACEK MALINOWSKI
kompozytor i pianista

Strajk szkolny 1905 roku w Łodzi

28 stycznia 1905 roku studenci Warszawskiej Politechniki zorganizowali wielki wiec, który stał się początkiem fali strajkowej, jaka przetoczyła się przez większość szkół w całym zaborze rosyjskim. Właściwie można by cofnąć się jeszcze trochę do incydentu w jednej ze szkół w Radomiu, gdzie uczniowie w modlitwie pomijali ostentacyjnie słowo „cesarz" i zostali zadenuncjowani z tego powodu u władz gubernialnych. Zaczęły się wydalenia, wilcze bilety, protesty — aż do wspomnianego wiecu protestacyjnego w Warszawie.

W Łodzi działało wówczas tylko kilka szkół zawodowych na poziomie średnim, z których tylko jedna dawała prawo wstępu na wyższą uczelnię. Rodzice uczniów szkół łódzkich byli ludźmi związanymi ściśle z przemysłem włókienniczym, którego „być lub nie być" zależało od wielkiego rynku rosyjskiego. Narażać się miejscowym czynownikom — znaczyło narażać swe zasadnicze interesy. Jeśli się ponadto przypomni fakt żywych i umiejętnie przez „ochranę" wygrywanych antagonizmów narodowych i religijnych pomiędzy ludnością polską, niemiecką, rosyjską i żydowską — jasne się staje, że wystąpienia młodzieży łódzkiej nie mogły być ani tak masowe, ani tak solidarne jak w innych miastach.

Ale i w Łodzi w lutym 1905 roku uczniowie szkoły przemysłowej wręczyli dyrektorowi „protest", opuszczając szkołę na parę dni; szkoła handlowa była zamknięta przez dwa tygodnie; z gimnazjum żeńskiego, gdzie zajęcia trwały, wydalono 30 pensjonarek z wilczymi biletami. W mnożących się protestach wysuwano żądanie polskiego języka wykładowego, zniesienia ograniczeń wyznaniowych, stanowych i narodowościowych dla uczniów i nauczycieli, zrównania w prawach dziewcząt z chłopcami, a także — co było już bardzo szerokim postulatem społecznym: „aby wszystkie dzieci po dojściu do oznaczonej liczby lat były obowiązkowo oddawane do bezpłatnych szkółek początkowych". Był to więc postulat powszechnego, bezpłatnego nauczania, stanowiący wówczas wyraz najbardziej postępowego myślenia.

Rodzice w dużej części solidaryzowali się z młodzieżą. Zwołany na 19 lutego wiec rodziców aprobował zgłoszone postulaty i zakończył się wezwaniem do kontynuowania strajku. Temperatura wiecu była taka, że jak pisał Andrzej Niemojewski we współczesnej broszurze pt. „Doba obecna w Królestwie Polskim", jeden z uczestników zadeklarował imieniem swego powiatu 10 tys. rubli na... bomby!"

Były to jednocześnie tygodnie wielkich manifestacji i strajków robotniczych. Walczący proletariat z radością witał solidaryzującą się z nim i stającą do walki postępową młodzież.

„SDKPiL — pisał Tadeusz Daniszewski — od pierwszej chwili poprzez swe organizacje młodzieżowe wzięła jak najczynniejszy udział w strajkach szkolnych, dążąc do powiązania ich z ogólnym ruchem rewolucyjnym". Jednocześnie odezwa młodzieży gimnazjalnej kończyła się słowami: „Wszystko, co możemy dzisiaj zrobić, to: pójść śladem proletariatu. Oni postawili żądania ekonomiczne, my postawimy kulturalne i strajkiem je poprzemy".

Centralne władze szkolne w Warszawie — w oparciu o decyzję z Petersburga — nakazały rozprawić się bezwzględnie ze strajkującą młodzieżą i wznowić zajęcia we wszystkich szkołach z dniem 14 marca. Dwa dni wcześniej robotnicy wydali odezwę, w której m. in. czytamy:

„Staniemy przed szkołami i w imię wolnej nauki, w imię uczciwej szkoły i polskiej szkoły, wołać będziemy wraz z wami: Precz z haniebną, ogłupiającą i gnębiącą dzieci nasze szkołą carską! Precz z fałszerzami nauki i trucicielami światła! Niech żyje wiedza wolna i dostępna dla wszystkich!"

Burżuazyjny „Przegląd Wszechpolski" w numerze 11 z 1905 r. pisał pamiętne słowa: „Powstania w Polsce nie będzie. Będziemy przeciwdziałać wszelkiemu zjednoczeniu polskiego ruchu robotniczego z rosyjskim".

Strajki jednak trwały; wprawdzie większa część młodzieży, nie opowiadająca się za strajkiem, podjęła naukę w uruchomionych po 14 marca szkołach i uczelniach, ci najtwardsi jednak pozostawali w domu i wrota szkół rządowych zamknęły się przed nimi bezpowrotnie. Najbogatsi z nich mogli pozwolić sobie na wyjazd za granicę. Mniej zamożni przenieśli się do szkół prywatnych, gdzie nacisk rusyfikacyjny był słabszy, ale gdzie też nie uzyskiwało się prawa do studiów wyższych. W najgorszej sytuacji znalazły się dzieci rodziców niezamożnych, dla nich marzenie o wykształceniu stało się nierealne. Trzeba więc uznać, że strajk szkolny 1905 r. nie zakończył się sukcesem. Jego znaczenie historyczne polega głównie na tym, że był pierwszą w dziejach świadomą manifestacją łączności młodzieży inteligenckiej z klasą robotniczą — i to zarówno tu w kraju, jak i na całym obszarze cesarstwa. Z młodzieży, która w 1905 roku zjednoczyła się w proteście przeciw niesprawiedliwości, przekupstwu, rusyfikacji, przeciwko zakłamaniu i zacofaniu carskiego despotyzmu, wyrosłą kadra najlepszych partiotów polskich.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

■

W kręgu fantastyki

STAN-KLUB

Prezydent (3)

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

STRESZCZENIE: Na planecie Manwen wybucha powstanie przeciwko dyktaturze prezydenta Althiona. Jeden z przywódców powstania, Vandini, ginie na polu bitwy, jednak Ziemianie — którzy utrzymują z Manwenem korzystną dla siebie wymianę handlową — podstawiają na jego miejsce swego rodzaju cyborga bezwzględnie posłusznego zakodowanym instrukcjom.

O tym wszystkim mówi Vandiniemu — a raczej jego kopii — profesor Kannen, Ziemianin przeciwny polityce swojego rządu, będąc przekonany, iż podstawionym cyborgiem jest inny z dowódców powstania, major Hakayan. Vandini — pod wpływem instrukcji alarmowej „DEKONSPIRACJA" — zabija Ziemianina.

W tym samym czasie dyktator zaczyna myśleć o ucieczce na Ziemię. Przy jego boku został już tylko sekretarz Danlin.

Kanonada za oknami zdawała się słabnąć.

— Zdaje się, że pańska wierna straż pałacowa kończy swój żywot.

— Tak. Pora uciekać, wkrótce wpadnie tu motłoch. Ziemianie mi nie pomogli, ale myślę, że pozwolą mi spędzić u siebie stare lata.

— Nie.

Althion spojrzał na niego zdziwiony.

— Nie dostaniesz się już na Ziemię — wyjaśnił Danlin.

Althion roześmiał się. Wyjął z kieszeni srebrny kluczyk i wsunął go w szczelinę pod malutkim posążkiem, stojącym na biurku. Jedna ze ścian rozsunęła się na boki, ukazując przeszklone drzwi do eleganckiej kabiny przypominającej windę.

— Nie wiedziałeś o tym, co? Tieportator. Wchodzisz do środka, naciskasz guziczek i już jesteś na Ziemi. Jeden z tych ich cudownych wynalazków.

— Jesteś głupi, Althion. A jak myślisz, jak ja przybyłem na Manwen?

— Ty...?

— Oczywiście. Przysłali mnie z Ziemi. Żebym cię pilnował.

W ręku Danlina zalśnił mały, ziemski obezwładniacz.

— Ty musisz tu zostać, Althion. Ci ludzie chcą mieć jakąś satysfakcję, zadośćuczynienie za te miliony zamordowanych przez twoich gwardzistów, i za wszystko to, co działo się po rewolucji. Jesteś dla nich ucieleśnieniem tego wszystkiego, i musimy cię poświęcić, żeby się trochę uspokoili.

Althion rozejrzał się nerwowo. Najszybciej, jak umiał, sięgnął do kieszeni po pistolet; błysk obezwładniacza. Prezydent bezwładnie osunął się na podłogę.

— Idą po ciebie, Althion — powiedział Danlin, podnosząc z podłogi kluczyk, który wypadł z zesztywniałych palców prezydenta. — Wrócę na pewien czas na Ziemię, ale nie na długo. Po prostu nie ma tu bezpiecznego ukrycia. Ale zjawię się znowu, gdy już będziesz trupem.

Danlin wszedł do kabiny. Althion, niezdolny się poruszyć patrzył, jak szczelina w ścianie zamyka się, nie pozostawiając po sobie śladu.

Zaczął się zastanawiać, czy zdąży odzyskać władzę nad mięśniami, nim do gabinetu wpadną jego niedawni jeszcze poddani. Nie chciał, by dostali go tak obezwładnionego, bezbronnego jak niemowlę.

Strzały odzywały się coraz rzadziej. Strażnicy pałacowi kończyli swą służbę — jako ostatni, wierni mu ślepo do końca.

Transportery sunęły szybko kilkanaście centymetrów nad szklistą powierzchnią pustej autostrady. Pędzili całą prędkością, jaką dało się wycisnąć z motorów, mijając od czasu do czasu małe, ubogie wioski — przeważnie spalone albo rozsypujące się ze starości. Mijali też maszerujące drogą oddziały partyzantów, albo cywilów, którzy po zniknięciu gwardzistów wyszli ze swych ukryć i kolorowymi, rozgadanymi gromadami szli ku stolicy. Widząc transportery z żołnierzami „z gór" cywile machali rękami i krzyczeli, aby ich podwieźć do Manaken. Niektóre grupy usiłowały nawet zastępować im drogę, ale rezygnowały z tego na widok dystynkcji Vandiniego i karabinów trzymanych przez jego żołnierzy.

Vandini prawie cały czas stał na pomoście pierwszego transportera, z dłońmi opartymi na poręczy, wpatrzony w drogę. Jeżeli schodził z tego posterunku, to robił to tylko po to, aby porozmawiać ze strudzonymi żołnierzami. Nie potrzebował zresztą podnosić w nich ducha; mimo zmęczenia byli szczęśliwi, pewni, że już wkrótce będą mogli wrócić do domów.

Do miasta dojechali niedługo przed świtem, tak, jak Vandini przypuszczał. Nie zauważeni przez nikogo przemknęli przez opustoszałe dzielnice slumsów i wjechali pomiędzy betonowe mrówkowce.

Stolica Manwenu przedstawiała żałosny widok. W mieście nie było ani jednej całej szyby, niektóre domy były spalone, sklepy wybebeszone na jezdnie i trotuary, pomiędzy poprzewracane samochody. Po ulicach snuły się grupki wrzeszczących, pijanych ludzi, którzy uciekali na widok gwardyjskich transporterów.

Silnik pierwszego poduszkowca zacharczał rozpaczliwie i wóz opadł ciężko na ulicę.

— Panie majorze, koniec paliwa — zameldował z wnętrza wozu Hartsone.

Vandini odwrócił się.

— Potrzebuję kogoś, kto dobrze zna miasto! — zawołał.

— Ja znam! Mieszkałem tu kilka lat.

— Ja się tu urodziłem!

— I ja!

— Dobrze! — Vandini uciszył ich ruchem dłoni. — Dowódcy plutonów do mnie!

Zsunął się z pomostu i przełożywszy nogi przez pancerną płytę zeskoczył na ziemię.

Zza zakrętu wyszedł chwiejnym krokiem obdarty cywil z przewieszonym przez ramię automatem. Zobaczywszy żołnierzy wzniósł do góry obie pięści i ryknął:

— Zwycięstwo! — po czym chwycił się latarni, żeby nie upaść. Dopiero w tym momencie Vandini zauważył, że na latarni wisi jakiś człowiek ze związanymi z tyłu rękami i przyczepioną do nóg deską, na której napisano: „Zdrajca".

— Zabierzcie mu broń! — powiedział Vandini, wskazując na trzymającego się latarni pijaka — bo zrobi komuś krzywdę.

Żołnierze właśnie zaczęli wychodzić z trasportera, prostując obolałe nogi. Kilku z nich podeszło do pijanego cywila i zabrało mu automat.

— No, no! — opierał się tamten, gdy prowadzili go za ręce. — W imię powstaniaaa!

Vandini z rozmachem strzelił go w pysk.

— Kto?! — ryknął.

Cywil zastygł z otwartymi ustami.

— Nazwisko!

— Bant... Bantanto... robotnik miejski numer siedemset dwanaście tysięcy czterysta dwadzieścia pięć.

— Co tu się dzieje?

— Zwycięstwo... — wytrzeźwiały nagle cywil rozejrzał się ze zdziwieniem.

— Gdzie gwardziści?

— Wiszą.

— A prezydent?

— Prezy...? Prezydent! Boże, zapomniałem na śmierć! — zaczął się szarpać — mój automat! Do szturmu!

— Chyba nic z niego nie wydusimy — stwierdził kapitan Arzent.

— Puście go, niech idzie do jasnej cholery. Panowie! — Vandini odwrócił się do oficerów — powstanie zakończyło się zwycięstwem, ale trzeba jeszcze zrobić porządek w tym mieście. To znaczy wziąć za mordę ten pijany motłoch, zanim z nadmiaru szczęścia nie powyrzyna się nawzajem. Kompania kapitana Arzenta zajmie natychmiast pałac prezydencki i usunie z niego to bydło. Podobnie zrobi też kapitan Hank, zajmując stację radiowo-telewizyjną i sąsiadującą z nią drukarnię. Postara się zebrać pracowników i jak najszybciej je uruchomić. Jeden pluton pod dowództwem porucznika Zoego zajmie centralną siłownię miejską oraz rozdzielnię wody i gloozu. Gdybyście napotkali jakieś jako tako zorganizowane i trzeźwe oddziały, powiedzcie im, że przechodzą pod dowództwo majora Vandiniego i skierujcie do zaprowadzenia porządku na ulicach. Cywilów rozbrajać. Starajcie się nie używać broni, raczej jakoś przemówić im do rozsądku.

Vandini przetarł oczy, chociaż nie czuł się senny.

— Obsługa techniczna i jedna drużyna z piątego plutonu niech zostaną przy transporterach. Czy są jakieś pytania?

Cisza.

— W takim razie proszę przystąpić do wykonywania zadań. Kapitanie Hartsone, pan postara się jakoś uruchomić transportery, przynajmniej niech je pan doprowadzi na główny plac miasta i ustawi tam na środku. Trzeba będzie urządzić jakiś wiec, zajmie się pan tym. Kiedy wszystko będzie gotowe, niech się pan zamelduje w pałacu prezydenckim, tam będzie nasza tymczasowa siedziba.

Odszedł kilka kroków i przez chwilę patrzył na rozchodzące się w różnych kierunkach plutony. Potem przeniósł wzrok na żołnierzy ze swojej obstawy, skupionych przy pierwszym transporterze.

— Aha, kapitanie Hartsone! Przy okazji — wskazał palcem na latarnię — zdejmijcie tego nieszczęśnika.

— Tak.

Vandini rozejrzał się.

— Idziemy — rzucił do Venta.

Znał miasto dość dobrze, choć nie pamiętał skąd. Nie chciał zjawiać się w pałacu, zanim Zend i Arzent nie zrobią tam porządku, poszedł więc okrężną drogą, przez plac Althiona i aleje rewolucji. „To znaczy, pomyślał, przez były plac Althiona i aleje poprzedniej rewolucji".

Im bliżej centrum, tym bardziej stawały się widoczne zniszczenia dokonane w mieście. Większych nie mogłyby spowodować nawet kilkudniowe walki uliczne — a przecież wszystkie wypadki w stolicy rozegrały się w ciągu zaledwie kilku godzin.

„Ludzie w mieście to zupełnie inna kategoria, niż ci z dalekich wiosek, myślał. Oni pierwsi poczuli rękę dyktatora i ostatni się spod niej wyzwolili. To, co dla wieśniaków urzeczywistniało się nagłym najściem pacyfikacyjnego oddziału gwardii, oni ciągle mieli wokół siebie. Zamiast szansy oporu — albo przynajmniej bohaterskiej śmierci bulgocące, zbydlęciałe bagno. I to jest ich wyzwolenie: najchętniej zniszczyliby wszystko, łącznie z sobą. Trzymani całe życie na łańcuchu mieli tę jedną noc dla siebie. Taka okazja zdarza się raz na dwadzieścia lat: pałić, mordować, tłuc, a potem włamać się do gorzelni i schlać na umór. Nieszczęsne bydło".

Po placu kręciło się kilku ludzi, przebierając pośród zalegających ulicę szczątków. Ktoś popijał Rahię z nadtłuczonego kubka. Na odgłos ich kroków, chrzęszczących na potłuczonym szkle, odwrócili głowy. Ktoś pomachał ręką, krzyknął coś przyjaźnie.

Doszli do pałacu prezydenckiego. Pod ogrodzeniem kłębili się mieszkańcy miasta. Vent z kilkoma żołnierzami wysunął się do przodu.

— Z drogi! — ryczał, tłukąc kolbą opornych — idzie major Vandini. Słyszycie? Van-di-ni!

— Van-di-ni! Niech żyje! Van-di-ni zwycięzca! — podjął tłum.

Na twarzy majora pojawił się sztuczny uśmiech. Podniósł ręce, dziękując za owację. Z trudem dopchnęli się do bramy. Wartownik wyprężył się sprężyście i zasalutował — już nie tak niedbale, jak zwykle robili to powstańcy, ale „po gwardyjsku".

Gdy tylko znaleźli się za bramą, uśmiech znikł z twarzy Vandiniego, zastąpiony nie mniej sztucznym wyrazem zmęczenia. Jeszcze raz obejrzał się przez ramię na skłębiony przed bramą, wiwatujący tłumek.

— „A ty kim jesteś" — pomyślał — „Jednym z nich, czy Ziemianinem? Chyba ani jednym, ani drugim".

Pod drzwiami czekał już na niego kapitan Arzent.

— Melduję wykonanie rozkazu, panie majorze. Zdążyliśmy w ostatniej chwili, właśnie szykowali się do podpalenia pałacu. Na szczęście po drodze spotkaliśmy spory oddziałek powstańców, pomogli nam bardzo.

— Co to za jedni? — spytał Vandini — Od Hakayana?

— Nie, z lasów. Dotarli do miasta kilka godzin przed nami. Kiedy usłyszeli o panu przeszli pod naszą komendę.

— Dobrze.

Znaleźli się w obszernym holu. Marmurowa posadzka zasypana była chrzęszczącym pod stopami szkłem i potłuczonymi stiukami. Pod ścianą kłębiły się pozrywane zasłony, strzępy sztandarów i kawałki boazerii. U stóp szerokich schodów leżał podeptany portret Althiona.

— Cholera — powiedział Vandini rozglądając się po odartych do gołego muru ścianach. — Cały pałac tak wygląda?

— Cały, panie majorze.

Weszli na piętro. Ściany korytarza podziurawione były gęsto kulami. W wielu miejscach na podłodze widać było plamy krwi.

— Musiała tu być niezła strzelanina.

— Tak, panie majorze. Trupy już powynosiliśmy.

— Dużo ich było?

— Dużo. Bronili się do ostatka.

— A Althion?

— Nie znaleźliśmy go, ale na pewno nie żyje.

— Skąd pan wie?

— Mieliśmy naocznych świadków. Rozerwali go na strzępy. Jedną rękę znaleźliśmy na schodach, poznaliśmy ją po sygnecie — też dziwne, że ktoś tego sygnetu nie ukradł. A reszta byłego prezydenta — Arzent wzruszył ramionami — też się gdzieś tu wala.

— Panie majorze — odezwał się Zand, który nagle wyłonił się z bocznych drzwi. — Telefony są sprawne. Właśnie połączyłem się z kapitanem Hankiem. Mówi, że nie może znaleźć obsługi stacji radiowej ani telewizyjnej, ale drukarnię może uruchomić choćby zaraz; papier i farba jest, maszyny sprawne, i ma w oddziale kilku żołnierzy, którzy się na tym znają.

— Znakomicie. Połączcie mnie z nim zaraz — odwrócił się do Arzenta. — I każcie się rozejść tej holocie spod bramy, powiedzcie, żeby wrócili do swoich normalnych zajęć i że wkrótce na placu Althiona odbędzie się wiec, na który powinni przyjść wszyscy.

— Tak.

Wszedł za porucznikiem do obszernego gabinetu, nieco mniej zniszczonego od innych. Wykładziny na ścianach były podziurawione kulami i w powietrzu unosił się jeszcze zapach prochu, ale meble były prawie nietknięte. Zand podszedł do masywnego biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

— To gabinet prezydenta — powiedział, naciskając klawisze z cyframi. — Tu go znaleźli. Wywlekli go od razu na korytarz i dzięki temu nie zdążyli zniszczyć gabinetu. O, jest.

Podał mu słuchawkę.

— Hank?

— Przy aparacie.

— Mówi Vandini. Słyszałem, że może pan uruchomić drukarnię.

— Tak, panie majorze.

— Znakomicie. Macie tam kogoś z maszyną do pisania?

— Chwilę, panie majorze — Hank odłożył słuchawkę na bok.

Po chwili:

— Tak, panie majorze.

— Dyktuję: Obywatele... Nie, skreśl to. Rodacy. Nadeszła tak długo oczekiwana godzina wolności...

Hank powtarza na głos jego słowa. W głębi słuchawki odzywa się klekot maszyny.

— ... Reżim Althiona i popierających go Ziemian został obalony raz na zawsze i nie wróci już nigdy. Niech żyje wolny, suwerenny Manwen. Już?

— Tak.

— Od nowego wiersza: W tej radosnej, ale i trudnej chwili wzywam was, mieszkańcy Manaken, do zachowania spokoju i bezwzględnego podporządkowania się zarządzeniom władz powstańczych. Wzywam was, abyście wrócili na swoje stanowiska pracy i podjęli ją dla dobra odrodzonego Manwenu. Wykrzyknik, albo nawet dwa. Podpisane: major Vandini, tymczasowy komendant miasta. Wydrukujcie to w jak największym nakładzie i rozrzucajcie po mieście.

Odłożył słuchawkę, nie czekając na rytualne „Tak jest" obszedł biurko i usiadł w fotelu Althiona.

— Tutaj jest spis numerów, z którymi połączona jest sieć telefonów w pałacu — powiedział Zand, wyjmując z kieszeni małą książeczkę. — Znaleźliśmy to w wartowni na dole.

— Dobrze. Zawołajcie do mnie kaprala Venta.

Zand wyszedł. Vandini rozparł się w fotelu i zaczął penetrować biurko Althiona. Wyciągnął pierwszy z brzegu dokument.

„Raport 33.917. Walki trwają nadal na całym prawie obszarze kraju. W dniu wczorajszym i dzisiejszym poległo 417 gwardzistów. W odwet spalono dwadzieścia cztery wsie, które prawdopodobnie udzielały pomocy rebeliantom..."

Przypomniała mu się spalona wioska, w której ostatnio obozowali. Podniósł wzrok. Ściana rozsunęła się bezszelestnie, ukazując małe, przeszklone drzwi, które po chwili otworzyły się. Wyszedł zza nich niewysoki, dość otyły mężczyzna w czarnym, powstańczym mundurze z dystynkcjami kapitana.

— Jestem Danlin — powiedział, podchodząc do Vandiniego.

C.D.N. ■

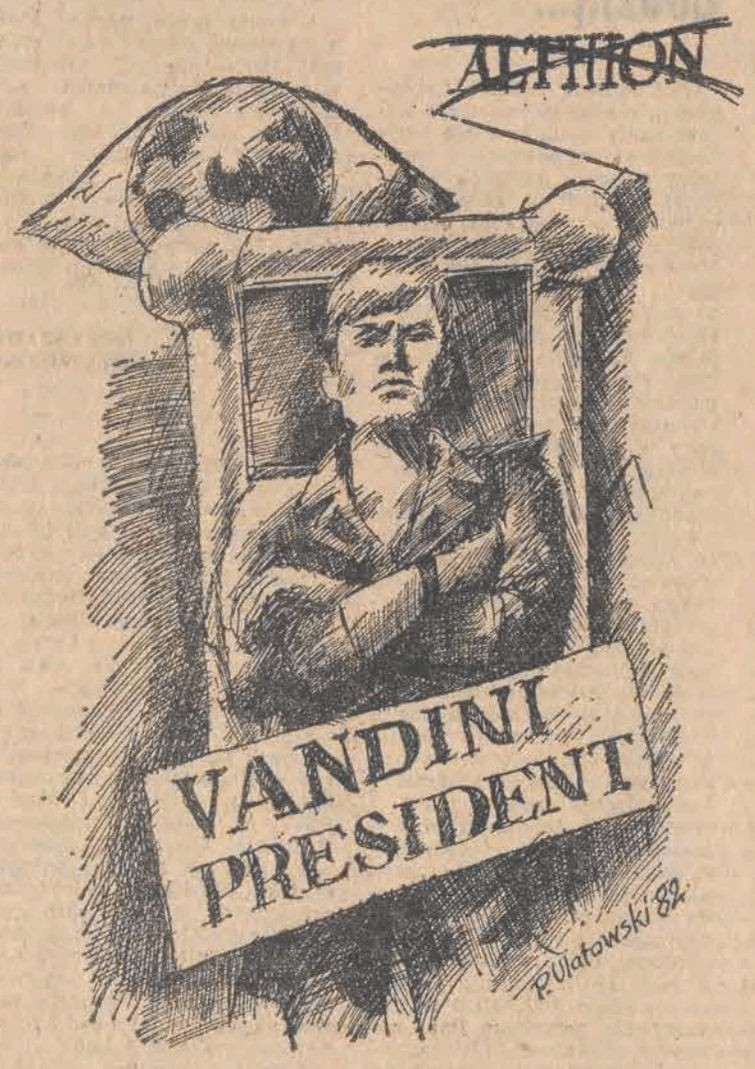

Rys. P. Ulatowski

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

O seriach wydawniczych słów kilka

W interesie wydawców leży drukowanie ciekawych książek w atrakcyjnej oprawie graficznej i introligatorskiej. Dalszym krokiem w kierunku zaspokojenia pragnień czytelnika jest wydawanie pozycji zbliżonych tematycznie w serii. Zyskują na tym i wydawnictwo i autorzy. Słabsza pozycja wydana poza serią nie znalazłaby popytu, umieszczona natomiast w serii niejako automatycznie nabywana jest przez kolekcjonerów wybranych serii.

Ta oczywista prawidłowość zdaje się nie dotyczyć wydawnictw krajowych. Fantastyka jako bardzo specyficzny rodzaj literatury idealnie nadaje się do wydawania w długiej ujednoliconej serii. Stały, określony format, czytelny i ciekawy znak wywoławczy, atrakcyjna okładka — stanowią o powodzeniu cyklu i szacunku dla wydawnictwa. Te podstawowe wymagania czytelników nie były chyba obce wydawcom, skoro już w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych podejmowano próby wydawania fantastyki w seriach MON i Wydawnictwa Poznańskiego. Poszukiwania, które uwieńczone zostały pewnym sukcesem, zaowocowały później w wydawnictwie „Iskry". Otóż w połowie lat sześćdziesiątych (1966) wspomniane wydawnictwo wydaje zbiór opowiadań pt. „Zagadka liliowej planety". Książeczka ta opatrzona charakterystycznym znaczkiem wirującej geoidy oraz hasłem **FANTASTYKA—PRZYGODA** była pierwszą pozycją z wyróżniającego się i ciekawie zapowiadającego się cyklu.

Niestety wydawnictwo nie było konsekwentne i po wydaniu dwudziestu sześciu pozycji zrezygnowało z dotychczasowego formatu i układu graficznego okładki. Nadto niezdecydowanie wydawnictwa ujawniło się wcześniej w postaci wydanej książki A. i B. Strugackich „Sprawa zabójstwa", opatrzonej i znakiem serii Fantastyka-Przygoda i kluczykiem — znakiem wyróżniającym iskrowskie „kryminały". W 1974 roku ukazuje się „Piknik na skraju drogi" A. i B. Strugackich w nowym formacie i z nową propozycją okładki. Ze starej serii pozostał znak i hasło. Zmiana formatu była korzystna, bowiem nawiązuje do znormalizowanych wymiarów ogólnoświatowych tzw. pockedbooków (wygodnych książeczek niedużego kieszonkowego formatu). Natomiast projekt graficzny okładki nie nosił żadnych treści i był zdecydowanie zły.

Wydawnictwo zorientowało się, że szata graficzna okładki nie była i nie jest czytelna, zdecydowało się więc na jej zmianę. Po wydaniu dwudziestu kilku pozycji pod koniec lat siedemdziesiątych proponuje nowe rozwiązanie układu graficznego okładki (vide Cz. Bialczyński „Próba inwazji" i kolejne). W myśl powiedzenia „zamienił stryjek siekierkę na kijek" i to rozwiązanie oprócz zużycia hektolitrów farby drukarskiej (barwna była nawet wewnętrzna strona okładki) niczym się nie wyróżniało, a właściwie wyróżniało się monotonnością i brzydotą. Cóż, cierpliwy czytelnik przyzwyczajał się do wszystkich dziwactw wydawnictwa, dotyczyły bowiem zmian drugorzędnych choć dla serii niewątpliwie istotnych.

Wydawnictwu „Iskry" to nie wystarczyło. Gwoli igrania z czytelnikiem dokonuje czwartego eksperymentu w ramach serii. Mianowicie wydaje w bieżącym roku „Zadanie" P. Zsoldosa (książkę zapowiadaną kilka lat wcześniej — 1975), w zupełnie nowym formacie i szacie graficznej. I nic poza znakiem i hasłem **FANTASTYKA—PRZYGODA** nie nawiązuje do wcześniej wydanych pozycji tej serii. Kolekcjonerów krew zalewa, czytelników odpycha nieporęczny format, a estetów razi tandetność wykonania krzykliwych bohomazów na okładce.

Nie są dla mnie zrozumiałe mechanizmy działania decydentów w wydawnictwie, dla których obce stały się wszystkie wymienione wyróżniki cechujące dobrą serię, faktem jest natomiast, że seria po tylu amputacjach i przeszczepach bardziej przypomina rezultat doświadczeń dr Frankensteina niż doskonałego Prometeusza.

Przykład „Iskier" zaraził również inne wydawnictwo. Jedno z najmłodszych w kraju — Krajowa Agencja Wydawnicza (KAW) — powołało do życia serię „Fantazja—Przygoda—Rozrywka", również z własnym znakiem firmującym oraz ustalonym formatem. Wielonakładowa seria — mimo różnych opinii o wydawanych książkach — dzięki dobrej reklamie nigdy długo nie leżała na półkach księgarskich. Od pewnego czasu ukazuje się nawet mała notka o wyróżnieniu serii na „Euroconie". Wyróżnienie polemiczne, bowiem moim zdaniem seria „Czytelnika" bardziej zasługuje na to wyróżnienie, przynajmniej w konkurencji krajowej.

Nie ta sprawa jednak jest przedmiotem tych uwag, lecz niedawno wydana broszura M. Markowskiego „Ocean niespokojny", a ściślej jej szata graficzna. Ponad stutysięczny nakład tandetnie wydanej broszury zrazić może nawet niewyrobionego czytelnika a cóż mówić o kolekcjonerach, bibliofilach, czy też czytelnikach o bardziej wyszukanych gustach estetycznych. Szarość i nieciekawa okładka, wyjątkowo niskiej jakości papier — działają odpychająco.

Czego dowiaduje się czytelnik z wewnętrznej strony okładki? Dowiaduje się, że seria ta (bowiem broszura formatu A-4, zaopatrzona jest w sympatyczną „glistkę" znaną nam z książek kawowskiej serii S-F), wyróżniona została w Stresie (Włochy) w roku 1980, jako najlepsze wydawnictwo europejskie, a ponadto na VII Euroconie w Mänchengladbach(RFN — 1982) wyróżnienie to otrzymała po raz wtóry.

Pytam, czy ta obskurna broszura może w jakikolwiek sposób reprezentować europejski poziom edytorski? Czy nikt nie widział serii wydawniczych takich krajów jak Francja, Włochy, Austria czy NRD i Węgry? Mało tego, że złamane zostały zasady serii, to nie zorientowany czytelnik sądzić może, że w innych krajach wydaje się książki na tabliczkach glinianych lub wcale się ich nie drukuje. Euforia. Wyróżniono i to dwukrotnie polską serię fantastyczno naukową. Będę zgadywał, za co. Po raz pierwszy za odwagę zaprezentowania dokonań KAW na europejskim forum, po raz drugi (sądząc po broszurze) za tupet. W tej sprzyjającej aurze pozostaje tylko oczekiwać na podobne posunięcia innych wydawnictw.

JACEK WÓJCIAK

Zamierzenia wydawnicze 1983 Wydawnictwo Literackie

F 1. Mihaly BABITS — Kalif Bocian
F/SF 2. J. G. BALLARD — Ogród czasu (FiG)
F 3. Alfons BEDNAR — Balkon był za wysoko (FiG)
SF 4. Aleksander BIELAJEW — Głowa profesora Dowella
5. Ernest DYCZEK — Autosja
F 6. Mircea ELIADE — Tajemnica doktora Honigbergera (FiG)
F 7. Carlos FUENTES — Historia rodzinna (Proza Iberoamerykańska)
8. William GOLDING — Bóg skorpion (FiG)
JF 9. Bronisław HEYDUK — Kwiat paproci (wyd. 2)
SF 10. Kwiaty dla Algernona i inne opowiadania (UK/US, FiG)
L 11. Stanisław LEM w oczach krytyki światowej

Licytacja

RUSŁAN SAGABALIAN

Dziennikarz, prozaik, sekretarz Związku Radzieckich Pisarzy Armenii do spraw literatury przygodowej i naukowo-fantastycznej. Jest autorem wielu nowel i opowiadań fantastycznych, publikowanych w prasie ormiańskiej i centralnej oraz tłumaczonych na różne języki.

— Wybacz mi, Czu — powiedział Pap do małpki, która siedziała na jego ramieniu i beztrosko gryzła orzech. — Jestem zmuszony to zrobić.

Małpka nastroszyła się, nachyliła główkę, jak gdyby chciała szepnąć mu coś do ucha.

Nisko, nad samym dachem hotelu wisiała gwiazda i leniwie, jakby od niechcenia ogrzewała planetę.

Lustrzane drzwi otwarły się bezszelestnie.

Za wysokim bufetem smagły hianin niemrawo przesuwał różaniec. Zobaczywszy Papa odłożył różaniec i uśmiechnął się.

— Witam pana na planecie Hi! Dopiero pan przyjechał?

— Tak — potwierdził Pap i nie wiadomo dlaczego dodał: — pasażerskim.

— Domyślam się, że jest pan po raz pierwszy na planecie Hi. Na długo?

— Nie wiem. Jak wypadnie.

— Rozumiem — uśmiech na stałe zagościł na twarzy hianina. Postanowił pan popróbować szczęścia. Szczęście — to pojęcie skomplikowane i trudne do zrozumienia. Na pewno pan dużo słyszał o naszej planecie.

Pap milczał. Małpka gryzła orzech.

— Prawdopodobnie potrzebny panu nieco mniejszy pokój — uświadomił sobie hianin spojrzawszy na podniszczone i zapylone buty Papa.

— Tak.

— Nawet wybitna osobistości traca swoje znaczenie w obliczu nieskończoności kosmosu. I czas także... Niech to pana nie niepokoi.

Hianin był nastrojony filozoficznie, a Papa aż ściskało w dołku z głodu.

Małpka wypluła skorupkę orzecha wprost w twarz hianinowi. Ten tylko na chwilę zmarszczył się z niezadowoleniem i znowu się uśmiechnął, jak gdyby nigdy nic.

— Przepraszam — powiedział Pap.

— Ależ to nic takiego. A co to za zwierzę?

— To małpa z planety Ziemia.

— Jaka zabawna...

„Przebacz mi, Czu...

— Chciałbym ją sprzedać. Gdzie można by to załatwić?

Hianin przechylił się przez bufet i ostrożnie dotknął małpkę.

— Zabawna — powtórzył. — A co ona umie?

Pap zdjął z ramienia małpkę i stawiając ją na bufecie, rozkazał:

— Czu, pokaż, co umiesz!

Czu posłusznie podporządkowała się. Stanęła na przednich łapkach, a tylne tymczasem śmiesznie dyndały w powietrzu.

— A teraz pokaż jak chodzą damy — kokietki!

Czu przegięła się z gracją i dumnie przeszła od jednego końca bufetu do drugiego.

— Naśladuj parowóz!

Małpka wykonała i to polecenie.

— Teraz naśladuj Papa! — Pap — to ja.

Czu jeszcze raz przeszła przez bufet zadziwiająco dokładnie naśladując chód swego pana.

— Czu, umrzyj!

Małpka położyła się i zastygła bez ruchu.

— Czy możesz pokazać, co robił hianin, kiedy przyszliśmy?

Małpka schwyciła rzucony przez hianina różaniec i zaczęła przesuwać go z powagą.

— Prześlicznie, prześlicznie — zachwycał się hianin.

— A ten różaniec także z Ziemi — zauważył Pap.

— Co pan mówi? — hianin nie zwracał na nic uwagi, tylko obserwował małpkę.

— A to madrala! Śmieszne, bardzo śmieszne zwierzątko.

— Czy będę mógł ją sprzedać?

— Oczywiście — zapewnił hianin — ale tylko na licytacji. Nie mamy innej formy handlu. Dla pana 25 proc. wpływu.

— Dwadzieścia pięć?

— Tak. To nie jest znów tak mało. Jeżeli pan zgadza się, proszę zwierzątko zostawić u mnie.

— Dobrze.

Małpka gryzła różaniec. Pap sięgnął do marynarki, wyjął trzy orzechy i położył na bufecie. Czu schwyciła go za palec i zaczęła ssać, cmokając.

Pap uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili przybycia na planetę.

— My z nią jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Hianin porozumiewawczo kiwnął głową i podał Papowi klucz od numeru.

Pap niezdecydowanie stanął przy bufecie.

— Czy nie mógłbym coś przekasić na rachunek mojego przyszłego wpływu?

Hianin skinął głową.

— Oczywiście przyniosą panu do numeru. Może pan nawet przespać się. Obudzę pana przed licytacją.

Małpka pisnęła i wskoczyła Papowi na ramię.

— Nie, Czu — powiedział Pap, zdejmując ją. — Zostaniesz tutaj.

Postawił ją na bufecie, ale schwyciła go za palec i nie puszczała.

— Czu, umrzyj! — rozkazał.

Małpka puściła palec i posłusznie położyła się.

— Czy pan ma jakieś pudełko? — spytał Pap hianina.

Ten wydobył zza bufetu okrągłe, blaszane pudełko z widokiem hotelu i zdjął pokrywkę. Pap podniósł nieruchomą małpkę i włożył ją do pudełka z trzema orzechami i poszedł do windy.

* * *

— Teraz pan może spokojnie obserwować sprzedaż. Prowadzimy wszystko rzetelnie — zapewnił hianin, wprowadzając Papa do niewielkiej kabiny, gdzie znajdował się pulpit, fotel i świecący ekran. — Kupujący są w takich samych kabinach — wyjaśnił i znikł.

Pap usiadł w fotelu.

Wkrótce na ekranie ukazało się znane blaszane pudełko, na jego pokrywce — ku zdziwieniu Papa widniała, nie wiadomo skąd wzięta, podobizna małpki.

— Szanowni obywatele planety Hi — usłyszał Pap głos hianina — Sprzedajemy niezwykle rzadkie zwierzę z planety Ziemia. Oczywiście, wiecie jak bardzo zubożał świat zwierząt w kraju Mądrego Wszechświata. Małpka, która zaraz wyjdzie z tego pudełka, należy do mądrzejszego gatunku ziemskich zwierząt. Okazuje się, że jest ona prawdziwym przyjacielem istoty myślącej i nie omylę się, jeżeli powiem, iż to zwierzę nigdy wam — podkreślam — nigdy nie sprzykrzy się. Gwarantuję wam niezwykłe i różnorodne przyjemności, nadzwyczaj miłe metamorfozy tego zwierzęcia...

„Czy nie zanadto?" — pomyślał Pap. — Zresztą — ciągnął hianin — możecie się sami o tym przekonać. — Otworzył pokrywkę pudełka i na ekranie zjawiła się Czu.

Trzymała w łapkach ostatni niedogryziony orzech.

— Teraz — oznajmił hianin — będziecie świadkami zadziwiających przeistoczeń tego zwierzęcia.

Nagle małpka rozpłynęła się w powietrzu i zamiast niej zjawiła się kobieta z Ziemi w długiej czarnej sukni z cekinami.

Pap zamarł. Oczekiwał, że zobaczy znane triki Czu. Ale to, co widział, było nie do wiary, nie do wiary — jak we śnie. Słyszał przelotnie, że na planecie Hi niczemu nie należy się dziwić, jednakże nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Kobieta uśmiechnęła się i przesunęła ręką po włosach. Jej twarz była znajoma i gest także. Ale gdzie i kiedy ją widział, Pap nie mógł sobie przypomnieć.

Kobieta znikła, a na bufecie znowu zjawiła się Czu.

Potem małpka przeistoczyła się w maszynę do pisania z założonym na nią do połowy zapisanym arkuszem papieru.

Następnie stała się drzewem morwy z osypującymi się miękkimi owocami i starym łóżkiem z odbitą nóżką, bocianem energicznie machającym skrzydłami, zniszczoną książką ze szpadą muszkietera na okładce, żmiją zastygłą w napięciu i starcem mamroczącym bezdźwięcznie.

— Zwróćcie uwagę, że małpka zmienia się tylko w to, co jest na planecie Ziemia i co ona sama widziała. Metamorfozy same przez się nie mogą zadziwić was, mieszkańców Hi, ale interesujące jest dla nas zobaczyć przeistoczenia, których wyników nie można przewidzieć. Jakaż to egzotyka i jakaż wartość poznawcza mają te przeistoczenia. Ja na przykład dostatecznie dużo wiem o Ziemi, ale metamorfozy małpy wyraźnie dopełniły moje wiadomości. Pozwólcie, że przeprowadzimy teraz najprostszy eksperyment.

Zza kulis wyszedł chłopiec-hianin, podszedł do małpki i wyciągnął do niej rękę ze szczypcami.

— Nie dotykaj jej, chłopcze! — Ostrzegł go hianin i spytał głośno. — Powiedz, co chciałbyś mieć teraz.

Chłopiec pomyślał chwilę i wymienił nazwę przedmiotu, o którym Pap nigdy nie słyszał.

— Tego nie ma na Ziemi. Opisz to, co chcesz!

— Chłopiec potarł czoło i zmrużył oczy. — Takie smaczne... zimne... i...

Chciał jeszcze coś dodać, ale Czu nie czekając przeistoczyła się w skrzynkę pełną rożków napełnionych lodami.

— Zostawmy jeden rożek, aby znów zmienił się w małpkę. W przeciwnym razie, co sprzedawalibyśmy — zażartował hianin. — A pozostałe możesz sobie wziąć, chłopcze. To na pewno smaczne. Tylko uważaj, nie przejedz się!

Skrzynkę zabrano. Chłopiec odszedł. Hianin poczekał, aż ostatni rożek zamienił się znowu w Czu.

— Małpka przeżyła na Ziemi interesujące życie i zdążyła dużo zobaczyć, ale była pozbawiona tej cudownej okazji, która teraz zdobyła na Hi. Pomyślcie tylko, że każdy z was może zostać jej właścicielem. Proszę wymienić cenę!

— Na pulpicie zapaliło się „20".

— Dwadzieścia, tylko dwadzieścia — z rozczarowaniem oznajmił hianin.

„40" zabłysło na pulpicie.

— Czterdzieści! — Ospale wywołał hianin.

„50".

Głos hianina ożywił się.

„65".

Hianin stał się czujny.

„70".

W jego głosie zabrzmiała nutka radości.

„100".

Pap nie mógł myśleć. Mózg przestał działać. Palce ściskały poręcz fotela. Patrzył tylko na ekran.

Czu dogryzła ostatni orzech i zabrała się do różańca.

„140".

— No cóż. Sto czterdzieści — tę cenę traktuje poważnie — oświadczył hianin.

„Jakże to tak"? Myśl ta wyrwała się nagle z głębi świadomości. Pap z początku rozczulił się, a potem opanowało go szaleństwo.

„Jakże to tak? Czu dostanie się któremuś z nich".

Palce same rozprostowały się. Kierował nimi określony cel. Pap nadał na pulpicie „150".

Zaraz zapaliło się „170".

Czu żarzucila sobie różaniec na szyję i piszczała z zachwytu.

Pap nadał „180".

Ukazało się „200".

Nadał „210".

— Widzę, że właściwie zaczynacie oceniać to najmilsze ziemskie stworzenie.

„235".

Drżące palce Papa wywołały „240".

„Jakże to tak?"

W głowie uporczywie zaczęła pulsować myśl, nie pozwalając Papowi oderwać się nawet na chwilę.

Teraz cyfry zmieniały się tak szybko, że hianin nie mógł nadążyć wywoływać je i w ogóle przestał komentować.

Małpka zmieniała się kolejno: w marmurowy posąg rycerza wsiadającego na konia, w lustro, w sarkofag i w kolej żelazną.

„290".

Szaleńczy wyścig cyfr nieoczekiwanie zatrzymał się. Pulpit odpoczywał. Podniecenie łączące wszystkie kabiny osłabło.

„300".

Podniecenie znów wzrosło, aby zaraz spaść.

Pap wiedział tylko jedno, że to napięcie powinno obniżyć się tu — w jego kabinie i dlatego nadał „400".

Jeszcze współzawodniczono z nim. Ktoś uporczywie pragnął zdobyć ziemskie cudo i nie rozumiał, że ono nie jemu się należy, lecz Papowi.

Czu zmieniła się w zegar, a następnie w nagrobek.

Pap osłabił napięcie. Nadał „1000".

— Tysiąc — zapytał raczej, niż wywołał hianin.

I powtórzył.

Powtórzył jeszcze raz.

Ręce Papa bezsilnie zwisły z fotela. Zlikwidował wreszcie napięcie.

— Zwierzę sprzedane! Poproszę swego asystenta, ażeby odniósł je właścicielowi.

Gwiazda jak przedtem wisiała nad głową, ale zrobiło się gorącej.

Pap chwiejąc się wyszedł z kabiny. Czu skoczyła mu na ramię. Wziął ją za łapki, mocno przycisnął i wybiegł.

— Stać! Pan nie zapłacił! — wołano za nim.

Zmęczenie nagle przeszło. Pap biegł jak w malignie, nie czuł swego ciała przeciskał się przez wąskie szczeliny nie znanych ulic. Domy zbierały się w gromady, to rozsypywały się przed nim jak otwarty wachlarz. Zatrzymał się na cichym pustkowiu. Przed nim wznosił się ponury, mroczny pagórek.

Postawił Czu na Ziemi i poprosił, żeby zmieniła się w tę kobietę w czarnej sukni z cekinami. Ale Czu, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, zbierała rozrzucone dookoła kolorowe kamyczki i z przyzwyczajenia próbowała je zębami.

Pap przykucnął.

— Czu — błagał — proszę cię!

— Na próżno pan się wysila, nie dokona pan niczego.

Obejrzał się; za nim stał hianin i dwaj dozorcy.

— Pan zakupił swoją małpę i musi za nią zapłacić — ciągnął hianin. — Tylko niech mi pan nie tłumaczy, czym się przy tym kierował. To nas nie interesuje. I proszę przyjąć do wiadomości, że towar nie podlega zwrotowi. Dwadzieścia pięć procent wpływu dla pana, wobec czego winien nam pan siedemset pięćdziesiąt.

Pap rzucił się i chwycił hianina za gardło. W tej chwili miał tylko jedno pragnienie — zadusić go.

Dwie pary lepkich kleszczy wpiły się w plecy Papa paraliżując go.

— Łgarz! — krzyknął puszczając hianina.

Ten poprawił zmięty kołnierzyk i ze zwykłym u niego spokojem oświadczył:

— Niech pan pamięta, że my nigdy nikogo nie oszukujemy.

I teatralnym gestem wskazał na Czu.

Małpka znowu przeistoczyła się w tę samą kobietę. Na próżno Pap próbował ją sobie przypomnieć. Kobieta uśmiechnęła się, zrobiła krok w jego stronę i znowu stała się małpką.

— Jeszcze — prosił Pap.

— Dość — zadecydował hianin.

— Jeszcze! — krzyknął Pap zwracając się nie do hianina, lecz do Czu, ale ta pozostała tylko zwykłą małpką i po swojemu pojmując rozkaz pana upadła jak martwa. Pap z gniewem potrącił ją nogą. Zapiszczała żałośnie i odbiegając na bok zrobiła swój zwykły ślupek. Pap rzucił w nią kamieniem, jakąś puszką i kawałkiem żelaza.

Obrażona Czu uciekła.

Pap wchodził na pagórek w asyście hianina i dwóch dozorców. Kiedy doszli do wierzchołka, hianin oświadczył:

— Przez siedemset pięćdziesiąt dni musi pan tak pracować! — wskazał na ludzi z kilofami kopiących ugór u stóp pagórka.

Jeden z nich zbliżył się i podając Papowi kilof powiedział:

— Tutaj nieźle karmią, mój bracie!

Był to mieszkaniec Ziemi.

— I pan także... — zaczął Pap i zaciął się. Jeszcze raz popatrzył na tych ludzi. „Nie warto pytać" Zrozumiał wszystko i wziął ciężki kilof.

— Chodźmy! — powiedział Ziemianin, lekko uderzając Papa po plecach i zaczęli schodzić.

Przykuta na amen do niskiego sklepienia gwiazda rozbłysła. Zrobiło się nieznośnie gorąco.

— Żegnajcie! — powiedział hianin odchodząc.

Dozorcy zostali.

— Stój! — zawołał Pap.

Hianin zatrzymał się i obejrzał.

— Co tam jeszcze?

— Jak długo trwa dzień na Hi? — spytał Pap.

Hianin milczał. Zagadkowy uśmiech ożywił jego twarz, machnął kleszczami i znikł.

Małpka z różańcem na szyi podbiegła do Papa, przeprosiła go i skoczyła mu na ramię.

Z ormiańskiego przełożył:

BOHDAN GĘBARSKI

KOLUMNA AJENCYJNA

Pamiętnik intymny 8

2 MARCA

Wczoraj byliśmy z Tadkiem na delegacji w Warszawie. Od pół roku nasza firma stara się o przydział funduszy na nowe biuro (stare z hukiem wyrzuciliśmy w czasie niedawnej reorganizacji, żeby nie pozostał najmniejszy nawet ślad po błędach minionego okresu), było już w tej sprawie parę pism i telefonów ale bez skutku, więc teraz nasz dyrektor powiedział zdecydowanie: musicie jechać osobiście i obgadać sprawę z kim trzeba, bo inaczej nic z tego nie będzie. No, i pojechaliśmy.

Pociąg jak zwykle spóźnił się swoje pół godzinki. Poszliśmy do ministerstwa, zostawiliśmy kolejne pismo, porozmawialiśmy przy cienkiej herbatce w ministerialnym bufecie z kim trzeba, a potem — dawaj na miasto. Małgosia wypisała mi całą litanię pobożnych życzeń pod adresem stołecznego handlu, ale gdy doszedłem do dwunastej pozycji, dałem sobie i ekspedientce spokój. Bardzo nie lubię słowa „nie" w ustach kobiety, zwłaszcza gdy czegoś od niej potrzebuję. Byłem zdenerwowany, a tu jeszcze jakiś spekulant próbuje pod samymi domami Centrum wcisnąć mi dwa słoiki musztardy za stówę. Zwariował chyba — musztardę to ja mogę sobie kupić w sklepie na naszym osiedlu.

Za to Tadkowi udały się zakupy: wziął aż dwa kartony papierosów bez kartek, których w Warszawie sporo jest w kioskach. Gdy już wróciliśmy — a Tadek niósł te papierosy pod pachą — zaraz na dworcu podszedł do nas jakiś swojak i pyta: giewonty, orienty, mocne? — Giewonty — mówi Tadek, a facet: — Biorę wszystkie po 22 za paczkę — i już wyciąga forsę. Zatkało nas. — Ja te papierosy przywiozłem dla siebie — wyjaśnia mu Tadek — pan rozumie, sam dużo palę, mam rodzinę, znajomych, nieraz coś trzeba załatwić... — W porządku — odzywa się tamten — niech będzie po 23. — Ale ja je naprawdę tylko dla siebie — broni się Tadek, a facet: — Panowie, ja też muszę coś z tego mieć, więcej niż 25, jak bozię kocham, dać nie mogę. Miejcie sumienie, tam przecież ludzie czekają i aż ich skręca z braku fajek. Gdyby mogli kupić w kiosku, to co innego... Więc jak będzie? — Przekonał mnie pan — mówi Tadek. Zostawił sobie dziesięć paczek, a resztę pchnął po dwie i pół dychy. Cóż, chłopak ma miękkie serce, sam niedawno nie miał co palić, to zna ten ból.

7 MARCA

Dziś Tadek znów pojechał do Warszawy. Okazało się, że dyrektor zupełnie zapomniał o krzesłach.

Poczta do Ajenta

Drogi Kolego Ajencie!

Po mieście, jak to zresztą teraz nieustannie, chodzą straszliwe plotki: na przykład, że złamaliście nogę bądź pióro, w każdym razie coś, co służyło Wam do pisania. Inni znów dementują, pióro — powiadają — złamał Jerzy Urban, zaś b. Naczelnik Wydziału (czyli Wy, Kolego, właśnie) złamał sobie wyłącznie życie wiążąc się lekkomyślnie z Kolumną Ajencyjną.

Tego ostatniego akurat byłem już wcześniej pewien, milczałem jednak, nie chcąc siać defetyzmu. Na pocieszenie opowiem Wam jednak dwa kawały z okropnie modnego ostatnio cyklu PRZYSZŁA BABA DO LEKARZA. Kawały są niestety sprośne sam je więc ocenzurowałem; w ten sposób — skoro już jesteśmy przy złamaniach — będziecie musieli nieźle połamać sobie głowę, zanim w wykropkowane miejsca wstawicie właściwe słowa i będziecie się mogli zacząć śmiać.

KAWAŁ I

Przyszła baba do lekarza z piłą tarczową w (...)

— Co pani jest? — pyta lekarz.
— Ano — odpowiada baba — (...) na okrągło.

KAWAŁ II

Przyszła baba do lekarza z piłą tarczową w (...) i cegłą w zębach.
— Co pani jest? — pyta lekarz.
— Ano — odpowiada baba — tak (...), że aż mnie zamurowało.

Załączam pozdrowienia i stosowną ilustrację.

BYŁY AJENT

NA CHOJNACH ZNÓW BĘDZIE JAŚNIEJ

Na dobrą wiadomość, mile widzianą przez klientów, nigdy nie jest za późno — jak głosi stara zasada ajencyjna. Toteż w ślad za codzienną prasą z końca stycznia (1933 r.) przekazujemy co następuje.

„Jedno z przedmieść Łodzi, Chojny, oddzielone od miasta tylko sztuczną granicą w postaci toru kolejowego, znalazło się w okropnej sytuacji. Na 26 tys. zarejestrowanych mieszkańców 10 tys. stanowią bezrobotni. Ostatnio Chojny pozbawione zostały światła, gdyż elektrownia łódzka wyłączyła prąd za nie zapłacone rachunki. Głód, zimno, ciemno — bezrobocie".

Co w tym dobrego? Ano najpierw, że Chojny miały już elektryczność, a potem, że w ramach tzw. zbiorowej odpowiedzialności solidni obywatele musieli solidarnie ponieść konsekwencje na równi z bezrobotnymi, złośliwie uchylającymi się od płacenia rachunków, co zapewne wstrząsnęło sumieniem społecznym tych pierwszych, zwłaszcza, że pozbawieni zostali prądu w Nowy Rok.

Ale najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło, jak bowiem donosi prasa, dzięki pertraktacjom władz z elektrownią, już w ostatnich dniach stycznia, po niespełna miesięcznej przerwie na Chojny znów popłynął prąd.

Ludzie nie byli jednak tacy rozgrymaszeni jak dzisiaj...

kaj

To wprawdzie nie jest ta baba, która przyszła do lekarza, lecz Józefina Baker w latach największej sławy, ale i tak popatrzeć przyjemnie.

PROSTO Z GŁOWY

Teoria względności

1.

W kraju, który w większości składa się z pustyni — jedna palma nad nadmarniejszą studnią to już oaza zieleni.

2.

W pionowym kraju gór, płaszczyzna wielkości boiska jest równiną.

3.

Gdy wszyscy są uczciwi — jeden uczciwy trochę mniej jest nieuczciwy.

4.

A łysy?
Problem łysego od dawna zaprząta moją uwagę. Łysy nie jest bowiem łatwym przykładem w uspokajającym poszukiwaniu, wszędzie i we wszystkim, względności, co jest zajęciem wielkim, w czasach niesprzyjających sądom jednoznacznym.
Czy człowiek mający sto włosów jest łysy?
A dziewięćdziesiąt dziewięć?

5.

Wszystko zależy od tła!
Nie mający ani jednego włosa jest łysy!
A mający pięć? No? Więc jak?

6.

Od tła?
Przyjmijmy, że w pewnym kraju jest grupa nadużywająca swoich przywilejów na miliony, lecz znalazł się wśród nich jeden, nadużywający na przykład tylko na sto tysięcy.
I co wtedy?
Już łysy czy jeszcze nie?
A może: jeszcze nie łysy czy już?

7.

Wszystko zależy od potrzeb — jeżeli łysym będzie potrzeba włochatego, zadowolą się i pięcioma włosami.

XAWERY

REPLIKI

Podczas pierwszej fonicznej edycji SUPER BAZARU (Luty 83'—88,51 MHz), Ajent wypowiedział się. Wypowiedź wzbudziła zrozumiały aplauz oraz całkiem niezrozumiałą wątpliwość. To ostatnie tyczyło akapitu (cytujemy z pamięci magnetycznej):
„ — pytanie Reporterki: Jak jest? — odpowiedź Ajenta: Jest nieźle, a będzie jeszcze nieźlej..."
Słuchaczy intryguje, co Ajent miał na myśli.
W związku z powyższym czujemy się upoważnieni do przekazania pisemnego, nieautoryzowanego fragmentu fonicznego wywiadu, jakiego udzieli nam Ajent we właściwym czasie. Będzie on brzmiał (fragment oczywiście) następująco: „Ajent miał na myśli dokładnie to samo".
Koniec cytatu. Koniec repliki.

• • •

Odpowiadamy słuchaczom (czytelnicy nas nie pytali jeszcze)
W związku z odpowiedzią na nasz nieustający konkurs dla amatorów i zawodowców pod hasłem: „Co jeszcze można kupić za złotówkę?" wyjaśniamy:
To, co państwo podają za przykład, rzeczywiście odzwierciedla wartość złotówki, ale kosztuje znacznie drożej.

• • •

Pan Stanisław chciałby wiedzieć, co się dzieje z Gorylami. Proszę Pana, losy tych przemiłych zwierzątek nie są nam znane. Z chęcią natomiast służymy wiadomościami o losach ich właścicieli. Przynajmniej niektórych.

• • •

SERWIS AGENCJI WuPePeSim

Dyrektorem Wydziału Urzędu został były dyrektor Rozrywki. Eksperci porównując budżety instytucji, którą Dyrektor opuścił i tej którą objął — przewidują, że: „będzie goło, ale wesoło".

• • •

Mer przybył do Towarzystwa. Towarzystwa u Mera nie zauważono. Urząd przygotowuje w tej sprawie raport.

• • •

Naczelnik Stacji wsiadł do pociągu. Pasażerowie zostali na peronie oczekując na rezultat.

• • •

Poetę Mirosława K. (nazwisko znane w kręgach) przyłapano na gorącym uczynku wypożyczania w bibliotece książek własnego autorstwa. Odpowie przed kolegium za spekulacyjne zawyżanie liczby wypożyczeń.

• • •

Dyrektor Z. odszedł, Dyrektor P. przyszedł. Zakład stoi w miejscu.

DIALOGI O GOSPODARCE

A. Chyba będzie padać?
B. Chyba będzie.
A. Piękny parasol?
B. Piękny.
A. Import?
B. Eksport.
A. Nadwyżka?
B. Odrzut.
A. Szwecja?
B. Sahara.
A. Przecież tam rzadko pada.
B. Eksperci wyliczyli, że powinno częściej.
A. Taaak. Trudno dzisiaj cokolwiek przewidzieć.
B. Pański parasol też niebrzydki.
A. Owszem.
B. Eksport?
A. Import.
B. Przecież mamy tego pod dostatkiem?
A. Eksperci wyliczyli, że powinno zabraknąć.
B. Taaak. Rzeczywiście, dzisiaj trudno cokolwiek przewidzieć.

• • •

OGŁOSZENIA DROBNE

Ekspertyzy zgodne z życzeniem zleceniodawcy. Oferty pod: obyty fachowiec.

• • •

Sztukę kochania zmienię pilnie na sprawdzony pozew rozwodowy.

• • •

Szybko i solidnie oddzielam jądro od sedna.

• • •

Konsultant społeczny poleca swoje usługi.

• • •

Jak wyjść z reformy. Pokazy ilustrowane przeźroczami. Magister.

• • •

Zapowiedzi wydawnicze:
Oddano do składu „Sztukę niekochania". Super — Bazar nabył niezbywalne prawo pierwodruku w odcinkach. Szczegóły wkrótce.

• • •

PAMIĘTNIK INTYMNY — WOLNA TRANSKRYPCJA MÓWIONEGO NA PISANE

Kolega, inaczej partner, od dawna zamęcza mnie nieumiarkowanymi żądaniami. Łazi za mną i jak ta zegarynka — daj ten opis, daj ten opis, daj ten opis.

Wreszcie mu powiedziałem, żeby przeczytał w literaturze fachowej. Na co on, że pomysł mam nieśmieszny i że dowcip mi się stępił.

Bardzo lubię mojego partnera, inaczej kolegę i naprawdę chciałam go zadowolić. Jednak coraz silniejsze rodziło się we mnie przekonanie, że nie sprostam wymaganiom, że w ogóle opis jest tylko pretekstem, niejako wstępem do dalszej akcji, której tajemnice rozwikłam dopiero po odtrąbieniu finału.

Skonstatowałam u siebie niespotykaną dotychczas wobec partnera oziębłość. Nie reagowałam na coraz bardziej przymilne, ba, nawet pieszczotliwe podszepty — daj wreszcie ten opis, daj wreszcie, kiedyż mi dasz?!

No i postanowiłam. Ostatecznie i nieodwołalnie!

— Opisu zupy „nic" nie dam, co innego kartoflanka, ryżowa po polsku, o tym możemy porozmawiać.

WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ
KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

WYCINANKI

NIE MA KŁOPOTU

W Stanach Zjednoczonych sensację wywołała książka kucharska nosząca oryginalny tytuł: **„Jak gotować gościom, aby nie przyszli po raz drugi".**
U nas nie byłoby takiego kłopotu. Wystarczy podać gościom... *bleblitka z cystą kudoa.*

DLACZEGO SIĘ ROZMYŚLIŁ?

Na zawodach lekkoatletycznych w hali AWF w Warszawie **Władysław Kozakiewicz** postanowił pobić halowy rekord skoku o tyczce Tadeusza Ślusarskiego wynoszący 5,60 m. Zażądał podniesienia poprzeczki na wysokość 5,64 m. Okazało się, że skończyły się stojaki i na żądaną wysokość już nie można podnieść poprzeczki. W końcu znaleziono sposób i pod stojaki podłożono... materace.
Ale wtedy Władysław Kozakiewicz rozmyślił się i rekordu nie pobił. Kapryśnik?

KLASÓWKA

Kierowniczej kadrze centralnych organów administracji państwowej urządzono klasówkę ze znajomości zasad reformy gospodarczej. W gigantycznej klasówce wzięło udział 1 914 osób. Ocenę mniej niż dostateczną otrzymało 34,5 procent piszących klasówkę. Dostateczną — 31,2 procent. Celującą — tylko 0,2 procent.
Teraz już wiadomo, dlaczego reforma kuleje. Ale organizatorzy i tak są zadowoleni, bo „spodziewali się, że będzie gorzej".
Ciekawostkę stanowi fakt, że prymus, który na 150 punktów możliwych uzyskał 144,5 jest pracownikiem ministra Władysława Baki. No, gdyby i tam były złe oceny z klasówki, to już pozostałoby tylko czekać na cud, który uratuje naszą gospodarkę.

NOWOŚĆ

„Wiadomości Skierniewickie" opublikowały fraszki. I nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Fraszki nie są najwyższego, ba, nawet średniego lotu. I to też się zdarza. Nowość wszakże polega na tym, że autor jest zbiorowy: **Krajowa Agencja Robotnicza.** Niedługo PAP zacznie pisać wiersze.

GDZIE SZUMIĄ JODŁY

Telewizyjny **„Pegaz"** przeprowadził z okazji 150-lecia Teatru Wielkiego w Warszawie uliczną sondę. Reporterka zadawała ludziom pytanie: — gdzie szumią jodły?
Prawidłowa odpowiedź brzmi: — na gór szczycie.
Odpowiedź tę znali na ogół ludzie starsi wiekiem. I zupełnie nie ma się z czego śmiać. Trzeba raczej płakać nad muzycznym wykształceniem młodych.

DYWERSJA

„A tak naprawdę to bardzo żałuję, że nie ma u nas kwartalnika pod tytułem „Robotnicy pod rządami kapitalizmu". Ten złowrogi głos podziemia wypłynął z bunkra „Życie Pabianic". W artykule pt. „Tu mówi Londyn".

RELIKTY

Przed wizytacją placówek handlowych w **Sieradzu** przez jednego z wicepremierów do akcji ruszył spychacz. Zepchnął wszystko błoto z jezdni i sprzed pawilonu przy ul. Jagiellońskiej wprost pod blok mieszkalny nr 3, po czym przed pawilonem stanęły rury imitujące barierki. Mieszkańcy pytają, czy przed wizytacją budownictwa mieszkaniowego odepchnie się błoto pod sklep, a przed blokiem założy skwer z nylonowej trawki? Myślimy, że nim do tego dojdzie, w magistracie znikną duchy pokutujące za drugą Polskę.

PROMINENCI

W gminie **Różan, woj. ostrołęckie,** miejscowi notable ustalili imienną listę 27 osób, uprawnionych do picia i zagrychy poza kolejnością w **„Zajeździe Rycerskim"** oraz do kupowania bez kolejki w sklepach i magazynach. Kiedy przykład nie idzie już z góry, zaczynają wyrastać oddolnie prominenci w gminach.

TRAMWAJ

„Tygodnik Piotrkowski" proponuje wprowadzenie na ulice Piotrkowa tramwajów. Autor stwierdza, że czepia się tramwaju nie w przenośni, lecz dosłownie, ponieważ „rzecz warta wymiany myśli". Dosłownie Piotrków miał do niedawna tramwaj z Łodzi do Tuszyna, ale szyny rozkradli, toteż najkorzystniej byłoby od razu wymienić myśl na metro.

(rb)

1 Zdarzenia i zwierzenia

Moje jubileusze

JERZY WILMAŃSKI

„Co z oczu, to z serca" — pomyślałem sobie smętnie, otwierając 10 numer „Odgłosów" z dnia 5 marca 1983 roku. Co prawda nad winietą widniała liczba „25", ale początkowo sądziłem, że chodzi o jakąś inną rocznicę. A tu — proszę — ćwierćwiecze pisma, z którym związany jestem od 25 lat.

No i... przeoczyłem jubileusz, choć zaledwie cztery lata temu pożegnałem te salony pozostając przy stałej rubryce, która dziś nazywa się „Zdarzenia i zwierzenia", za Wiesława Jażdżyńskiego nazywała się „Kupić nie kupić", za Wacława Bilińskiego — „Notatnik kulturalny", a za Jana Koprowskiego — „Od niedzieli do niedzieli"... Być może zresztą kolejność felietonów była inna, nie jest to ważne. W każdym razie felietonistyki uczyłem się w „Odgłosach"

Z dotychczasowych jubileuszy ominęło mnie tylko dziesięciolecie — *w tym czasie pracowałem w „Głosie Robotniczym"*, a do „Odgłosów" wróciłem dopiero latem 1968 roku. Mój pierwszy jubileusz to pięciolecie, na które napisałem okolicznościowy felieton *„Pięć kilogramów jubileuszu"*. Wydumałem sobie — całkiem zresztą błędnie — że jeden rocznik pisma waży jeden kilogram, z czego wyszedł mi taki idiotyczny rachunek. W rzeczywistości pięć roczników „Odgłosów" waży o wiele więcej, nie mówiąc już o wadze problemów.

Dziwna rzecz, ale nikt wówczas nie zwrócił uwagi na tę swoistą „licentia poetica".

Na piętnastolecie natomiast wydaliśmy bibliofilski (500 egz.) numer pisma, który zapełniłem parodiami publikacji moich redakcyjnych kolegów oraz ozdobiłem „Listem gończym" całej redakcji. Wydanie parodystyczne widać się spodobało, bo później parę osób przyznawało się do jego autorstwa.

W „Prasie Polskiej" natomiast opublikowałem na piętnastolecie „Raptularz bardzo osobisty" („PP", kwiecień 1973), przypominający szereg znaczących nazwisk, które ozdabiały łamy „Odgłosów". Niestety — czas zaciera pamięć, eliminuje i zniekształca...

Myślę więc, że warto przypomnieć, iż pracował tu Marek Wawrzkiewicz, Jerzy Waleńczyk, Wanda Karczewska, Lech Budrecki, Teresa Wojciechowska, Włodzimierz Stokowski, Roman Loboda, że stałą współpracą związali się na lata całe prof. Andrzej F. Grabski i obecny redaktor naczelny „Trybuny Ludu", Wiesław Bek, że rozpoczynał tu dziennikarską karierę Marek Regel, że pisywał (i pisuje nadal) stałe felietony Włodzimierz Krzemiński, że o sztuce filmowej pisywały tu Maria Kornatowska i Ewa Nurczyńska, że Andrzej Grun publikował swoje przewrotne „Fryzury" i felietony, pełniąc także funkcję redakcyjnego grafika, że, że, że...

„Co z oczu, to z serca". Większość wyżej wymienionych — podobnie jak ja — zapewne dopiero z 10 numeru „Odgłosów", dowiedziała się, że to — było nie było — jubileusz ćwierćwiecza pisma, z którym każdy z nas związał kawał życia

Po prostu zapomnieliśmy. Normalnie, bo i o wielu byłych, redaktorach i współpracownikach także zapomniano. Taka jest kolej rzeczy.

Na jubileusz dwudziestolecia nie wydaliśmy żadnego bibliofilskiego numeru, natomiast wydaliśmy bankiet w salonach przy ul. Mickiewicza. Na ćwierćwiecze — ani bankietu, ani jubileuszowego numeru. Signum temporis Zabrakło papieru, inwencji, odpowiednich „kartek". A także pamięci.

Spojrzenie znad szachownicy

Toast szklanką herbaty

Mimo rozlicznych zasług — o których dalej i z osobna — nie zaproszono mnie na bankiet z okazji 25-lecia „Odgłosów", tłumacząc to ordynarnie, że takiego bankietu w ogóle nie było a może nawet i nie będzie. Podobne wyjaśnienie, pojmie to nawet dziecko, w ogóle nie wytrzymuje krytyki, *wiadomo bowiem powszechnie, że na bankietach pijam wyłącznie herbatę*. Nie ze szlachetności zresztą, ani z niezłomnych moralnych zasad, ale dlatego po prostu, iż po wódce miewam tak zwanego kacagiganta, którego i wrogom nie życzę.

Słowem: nie zaproszono mnie nawet na herbatę. Toast ten, w ramach pełnej samoobsługi, wznoszę tedy własną herbatą we własnej szklance, a skoro tak, to bez fałszywej skromności powiem też najpierw słówko o sobie.

2.

Pisywałem do „Łodzi Literackiej", pisywałem do „Kroniki", pisywałem też do „Odgłosów". W przedrukowanym w numerze jubileuszowym artykule Zbigniewa Chylińskiego na 10-lecie „Odgłosów", Zbyszek — nawiasem mówiąc człowiek, który wciągnął mnie do dziennikarstwa, iżbym w nim zatracił się i zmarniał — wspomina z dumą, że pismo dostrzegło wschodzącą gwiazdę telewizji i wspierało ją cotygodniową kolumną.

A kto tę kolumnę redagował, zapytajmy?

Redagował ją Wiesiek Machejko, który tak się do telewizji zapalił, że w rezultacie do niej przeszedł, a potem wygrzebał nawet w jakimś uczonym opracowaniu, że nasza — a tak, nasza, bo byłem współuczestnikiem tych figli — kolumna była w ogóle pierwszą kolumną poświęconą telewizji w polskiej prasie. Dopiero za nami, a więc i za „Odgłosami" poniekąd, poszli inni...

Zawsze coś mnie ciągnęło do tego — przepraszam z góry za to, co za chwilę powiem — niezbyt wydarzonego tytułu. Zaręczałem się nawet z nim parę razy, zawsze jednak zaręczyny ulegały zerwaniu, aż wreszcie — ku własnemu zdziwieniu — wżeniłem się w interes, na szczęście na krótko. Rozwód odbył się za obopólną zgodą i ku powszechnemu zadowoleniu; ten ślub, a zwłaszcza ten rozwód zaliczam również do swoich zasług, a nawet dobrych uczynków wobec PISMA, które — przypominam — nie zaprosiło mnie nawet na herbatę.

3.

Dlaczego wciąż wokół „Odgłosów" się pętam i — acz rozwiedziony — dlaczego wciąż z „Odgłosami" grzeszę, tego nie pojmuję. Może to perwersja jakaś, z której trzeba by się leczyć, najlepiej hipnozą, albo podładowany bioenergetycznie? Zdałby się pewnie i radiesteta, niewykluczone, że sypiam nad żyłą wodną, a kędyś pod moim biurkiem, przy którym wypisuję te androny, tryska promieniotwórcze źródełko.

Gdyby nie ta niezdrowa miłość nie udawałbym przecież kozaka i nie zaczepiał „Przeglądu Tygodniowego" tak długo i uparcie, aż odgryzł mi się zjadliwie w rubryce „Z góry na dół", z czego jedynie PISMO, no bo nie ja przecież, może mieć ewentualnie pożytek.

PISMO życzy bowiem sobie, iżby było cytowane możliwie często, mniejsza już z tym, źle czy dobrze, pochlebnie czy wzgardliwie. Nie będąc aż tak zdolny, żeby dorobić się jakiejś wzmianki zaszczytnej, nadstawiam tedy wątłe plecy na kuksańce, wyprawiam rozmaite łamańce i wygibasy, tracę resztki sławy mołojeckiej, a zmaltretowany i wdeptany w ziemię toast muszę wnosić w rezultacie własną herbatą i we własnej szklance... Ładnie to tak, powiedzcie?

4.

Dopiero pisząc te słowa doceniłem w pełni bezmiar własnego pohańbienia, a skoro tak, to — mówiąc językiem dyplomatów — uznałem za słuszne zastosowanie retorsji. Nie ma blankietu, to i toastu nie będzie. A właściwie będzie jedynie p.o. toaścik, ot dobra rada, może już ostatnia, dana z dobroci serca.

Podczas sesji reaktywowanego ostatnio Klubu Krytyki Teatralnej przy SD PRL recenzenci z poszczególnych ośrodków dzielili się doświadczeniami, mówili o sytuacji teatrów, ich niełatwych bojach o frekwencję, o widza. Dowiedziałem się wówczas, iż jeden z dyrektorów, który objął teatr już w trakcie sezonu, a na domiar złego z zespołem w rozsypce, wynalazł taką ot uniwersalną receptę na sukces. — Na jednej scenie — powiada — zagramy „Białe małżeństwo", sztukę — to już dodaję od siebie — wymagającą od jednej z bohaterek dość daleko posuniętej nagości. Na drugiej zaś, dla równowagi, jakiś z utworów Karola Wojtyły.

5.

Nie wiem, czy ekipie „Odgłosów" uda się z zacytowanej tu historyjki wyciągnąć, jak to się mówi, należycie konstruktywne wnioski. Nie wiem też, czy rozwiązanie stosowne być może w teatrze, da się ot tak po prostu przenieść do PISMA, tego samego zresztą, które nie zaprosiło mnie nawet na herbatę. W każdym bądź razie życzę „Odgłosom" tylu wiernych czytelników, ile ten dyrektor będzie miał widzów. Amen.

JERZY P.

Teraz ja – w sprawie bankietu

Cóż ci dwaj felietoniści uczepili się tego nieszczęsnego bankietu. Tematu im brakuje, czy co? Nie wiedzą o tym, że kryzys i trzeba oszczędzać, pasa zaciskać? Ich sprawa. Po co jednak głowę zawracają Czytelnikom?

Bo prawda jest taka. Żadnego bankietu jeszcze nie było. Chodzi, oczywiście, o bankiet z okazji 25-lecia pisma. Tylko, że tłumaczenie tego stawia nas w głupiej sytuacji. Mała jest szansa na to, że ktoś uwierzy. Jeśli już się tłumaczą, to muszą być winni.

Otóż, nie! Przygotowujemy różne imprezy. Ponieważ przygotowujemy, a wszystko nie jest jeszcze zapięte na ostatni guzik, wolimy milczeć do czasu, aż wszystko będzie gotowe. Wówczas też odbędzie się spotkanie zespołu z różnymi czynnikami, przyjaciółmi i współpracownikami. Żaden bankiet zresztą, bo nie te czasy.

I to wszystko. Cała prawda.

REDAKTOR DYŻURNY

2 Lewym okiem

Mimo to...

W jakimś instytucie pedagogicznym w Ameryce przedłożono dzieciom różnej narodowości następujący test: (piszę o tym Włodzimierz Żrałek w „Kobiecie i Życiu"): *„W pewnym mieście urządzono park. Któregoś dnia stwierdzono, że dzieci z pobliskiego miasta, które się w tym parku bawiły, zostawiły po sobie wielki nieporządek. Co w tym wypadku należy zrobić?"*

Dzieci amerykańskie odpowiedziały: „Pójdziemy tam wszyscy, uporządkujemy park, a potem zorganizujemy straż, aby takie rzeczy nie mogły się powtórzyć." Dzieci francuskie inaczej: *„Pójdziemy do dozorcy i poprosimy go, aby coś z tym zrobił, a gdyby dozorcy nie było, pójdziemy do pana mera"*.

Ciekawe, jak zareagowałyby dzieci polskie. Na pewno nie zgłosiłyby gotowości podjęcia się pracy, bo po pierwsze: dlaczego mają sprzątać po kimś innym? Po drugie: w tym parku nigdy porządku nie było i tak już musi być. Po trzecie: — co to nas obchodzi?

Nie poszłyby też nasze dzieci do dozorcy ani do mera, bo dozorca „na chorobie", a nasz „mer" to parę tysięcy urzędników w kilku olbrzymich gmachach — do kogo tam iść? Nasze dzieci bawiłyby się dalej w zapaskudzonym parku coraz bardziej pogrążając go w ruinie, potem by dorosły i w tym samym byłym parku piły w zapaskudzonych krzakach piwo. Ich rodzice — ci najbardziej uspołecznieni — pisaliby tymczasem listy do prasy, listy do władz, listy do Pana Boga, pełne oburzenia i kończące się pytaniem: „komu to potrzebne?" Wreszcie nie doczekawszy się odpowiedzi działacze podwórkowi zawiązaliby kilka komitetów i doprowadziliby do tego, że jakiś ławnik na jakimś posiedzeniu wygłosiłby płomienne przemówienie z nieodzownym zwrotem w rodzaju: *„nie po to nasi ojcowie cierpieli w obozach i na frontach, żeby nasze dzieci..."* itd. Wtedy powstawałaby komisja do zbadania sprawy i działałaby tak długo, aż teren parku otoczyłby płot z napisem *„Teren budowy. Objazd w lewo"*. Pod takim hasłem można już robić dowolne nieporządki przez następnych piętnaście lat.

O naszym teatrze Czesi mają bardzo wysokie mniemanie. „Jaromir z Teatru Narodowego mówi (czytamy w artykule Feliksa Szczyglewskiego w „Tu i Teraz" z 16. II. br.): Polska sztuka, szczególnie teatralna i muzyczna, jest naprawdę wysoko ceniona przez środowisko w Czechosłowacji. Boimy się, czy kulturotwórcze środowiska w Polsce nie zamilkną na dłużej: *No to powołamy nowe elity twórcze* — usiłuję pocieszać. Jaromir nie okazuje entuzjazmu".

To dziwne. Dlaczego nie okazuje? To przecież tak łatwo — jeśli jedna elita twórcza na dłużej zamilknie, to bierze się i *powołuje* nową! Elita z powołania to znakomity środek na pocieszanie sąsiadów. Kto będzie powoływał? Feliks Szczyglewski mówi „my", czyli jakaś grupa z nim samym w zarządzie. Miejmy nadzieję, że powołując nie zapomną o „bezpartyjnych wierzących i niewierzących".

Ten sam autor w tym samym reportażu z Pragi pisze: „Mimo tego, iż nie ma śladu polskich sztuk, repertuar praskich teatrów na początku stycznia jest bardzo interesujący." Coś podobnego! A przecież byliśmy pewni, że bez polskich sztuk żaden repertuar, w żadnym kraju nie może się obyć! Tymczasem w Pradze się obywa i w dodatku jest interesujący!

A w Łodzi? Na dziesięciu scenach łódzkich dziewięć sztuk polskich autorów. Mimo to widownie pełne. Może dlatego, że z tych dziewięciu — siedem to sztuki dla dzieci...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Felieton pesymistyczny

Bojkoty za płoty...

Z tym dniem zawsze mamy kłopoty. To znaczy pamiętamy nawet dość dokładnie kiedy on przypada i komu należy życzenia składać (zresztą zainteresowane kilkanaście godzin wcześniej dyskretnie przypominają: „Wiesz, co jest jutro?..."). Ale chciałoby się zawsze jakoś inaczej, nie tak stereotypowo — kwiatek, życzenia, buźka. Może jakiś prezent sympatyczny, niespodzianka zgoła. Takie duże pudło, przewiązane wstążką, przyniesione przez umyślnego albo skromne etui z niedrogim cackiem, wręczane niedbale w trakcie kolacji lub wykupiona właśnie wycieczka na jakąś tam Majorkę...

— Puszczają tylko poprodukcyjnych i trzeba mieć zgodę obojga rodziców — wpadł mi w myśl przyjęty niedawno do nas młodzian w okularach, rezydujący przy biurku pod ścianą. — No leć pan, bo potem będą jeszcze większe kolejki — łomotał łyżeczką w szklance, jakby „Popularną" mógł w kogel-mogel zamienić. — Z tymi sobie damy radę — kiwnął głową w kierunku przymilnie uśmiechających się interesantów za szybą. — W razie czego jesteś pan, jak zwykle — „na dzielnicy"?...

Do najbliższej kwiaciarni nie było daleko. Pomysły z prezentami zostawiłem sobie na popołudnie, teraz — trzeba było nabyć drogą kupna jakieś „ziele". Aura ustaliła się od kilku dni — dęto potężnie, a nieprzyjemna mżawka zacinała złośliwie. Szczęśliwie jednak zająłem z góry upatrzoną pozycję wewnątrz kwiaciarni, na końcu stawki podobnych do mnie zawodników.

— Cóż za spotkanie! — usłyszałem z tyłu znajomy głos magistra B. Zalatywał leciutko alkoholem (widocznie w pracy zaczęli nieco wcześniej...), ręką objuczoną sporą paczką usiłował niezdarnie zasłonić wyrwany rękaw jesionki.

— Jechał pan pośpiesznym? — strzeliłem w ciemno.

— A, nie, nie, nie zgadł pan. W tym domu handlowym, tu niedaleko rzucili dziś wyroby ze słomy czy wikliny. Chyba wietnamskie, nawet nie wiem, proszę — wywalczyłem jeden.

— To cóż, panie kolego — bojkotujemy? — wyraźnie był w szampańskim humorze.

— Kogo? — otrzeźwiałem, choć rozważałem swe teoretyczne szanse w wikliniarskim „kotle".

— No, kwiaciarzy, nie słyszałeś pan? — zdziwił się magister. — Ostatnia akcja Federacji Konsumentów: kupujemy tylko tanie kwiatki, żadnego zdzierstwa, precz z narzucaniem cen, nie po drodze nam z doniczkowymi i ciętymi cwaniakami — recytował o dziwo z pamięci.

— Nie bądź pan taki „Veto" — odciął się złośliwie wysoki brodacz przed nami — za chwilę zasuniesz pan, że za rogiem sklepik porno otworzyli. Oni mi będą tłumaczyć, że te wysokie ceny przeczą tym, no — mechanizmom równoważenia całego rynku.

— Ale przyznasz pan, że ceny kwiatów poszły ostro w górę i za byle jakiego tulipana i 80 złotych żądają — magister, nie bacząc na całość koszyka, zamachał rękoma.

— Po pierwsze — brodacz też uruchomił dłonie — nie musisz pan kupować, po drugie — są sklepy i sklepiki, goździk goździkowi nierówny, ale wolę dać i pięć „dych" drożej, by nie kupić śmiecia. — Mam rację? — zwrócił się w stronę kilku przysłuchujących się rozmowie mężczyzn.

Potaknęli, ale jakoś tak bez przekonania. Myślami byli już w portfelach, bo nieubłaganie posuwaliśmy się w stronę kontuaru.

— O, popatrz pan na te wiechcie — brodaty systematycznie dobijał magistra wskazując na stojące pod ścianą wazony. — Te frezje po czterdzieści i godziny nie wytrzymają, gerbery po słowie sztuka też są niezłe, do własnego wieńca bym ich nie chciał. A te po 180 — bardzo proszę, jaka gama kolorów, jest w czym wybierać...

— Ale to jest po prostu strasznie drogo! — zajęczał właściciel wiklinowego koszyka.

— A co pan teraz kupi tanio? — dobiegł z tyłu głos. Damski o dziwo. Objuczona torbami sympatyczna brunetka dzielnie trwała w „ogonku".

— Aaaa, dzisiaj pani święto — szarmancko ukłonił się magister, chętnie zmieniając nieco temat. — Nie ma mowy żeby pani czekała w kolejce. — Panowie, miejsce dla damy! — zakrzyknął w kierunku medalowych pozycji przy ladzie.

Przedstawiciele brzydszej połowy ludzkości w milczeniu ustąpili miejsca, pomogli wcisnąć do torby trzy pojedyncze tulipanki. Dumnie krocząc wyminął nas po chwili brodaty z pękiem frezji. Bodaj po 60 złotych sztuka plus jedna dla mile zaskoczonej sprzedawczyni.

I przyszła nasza kolej. Z okrzykiem „A ja bojkotuję!" magister nabył trzy tulipany za 150 złotych. Poszedłem w jego ślady.

Nad następnymi pomysłami Federacji dłużej się jednak zastanowię. Po wiklinie w domu towarowym zostało tylko wspomnienie, w pracy mnie zbeształano za dłuższą nieobecność, a dziewczyny nie postawiły nawet po łampce...

A kwiaty wytrzymały może z godzinę. Nie pomogło moczenie w wodzie wzmacnianie spinaczami i klejem biurowym ani nacinanie łodygi. Oklapły i już.

W drodze do domu kupiłem w przejściu podziemnym piękną gerberę za całe 200 złotych. Naprawdę piękną.

STEFAN ŻYCIOWY

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji) Jerzy Kwieciński Bogda Madej Andrzej Makowiecki Grażyna Olchowicz (z-ca sekretarza redakcji) Igor Sikirycki (kier działu literackiego) Karol J. Stryjski, Janusz Szymański Glano (grafik). Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny). Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-628, Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 660-99 publicysci 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103 Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 622. L-2.

Ankieta „Playboya" – tylko dla dorosłych

Seks po amerykańsku

Amerykański miesięcznik PLAYBOY w numerze ze stycznia 1983 roku zamieszcza omówienie ankiety, jaką na tematy związane z seksem rozpisał wśród swoich czytelników rok wcześniej. Przedstawiamy fragmenty tego opracowania, które pozwala wysunąć interesujące wnioski na temat rewolucji obyczajowej, psychologicznej i socjologicznej, jaka dokonała się w Stanach Zjednoczonych.

Przygotowanie ankiety trwało prawie rok. Zadano 133 pytania. Otrzymano ponad 100.000 odpowiedzi. Opracowaniu komputerowemu poddano 80.324 odpowiedzi, w tym 65.396 mężczyzn i 14.928 kobiet. Jest to prawie siedmiokrotnie większa liczba ankiet, niż ta, na której opierał się słynny raport Kinseya.

Ludzie, którzy odpowiedzieli na naszą ankietę, spełniają dwa warunki: są czytelnikami PLAYBOYA i są zainteresowani seksem. W porównaniu z ogółem ludności, ocenianej na podstawie spisów powszechnych nasi respondenci są młodsi, reprezentują wyższy poziom wykształcenia i są zamożniejsi. Ośmiu z każdych dwudziestu to ludzie wolni, którzy nigdy dotąd nie wstąpili w związek małżeński.

Już pierwsze odpowiedzi wskazały nam, że jesteśmy na tropie czegoś naprawdę dużego. Nasi czytelnicy zapoznali się z kwestionariuszem i wykorzystali go do poznania samych siebie. Pewien mężczyzna wypełnił jeden kwestionariusz dla opisania swego współżycia z żoną, a drugi — żeby określić życie miłosne ze swoją kochanką:

„Przyczyną jest to — wyjaśnił — że mam zupełnie inne odpowiedzi, kiedy chodzi o moje życie małżeńskie (prowadzę je od 13 lat), i kiedy sprawa dotyczy wspaniałej przygody z pewną zamężną kobietą (przygoda ta trwa już ponad 4 lata i końca jej nie widać). Dzięki tej przygodzie mój rzeczywisty wiek, 49 lat, zbliża się do 19".

Ankieta nie ukazała profilu przeciętnego Amerykanina, lecz rodzaj portretu weteranów rewolucji seksualnej. Mężczyźni, którzy na nią odpowiedzieli, z trudnością dają się ująć w schematy. Co się zaś tyczy słabej płci — są to najbardziej wyzwolone z kobiet, objętych kiedykolwiek badaniami w skali ogólnokrajowej. Odpowiadali oni na takie m. in. pytania:

Jak oceniłbyś swoje obecne życie seksualne?

Czy oceniasz je jako lepsze lub gorsze w porównaniu ze swoim życiem seksualnym sprzed pięciu lat?

Czy uważasz się za dobrego kochanka (kochankę?)

Jak zmieniłbyś swoje życie seksualne, gdybyś mógł?

Wyraźna większość mężczyzn i kobiet, którzy odpowiedzieli na naszą ankietę, jest zadowolona ze swojego życia seksualnego. Ponad połowa uważa, że polepszyło się ono w ciągu ostatnich pięciu lat. Czterech z każdych pięciu respondentów — zarówno mężczyzn, jak i kobiet — uważa, że są dobrymi kochankami.

Mężczyźni pragną więcej stosunków oralnych i większej częstotliwości stosunków w ogóle. Chcą też, żeby ich partnerki częściej wykazywały inicjatywę. Kobiety pragną więcej stosunków, więcej wstępnej gry miłosnej, i więcej seksu oralnego. Morał: im więcej wiemy o seksie, tym więcej chcemy.

CÓRKI REWOLUCJI SEKSUALNEJ

W dawnych czasach matki mówiły córkom, że seks jest czymś, czego mężczyźni chcą, a co kobiety dają; że kobiety marzą o czułości i aby ją zdobyć, oferują seks, a mężczyźni marzą o seksie i aby go mieć, oferują czułość. Staje się jednak coraz jaśniejsze, że nauka ta oddawała złą przysługę obu płciom: kobiety pragną zarówno czułości, jak i seksu; mężczyźni — zarówno seksu, jak i czułości. Niektóre z ostatnich badań wskazywały, że na rewolucji seksualnej skorzystały głównie kobiety — i że ich zachowanie nareszcie zaczyna dorównywać męskiemu.

Zapytaliśmy naszych czytelników: *kto robi co i komu, z iloma i jak często?* Nawet zanim jeszcze porównaliśmy nasze wyniki z wynikami dawnych badań, żeby stwierdzić, jak daleko się posunęliśmy, uderzyło nas podobieństwo zachowań obu płci. Spójrzmy na podstawowe sprawy:

— około 88 proc. mężczyzn i 74 proc. kobiet uczestniczących w naszej ankiecie czasami masturbuje się;

— około 95 proc. mężczyzn i kobiet uprawia seks oralny podczas kontaktów płciowych;

— prawie 47 proc. mężczyzn i 61 proc. kobiet poznało stosunek odbytowy;

— prawie 36 proc. mężczyzn i 39 proc. kobiet miało kontakty oralno-odbytowe.

Wielcy eksperci ekonomiczni zbierają się systematycznie dla obliczenia wzrostu lub spadku stopy życiowej. Jeden tylko Bóg wie, jakimi kryteriami się przy tym posługują. Jeśli zaś chodzi o poziom naszego życia seksualnego, nasze w większości konserwatywne środki przekazu — np. tygodnik TIME — stosują najchętniej trzy wskaźniki: wiek, w którym młodzi ludzie tracą dziewictwo (wskaźnik utraty niewinności), średnia liczba partnerów (wskaźnik doświadczeń płciowych) oraz zakres stosunków pozamałżeńskich (wskaźnik niewierności).

JAK UTRACILI NIEWINNOŚĆ

W naszym kwestionariuszu pytaliśmy się czytelników, kiedy i jak stracili dziewictwo. Odpowiedzi są zaskakujące. Dla porównania, zerknijmy na wyniki dawniejszych badań. W latach 40 stwierdzono, że 71 proc. mężczyzn i 33 proc. kobiet straciło dziewictwo przed 25 rokiem życia. Około 1972 roku w wieku 25 lat doświadczenie seksualne miało za sobą 97 proc. mężczyzn i ponad 66 proc. kobiet. Dziesięć lat później granica 25 lat znalazła się na śmietniku historii seksu. W naszej ankiecie, 96 proc. mężczyzn i 98 proc. kobiet utraciło dziewictwo przed 25 rokiem życia. Spoglądając na nasze dane, widzimy jak głębokie są zmiany, które zaszły. Kinsey wywołał szok w społeczeństwie, podając, że 3 proc. badanych przezeń kobiet miało już za sobą stosunek płciowy w wieku 16 lat. Wśród naszych respondentów-kobiet 30 proc. podaje, że straciło dziewictwo przed 16 rokiem życia (wśród mężczyzn tylko 16 proc.). Średnia wieku inicjacji seksualnej w pokoleniu PLAYBOYA wynosi 17,8 lat dla mężczyzn i 17,5 dla kobiet.

Wiemy, kiedy i jak. 61 proc. kobiet (w porównaniu z 38 proc. mężczyzn) twierdzi, że straciło dziewictwo w związku traktowanym poważnie; 45 proc. mężczyzn (w porównaniu z 27 proc. kobiet) podaje, że straciło je w związku o charakterze przelotnym lub przypadkowym. 8 proc. mężczyzn miało swój pierwszy stosunek z prostytutką.

Dzisiejsze młode kobiety tracą dziewictwo wcześniej. Dowiedzieliśmy się, że 58 proc. uczestniczek ankiety, mających obecnie poniżej 21 lat, straciło dziewictwo przed 16 rokiem życia. W tej samej grupie wieku odnosi się to tylko do 38 proc. mężczyzn. Liczby te dowodzą nasilenia tendencji istniejącej już od pewnego czasu. W ogólnokrajowych badaniach prowadzonych przez socjologów, Johna Kantnera i Melvina Zelnika w 1976 r., 18 proc. ankietowanych kobiet stwierdziło, że ich pierwszy stosunek płciowy nastąpił zanim ukończyły 15 lat.

Mężczyźni i kobiety, którzy wcześniej zaczęli, nadal mają bardziej aktywne i urozmaicone życie seksualne. W porównaniu z mężczyznami, którzy zaczęli później, częściej uprawiają seks oralny, więcej z nich próbowało stosunku odbytowego, miało ponad 25 partnerów w życiu oraz miało doświadczenia homoseksualne jako dorośli. Kobiety, które wcześnie zaczynały są tak samo zadowolone jak te, które straciły dziewictwo po ukończeniu 16 roku życia. Mężczyźni, którzy wcześnie zaczęli, są bardziej zadowoleni ze swego życia seksualnego, niż ci, u których inicjacja odbyła się później.

Nie stwierdziliśmy związku między wykształceniem i zachowaniem seksualnym. Jeśli wszyscy robią wszystko jeszcze przed ukończeniem szkoły średniej, mamy do czynienia jak gdyby z ogólnym ruchem ku dołowi. Można by wyciągnąć wniosek, że seks przestał już być wyłącznością bogatych i wykształconych.

W praktyce, podwójna miara dla mężczyzn i kobiet szybko znika, ale zasady nieraz nie nadążają za zachowaniem. W naszej ankiecie pytaliśmy, czy nasi czytelnicy byliby poruszeni, dowiadując się, że ich 16-letnie córki mają już doświadczenia seksualne. Połowa mężczyzn i kobiet odpowiada twierdząco. Natomiast tylko 18 proc. mężczyzn i 29 proc. kobiet niepokoi się o inicjację seksualną swoich synów. Stare zasady mają twarde życie.

SEKSUALNE DOŚWIADCZENIA

Pytanie nasze brzmiało:

Gdybyś miał(a) żenić się lub wychodzić za mąż, czy chciał(a)byś, żeby on lub ona mieli przedtem kilku partnerów seksualnych?

Także i tutaj odpowiedzi wskazują, że istnieje podwójna miara: 41 proc. mężczyzn i 57 proc. kobiet pragnie partnera doświadczonego. 53 proc. mężczyzn i 37 proc. kobiet chce poślubić partnerów niedoświadczonych lub wręcz dziewiczych.

Inne pytanie:

Ilu miałeś partnerów seksualnych?

Średnia liczba partnerów podanych przez mężczyzn wynosi w naszej ankiecie 19,8, podczas gdy liczba środkowa — 16,3. Średnia liczba partnerów podanych przez kobiety wynosi 16,1, zaś środkowa — 7,8.

Inicjatywa kobiety w przygodnych stosunkach kwitnie w najlepsze. 30 proc. kobiet, które odpowiedziały na naszą ankietę zeznaje, iż występowały z propozycją kontaktu seksualnego wobec nieznajomych; 4 proc. kobiet spotkało się w takich wypadkach z odmową. Przez całe lata doświadczenie seksualne było z zasady domeną mężczyzn. Dziś jednak z taką samą łatwością można natknąć się na kobietę z odpowiednim doświadczeniem i stwierdzić, że jej wiedza w tym względzie dorównuje męskiej.

Czy swoboda kontaktów seksualnych prowadzi do rozczarowania lub rozpaczy? Fakty wskazują, że nie. Zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet doświadczenie przyczynia się do akceptacji samego siebie. Im więcej miałeś partnerów, tym większe prawdopodobieństwo, że będziesz się uważał za dobrego kochanka (dobrą kochankę). Odkryliśmy również interesującą rozbieżność między płciami. Im więcej partnerek ma mężczyzna, tym bardziej skłonny jest twierdzić, że ma dostateczną ilość kontaktów seksualnych. W wypadku kobiety, im więcej ma partnerów, tym bardziej można się spodziewać, że powie, iż chciałaby mieć więcej takich kontaktów.

Kinsey podał, iż mniej więcej połowa wszystkich żonatych mężczyzn i czwarta część wszystkich zamężnych kobiet wcześniej czy później robi jakiś „skok w bok". 25 lat później; stwierdzono, że wskaźnik odnoszący się do mężczyzn nie wzrósł — z ówczesnych obliczeń wynikało, że wynosi 41 proc. Ustalono natomiast, że młode mężatki zaczynają „doganiać" mężczyzn — były one 3-krotnie aktywniejsze, niż młode mężatki z czasów Kinseya. W naszej ankiecie, 48 proc. mężczyzn i 38 proc. kobiet twierdzi, że miało lub ma jakieś pozamałżeńskie przygody. Kiedy rozbiliśmy dane dotyczące stosunków pozamałżeńskich na grupy wieku i płci, okazało się, że wśród młodych małżonków, którzy nie ukończyli 30 roku życia, przygody takie są znacznie częstsze u kobiet, niż u mężczyzn.

TEMPERATURA SEKSU

Wiemy, że sprawy, które 30 lat temu były zbyt delikatne, aby je poruszać, stały się dzisiaj powszechną praktyką. Zakładaliśmy, że dziś wszyscy robią więcej wszystkiego, ale nawet my zostaliśmy zaskoczeni wynikami.

Na przykład, Kinsey twierdził, że w jego próbce socjologicznej 92 proc. mężczyzn onanizowało się na którymś etapie swego życia. W wieku 30 lat, nieżonaci mężczyźni, którzy nadal się onanizowali, robili to ze „środkową" częstotliwością 30 razy w roku. Na początku lat 70 stwierdzono, że onanizm był udziałem 94 proc. mężczyzn, a wspomniana częstotliwość nieżonatych 30-latków wynosiła 60 razy w roku. W naszej ankiecie, na każdych 10 mężczyzn, 9 nadal masturbuje się, ze „środkową" częstotliwością 140 razy w roku. Ten sam wskaźnik częstotliwości w wypadku kobiet uczestniczących w naszej ankiecie wynosi 44 razy w roku, w porównaniu z 37 razami dla aktywnych seksualnie niezamężnych kobiet na początku lat 70, i 21 razami w roku u analogicznej grupy kobiet u Kinseya.

Podobnie głębokie zmiany można dostrzec w danych na temat seksu oralnego. Kinsey informował, że mniej niż 50 proc. żonatych mężczyzn w Ameryce miało kiedykolwiek do czynienia z seksem oralnym w jakiejkolwiek postaci. We wczesnych latach 70 wskaźnik ten wzrósł do 75 proc. Ankiety zorganizowane przez COSMOPOLITAN wykazały, że na każde siedem kobiet, sześć uprawiało seks oralny. Nasze wyniki wskazują, że seks oralny nie tylko jest dziś akceptowany, lecz stał się niezbędnym elementem stosunków seksualnych. Ponad połowa mężczyzn i kobiet w naszej ankiecie podaje, że praktycznie przy każdym stosunku uprawiają seks oralny, który — ogólnie biorąc — cieszy się uznaniem 87 proc. mężczyzn i 77 proc. kobiet.

Dane dotyczące seksu odbytowego wskazują jeszcze wyraźniej na zmiany, jakie nastąpiły. Kinsey pisał 30 lat temu: *„Stosunki odbytowe w związkach między osobnikami odmiennej płci nie są na tyle częste, by można było określić zasięg zjawiska dodatniego reagowania na tego rodzaju stymulację".* W 1972 roku stwierdzono, że nastąpiła zmiana w stosunku ludzi do tych praktyk. Jedna czwarta badanych par małżeńskich od czasu do czasu w swoich kontaktach seksualnych odbywała również takie stosunki. Prawie połowa żonatych mężczyzn i zamężnych kobiet, którzy wypełnili kwestionariusze PLAYBOYA ma jakieś doświadczenie ze stosunkami tego rodzaju.

Mamy też pewne dane z obszarów seksu, będących domeną raczej pionierów. Są tu dobre i złe wiadomości:

— *co najmniej jedna trzecia mężczyzn i kobiet*, które odpowiedziały na naszą ankietę, uprawiła seks publicznie;

— dość liczna mniejszość (ok. jednej trzeciej) miewała stosunki płciowe z więcej niż jedną osobą w ciągu jednej doby;

— prawie połowa używa sprośnych słów podczas kontaktów seksualnych;

— dwie trzecie ankietowanych używa przyrządów stymulacyjnych;

— 47 proc. mężczyzn i 59 proc. kobiet używa narkotyków dla wzmożenia doznań seksualnych;

— 7 proc. stosowało praktyki sado-masochistyczne;

— jeden ankietowany na dziesięciu był chory wenerycznie w ciągu ostatnich 5 lat, spośród nich aż 30 proc. nie powiadomiło o tym swojego partnera;

— co trzecia spośród uczestniczek naszej ankiety miała sztuczne poronienie; trudno się zresztą dziwić, jeśli wziąć pod uwagę dane, jakie uzyskaliśmy na temat kontroli urodzin — prawie trzecia część naszych czytelników stwierdza, że polega w tym zakresie na przerwaniu stosunku w odpowiednim momencie lub zdaje się na łaskę losu.

JAK TO ROBIĄ

W naszej ankiecie zwróciliśmy się do czytelników, aby podali swoje ulubione pozycje. Było parę niespodzianek. 53 proc. kobiet podało na pierwszym miejscu pozycję, w której mężczyzna jest górą, a 25 proc. — pozycję, w której „góruje kobieta". Mężczyzni są równiej podzieleni w swoich gustach: 37 proc. daje pierwszeństwo pozycji tradycyjnej, podczas gdy 35 proc. najbardziej lubi, kiedy kobieta jest na górze.

Pytanie brzmiało:

Czy sądzisz, że kobiety pragną, by mężczyźni byli stroną dominującą w pożyciu?

58 proc. kobiet odpowiedziało *„tak"*.

Zapytaliśmy:

Jaki jest najlepszy moment stosunku?

Czytelnicy mieli do wyboru sześć odpowiedzi: *„Preludium", „Stymulacja", „Kiedy szczytuje mój partner (moja partnerka)" „Kiedy ja szczytuję"* i *„Wypalenie papierosa po wszystkim".*

Niektórzy nie decydowali się na jedną odpowiedź i zakreślali kilka. Odpowiedzią najczęściej wybieraną przez mężczyzn (36 proc.) było *„Kiedy szczytuje moja partnerka".* Wydaje się, że mężczyźni są jednak mniej egoistyczni, niż sądzono (choć jest to altruizm celowy). Oczywiście mężczyźni czerpią też radość z własnego orgazmu — 26 proc. wybrało tę odpowiedź. Wstępna gra miłosna najbardziej zadowala 24 proc., a penetracja została wybrana przez 19 proc. Zapytaliśmy mężczyzn, czy sądzą, że są dobrymi kochankami i porównaliśmy ich odpowiedzi z częstotliwością orgazmów osiąganych przez ich partnerki. Okazało się, że istnieje bezpośrednia zależność — im częściej dochodzi u niej do orgazmu, tym większe jest prawdopodobieństwo, że on ma dobre mniemanie o sobie.

W przeciwieństwie do mężczyzn, kobiety najczęściej opowiadają się za *„preludium"* (32 proc.) jako za najlepszym momentem stosunku. Podobnie jak mężczyźni, kobiety czerpią radość z własnego orgazmu (29 proc.) Najistotniejsza różnica między obu płciami polega na tym, że tylko 23 proc. kobiet twierdzi, iż najlepszym momentem stosunku jest orgazm partnera, plasując to na czwartym miejscu, po penetracji (28 proc.).

Samoocena u kobiet jest związana ze zdolnością do orgazmu. Kobiety, które zazwyczaj lub nigdy nie mają orgazmu, dwukrotnie częściej odpowiadały *„nie"* na pytanie, czy sądzą, że są dobrymi kochankami, niż kobiety normalnie osiągające orgazm. Jeśli orgazm u kobiety jest miarą, według której sądzimy seks, warto się zastanowić, czegośmy się nauczyli w tym względzie? Kilka lat temu wywołano sensację, twierdząc, że dwie trzecie wszystkich kobiet ma problemy z osiągnięciem orgazmu poprzez stosunek płciowy. Na początku lat 70 stwierdzono, że 53 proc. ankietowanych zamężnych kobiet osiągało orgazm zawsze lub prawie zawsze. Dodatkowe 21 proc. osiągało orgazm w 3/4 wypadków. W naszej ankiecie 40 proc. kobiet wykazuje wysoki wskaźnik w tym względzie — twierdzą one, że osiągają orgazm przy każdym lub prawie każdym stosunku. Tylko 20 proc. stwierdza, że ma trudności z osiągnięciem orgazmu podczas stosunku.

Pytanie brzmiało:

Czy kiedykolwiek udawałeś, że masz orgazm podczas stosunku?

Prawie dwie trzecie kobiet odpowiedziało twierdząco na to pytanie. Bardziej może zaskakujący jest fakt, iż na to samo pytanie odpowiedziało twierdząco 28 proc. mężczyzn. Początkowo byliśmy trochę zaskoczeni tymi wynikami. Jeśli u tylu ludzi udawanie orgazmu przechodzi nie zauważone, powstaje pytanie, czy w ogóle zwracamy wzajemnie na siebie uwagę? Wydaje się, że jednak zwracamy, gdyż mężczyźni i kobiety potwierdzili wzajemnie swoje odczucia w innych sprawach. Zapytaliśmy kobiety, ile czasu upływa, zanim osiągają orgazm. Okazało się, że średnio 11 minut. Kiedy poprosiliśmy mężczyzn, żeby podali orientacyjnie, ile czasu zajmuje ich partnerkom osiągnięcie orgazmu, otrzymaliśmy odpowiedzi, z których wynikła średnia 10,8 minut. Mężczyźni potrzebują średnio 10 minut na osiągnięcie orgazmu; kobiety oceniły, że ich partnerom zajmuje to, średnio biorąc, 9,8 minut. W każdym razie, liczby te sugerują, że większość mężczyzn nadal szczytuje wcześniej, niż większość kobiet.

81 proc. mężczyzn przyznaje, iż zdarza się, że — w swoim odczuciu — szczytują zbyt wcześnie (62 proc. twierdzi, że zdarza im się to sporadycznie; 7 procent — że często). 51 proc. mężczyzn, przyznających się do przedwczesnego wytrysku twierdzi, że rozwiązują problem stymulując partnerkę w inny sposób; 24 proc. odpowiada, że po prostu odczekuje i zaczyna od nowa.

Poprosiliśmy czytelników, żeby wskazali najbardziej wrażliwe części swoich ciał. Sądząc po odpowiedziach, każdy ma co najmniej trzy wrażliwe obszary. Uzyskaliśmy 224,667 odpowiedzi jednostkowych, łącznie z mnóstwem *„obszarów"* dopisanych, których nie uwzględniliśmy w naszym kwestionariuszu. Trzy czwarte kobiet wybrało piersi, 69 proc. wymienia organy płciowe. Na trzecim miejscu figurują usta, na czwartym — uszy. (Mężczyźni wymieniają kolejno organy płciowe, usta i uszy).

CO ICH PODNIECA!

Pytania brzmiały:

Jaka jest najważniejsza zaleta dobrego kochanka?

Jakie właściwości przyciągają cię do osób drugiej płci?

Jakich cech wymagasz od stałego kochanka?

Wokół kogo lub czego snujesz marzenia erotyczne?

Co przyciąga nas do przedstawicieli drugiej płci? Kobiety wymieniają wygląd, wspólne zainteresowania, poczucie humoru, inteligencję, dynamikę seksualną, pieniądze i władzę. Kolejność cech na liście mężczyzn jest identyczna (mężczyźni przykładają większą wagę do wyglądu — 55 proc. stawia go na pierwszym miejscu, w porównaniu z 33 proc. kobiet). Wydaje się, że również u stałego kochanka (stałej kochanki) mężczyźni i kobiety szukają tych samych cech: kobiety chcą, żeby można było na nim polegać, wymieniając dalej inteligencję, poczucie humoru i dynamikę seksualną. Mężczyźni również chcą przede wszystkim, żeby można było na niej polegać, a następnie wymieniają inteligencję, wygląd i dynamikę seksualną. Choć brzmi to zaskakująco, zdaje się, że pieniądze nie odgrywają tutaj większej roli. Kiedy chodziło o wymienienie mających najwięcej seksu cech fizycznych, większość mężczyzn podała piersi (67 proc.), pośladki (63 proc.) oraz — ex aequo na trzecim miejscu — usta i genitalia (po 36 proc.). Wiedzieliśmy, że mężczyźni przypatrują się kobietom, okazuje się jednak, że kobiety też nieźle mężczyzn lustrują.

Wmawiano w nas, że kobiety reagują na pornografię o wiele słabiej, niż mężczyźni. Nasza ankieta dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. 38 proc. mężczyzn i 42 proc. kobiet stwierdza, że sporadycznie ogląda filmy pornograficzne w poszukiwaniu podniet seksualnych.

Chyba najistotniejsze odkrycie w tej grupie problemów dotyczy snów na jawie. Mniej więcej połowa mężczyzn i kobiet stwierdza, że oddaje się marzeniom seksualnym, które dotyczą nieznajomych. Znaczna większość śni na jawie o bliskich znajomych. Marzenia erotyczne o kolegach (koleżankach) z pracy miewa 47 proc. mężczyzn i 30 proc. kobiet. Jednym słowem, erotyzujemy nasze środowisko. 3 proc. mężczyzn podaje jako przedmiot marzeń erotycznych dziewczyny z rozkładówek PLAYBOYA *(lubimy was, chłopcy).* 4 proc. kobiet zadało sobie trud, żeby dopisać, iż marzą o swoim kochanku czy partnerze (w porównaniu z 1 proc. mężczyzn). Niewielki odsetek respondentów podaje, że ich marzenia krążą wokół krewnych lub byłych kochanków.

Co daje nam szczęście? Zarówno mężczyźni, jak i kobiety wymieniają tu miłość, życie rodzinne, przyjaciół, seks i pieniądze — w tej właśnie kolejności. Mężczyźni i kobiety nie różnią się tak bardzo, jeśli chodzi o skalę wartości. Dziwi nas tylko daleka pozycja pracy: u kobiet figuruje ona na szóstym, a u mężczyzn — na siódmym miejscu.

■